

„CIEKAWÉ POWIEŚCI“

LIV

J. I. Kraszewski

STAROSTA WARSZAWSKI

Tom I

□ WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

02344

STAROSTA WARSZAWSKI.

02344

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

CIEKAWEPOWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 6 ☐ Czerwiec 1914

Starosta warszawski. Tom I.

Redaktor: ☐ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). GEBETHNER I WOLFF.

STAROSTA WARSZAWSKI

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

Tom I



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. ☐☐☐☐ 1914

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

Literatura polska

821.162.1-3

88

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 41.

PROLOG.

I.

Piękny był wieczór jesienny, chociaż ludzie, co w chmurach, niebiosach, powietrzu, głosach ptasich, znakach rozmaitych, pospolitemu oku obojętnych czytać umieli — kręcąc głowami, nic zeń nie wróżyli dobrego.

Pan podkomorzy Laskowski, który się w Haura zaczytywał i z innemi księgami uczonemi miewał do czynienia, znaki na niebiesiech obserwować i one aplikować umiał do spraw gospodarskich — z tego zbyt-niego ciepła, dnia pierwszego września, z zarumienionych obłoków, kierunku wiatru i różnych innych sygnałów, prędką aury zmianę prorokował, zimę bodaj rychłą i nie daj Boże srogą a przeciagniętą.

Tuż przy bramie Krakowskiej naprzeciw zamku, gdzie wówczas (a było to roku Pańskiego 1750) niejaki Peszel winiarnię trzymał, dla ciepłego tego wieczoru, kilku ichmościów, między którymi i pan Laskowski się znajdował, kazało chłopcu ławę wynieść ze stolikiem w ulicę przed dom i, używając tu świeższego powietrza, gawędką się zabawiali.

P. 1 | 2014

Z Laskowskim, który tu rej wodził, ba i wszędzie, gdzie się okazał, bo był człek wymowny, głowacz i bywalec, zeszli się u Peszla na lampeczkę: Ocieski, ubogi szlachcic z Poznańskiego, Kostrzewa i Babiński.

— Nie to, mospanie, dobrego nie jest—mówił, rozglądając się, Laskowski—kiedy natura ze swych praw i obyczajów się wyłamuje. Wprawdzie ja tu na tym horyzoncie warszawskim tak swego nie jestem pewien, jak doma w mojej Górcie... bo tam wiem, co lada obłoczek znaczy; jednakże takie ciepło pierwszego septembris... źle wróży!!

Ptactwo na południe dawno odleciało, a ono ma nos lepszy od najrozumnniejszego astronoma. Nagle, mości panie, ścisną mrozy i zima się da we znaki!...

— E! e! — rzekł, popijając, Ocieski — bywa różnica... Czasem wszystkie omnia chybiają. Dał Bóg ciepło, cieszyć się niem, a w łasce Jego ufać, że nam za to płacić nie każe.

— A ja z panem podkomorzym trzymam — odezwał się Kostrzewa, który, prawdę rzekłszy, trzymał zawsze z tym, z kim pił, i miał po części słuszność.

Babiński milczał, tylko czapki trochę uchylił, jakby chciał lysinę ostudzić, i westchnął. Stało to za aprobatę.

Laskowski wciąż po niebiesiech się rozglądał, choć ich stąd niewiele widać było, lecz uczyły go chmurki przeciągające, skąd wiatr dał, i kolor ich, co się na niebie działo.

— O tak! tak — dodał jakby sam do siebie — zimę będziemy mieli ostrą... Daj Boże, aby nieco wybujałe zboża mróz schwycił, nim śniegi na nie padną, boby to wyprzało z kreteśni...

Wszyscyśmy siali zawczasu... a tu jesień taka, że żyta szczególnie, aż strach.

— To je spasać — odparł Ocieski — i kwita. Ty-leby biedy...

— Spasać!... więcej bydlę wydepcze, niż zje — dodał Kostrzewa — na to przymrozków trzeba czekać.

Babiński znowu głowę ostudził i westchnął, ale tym razem tak, że wszyscy nań spojrzeli, bo czuli, że prosił o głos.

— Ja, mości brdzieju — rzekł — ja, co się tyczy mnie, mam taki system. Na Bartłomieja, mości brdzieju, sieję, rola musi być zrobiona ut sie, zabronowana, jak należy, ziarno czyste, pośladu na siew nie dopuszczam, jak drudzy, słowem, robię, co mogę, a gdym spełnił moją powinność, przeżegnám rolę i, czapkę zdjąwszy, Panu Bogu ją polecam... Reszta do mnie nie należy, umywam ręce.

— Waszność jesteś, jak ten, bodajże go! zapomniałem, co w procesie Trójcy Świętej dawał plenipotencyę i adwokata nawet nie bierał.

Rozśmiali się wszyscy, gdy Kostrzewa to rzekł, a pan Laskowski kontynuował:

— Nie jestem ja też z tych, którzy o Bogu zapominają — mówił — choć pod te czasy siła się ich namnożyło, ale znaki niebieskie Bóg, nie kto inny też pisze, tylko się ich czytać nauczyć potrzeba...

— Tandem — odezwał się Babiński — ad vocem znaków, co nam pan podkomorzy wróży w innych konjunkturach, a zwłaszcza w sprawach Rzeczypospolitej? Boć to i na ziemi osobiwe jakieś widzimy symptomata czasów... Więc ku złemu, czy dobremu idzie... tu sęk!

Kostrzewa ramionami ruszył.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła! Zimę zgadywać jeszcze jako tako się udaje, ba i tym, co kalendarze piszą, ale w politycznych rzeczach... i dyabeł jutra nie zgadnie.

— Ja najgorzej wróżę — począł, rozgadując się, Babiński. — Od czasu, jakśmy Sasów sobie na kark posadzili, coraz ku ruinie idzie Rzeczpospolita... Prawdę rzekłszy, już gdyśmy ich brali, nie było dobrze... a co teraz!

Machnął ręką i umilkł.

Ocieski westchnął i obejrzał się.

Laskowski, rękę za pas włożywszy, choć jeszcze w niebo patrzył, już snadź na ziemię myśl sprowadził, bo natychmiast głos zabrał.

— Że źle się dzieje, nie przeczę — rzekł — ażeby temu sami Sasi winni byli, nego. Uderzmy się w piersi... mądrej głowie dość na słowie...

Chrząknął Babiński. Rozmowa tak zagajona nie szła jakoś raźnie... oglądali się wszyscy, bo ulicą ten i ów przechodził, a wolno ciągnąć, słyszeć rozmawiających było łatwo. Najwięcej też może na zamknięcie ust wpłynęło to, iż nieznajoma figura, która też przesuwiała się wtedy ku zamkowi, wstrzymywała się w pochodzie i zdawała przysłuchiwać.

Był to szlachcic ze staroświecka i dziwacznie odziany, w krótkim żupaniku i kontuszu, w długich butach, w czapce z futrem, z ogromną szablą na wyszarzanych przednicznym rapciach wiszącą, z kijem w ręku, obuszkim zakończonym. Suknie jego z niepośledniego materiału snadź długie lata w kufrach przeleżały, i więcej od tego snu ucierpiały, niż od używania. On też sam, jakby z puzdra go wyjęto, wyglądał — twarz miał żółtą,

wywiędlą, zaschłą, pomarszczoną, policzki zapadłe, oczy zbladłe... a mimo zawiednienia ruchy żywe i niecierpliwe wiele w nim fantazyi i gorącości krwi zdradzały.

Stanąwszy w pewnej odległości od stoliczka, nie oczywiście, ale uszami czegoś zdał się szukać, jakby niedowidział. Lecz jeśli głosu czekał, zawiódł się, bo i podkomorzy i inni zamilkli, przypatrując mu się. Postawszy tedy chwilę, zwolna ku Laskowskiemu podszedł.

Podkomorzy dopiero, lepiej się przypatrzawszy, zawołał:

— Zagłoba! jak Bóg miły.

— A no, a juściż! — odparł podchodzący. — Ja waści po głosie poznałem, bo pod wieczór tyle tylko widzę, że czasem drzewo od człowieka rozpoznam i Niemca od Polaka... I to nie zawsze...

Więc się sobie rzucili na szyję serdecznie bardzo.

— Cóż ty tu robisz! skarbniku!... ty, coś na domatorstwo poprzysiągł? jakżeś się ty z domu wywłókł? Czy proces masz? czy się o urząd starasz? czy ci spokój niemiły?

— Otóż widzisz — począł skarbnik — nie zgadłeś.

Żartobliwym, dziwnym, niby szyderskim mówił głosem, tak, że wszyscy umilkli, ciekawie bardzo nastawiając ucha, bo człowieka i głos i ton zdradza, a rozum się i w dźwięku mowy wydaje. Poczuli tedy panowie Kostrzewa, Ocieski i Babiński, że znajomy podkomorzego musiał być człek nielada, któremu ucha dać było warto.

— Ale naprzód — przerwał Laskowski — na ławie miejsce jest, panie Skarbniku, a u Peszla butelka druga zamówiona... lampeczka wakująca, czyściutka stoi, bo mnie tu znają. Mam taki zwyczaj, od dziadów jeszcze,

że u mnie w domu zawsze u stołu jednym nakryciem więcej jest, niż gości, i do butelki lampek więcej jedną, niż gąb.

To mówiąc, nalewał, a skarbnik się nie bronił i siadł, ale wprzód czapki uniósł i submitował się panom braci, którzy mu też wszyscy po imieniu i nazwisku się opowiedzieli.

— Więc, gdym nie zgadł — ciągnął Laskowski — mów, co cię tu sprowadziło?

Skarbnik z lampki trochę pociągnął, jakby tylko usta sobie chciał odwilżyć. Twarz owa pomarszczona, gdy ją podniósł, oczy zbieleły, usta wpadły, jakimś ogniem wewnętrznym rozjaśnione, zapłonęły.

— Co, Boże miłosierny — począł — co!? mirabilia fecit Deus! na cudam tu przybył patrzeć. Albo to nie widzicie, że cuda się dzieją... i że niema tak błogosławionego kraju, jak nasz... nad którymby opieka Wszechmogącego wyraźniejsza była!!

Wszyscy po sobie spojrzeli, a skarbnik, żartobliwie zawsze, ciągnął dalej, spozierając na swych słuchaczy:

— I com rzekł, dowiodę — mówił. — Jest-li na świecie kraj, któryby nierządem tak wyśmienicie stał, jak nasz? w którymby próżniakom się lepiej działo? gdzieby wina więcej było, a przedniejszego, choć winnic nie mamy? gdzieby jedwabów więcej schadzano, choć jedwabników nie hodujemy? gdzieby złotem sypano hojniej, choć go nie kopiemy? i naostatek, gdzieby dwunastoletnie chłopaki jednego dnia pełnoletność za łaską pańską uzyskać mogli??

Laskowski głową pokiwał, a Babiński obejrzał się bojaźliwie. Ruszył się nawet nieco i, gdyby nie wstyd, byłby się wyniósł może.

Nastąpiło milczenie. Choć niedowidział twarzy skarbnika, poczuł i zrozumiał, że się słuchacze jego języka zlekli.

— Co to o tem gadać! — bąknął Laskowski — na co?

— A o czem-że? O kobietach, jak to u nas zwyczaj, pod rezon, jam za stary, o pobożnych rzeczach nie mam zwyczaju rozprawiać, bo respekt dla nich czuję. Jeśli szlachcicowi de publicis nie wolno, cóż już? chyba głowę zamałować, albo ją na kłódkę zamknąć...

— Ale bo, mój skarbniku — szepnął Laskowski — słyszeliście w Saksonii o tym... o tym starym zamku na górze... Klat go wie, Koenigstein się zowie...

— To pudelko do chowania Sasów — odezwał się skarbnik.

— Tak, ale w niem i kilku naszych zakonserwowano — szepnął Babiński.

Nie znieśzał się stary i popił.

— Ja bo — rzekł — gdy mi język świerzbi... wytrzymać nie mogę. Dyabeł nie tak straszny, jak go malują, a gdyby wszystkich, co się śmieją i stękają, chcieli chować tam, miejsca-by nie stało...

Machnął ręką i rozśmiał się.

— Jak mi Bóg miły, zabawna rzecz — mówił, nie zważając na otaczających. — Ichność panowie, co w mieście częściej bywacie, z damamiście się oswoili; ja, domator... admiruję...

Wtem zwrócił się do Ocieskiego, który głowę miał nad lampką zwieszoną.

— Wszakże mnie uszy nie mylą, JMPan Ocieski?

— Tak jest, do usług.

— Jastrzębiec?

— Niema innych, tylko tego herbu.

— Czyby z Ocieszyna? — pytał uparcie skarbnik, choć odpowiedzi szły leniwo i niechętnie.

— Pisaliśmy się z Ocieszyna — cicho wymówił zagadnięty.

— A no! to któż lepiej o cudach dzisiejszych czasów wiedzieć może nad waćpana dobrodzieja?

Stał się cud, iż graf Brühl, pierwszy minister najjaśniejszego pana, który rodził się kędyś w Turynii, a żył w Saksonii, nagle znalazł się polskim szlachcicem, Jastrzębczykiem i Ocieskim... tak jak waszmość pan! a toż nie mirabilia?

Ocieski tylko głową kiwnął.

— Gdyby nagle sowa, ptak Minerwy — dodał skarbnik — stała się z dnia na dzień jastrzębiem... naturaliści-by z całego świata się zbiegli! Nieprawdaż?...

A no, to rodzina jakaś od Boga uprzywilejowana... Ten sam Brühl z Ocieszyna... ma synka. Synkowi jest lat dwanaście... jeszcze mleko ma pod nosem... Tymczasem Warszawie osieroconej ze starosty grodowego, przez rezygnację wojewody ruskiego, brak głowy i dłoni. W całej Rzeczypospolitej niema człowieka na tę godność, dwunastoletniemu chłopięciu król jegomość łaską swą dodaje lat dziesiętek... dzieciak budzi się dojrzałym, i oto go jutro będziemy widzieli wjazd uroczysty odprawującego na swą stolicę...

Alboż nie cuda? mirabilia!

I śmiać się począł.

Podkomorzy Laskowski po niebie spojrzał.

— Wiecie acaństwo co? Ciepło było, ale zawsze to wieczór wrześniowy, a kto ma w kościach łamanie, temu o tem zapominać nie potrzeba; wotuję więc, aby-

śmy się razem z butelką i lampeczkami pod sklepienie do izby zacisznej przenieśli. Padająca rosa nigdy nie jest zdrowa.

Wszyscy wstali, jakby uradowani wnioskiem; skarbnik się rozśmiał i poszedł za ich przykładem.

— Na czym wózku jadę, tego piosnkę śpiewam — rzekł — z lampeczką podkomorzego idę za moim winodawcą. Macie słusność, pod dachem zawsze zaciszniej, a nuż co padać zacznie?

Przez okno otwarte Laskowski zawołał chłopaka, który w koszuli i fartuchu związał się po izbie, i kazał mu szkło zabierać. Poszli tedy processjonaliter, gęsiego, dla niezbyt szerokich drzwi, jedni za drugimi, skarbnik przodem, Laskowski, Kostrzewa, Babiński, tylko się Ocieski coś ociągał.

— No, a waszmość? — pytał Babiński.

— Nie bardzo mi się chce — szepnął Ocieski — to jakiś, mocidzieju, wyszczekany kawał konfederata... i już mi łatki przypinać zaczął.

— Ale chodź! Co bo znowu! — fuknął Babiński, i popchnął — a to pomyśli, żeś się go zląkł!

— I to racya — rzekł Ocieski.

Poszli tedy, ale nie zatrzymali się w pierwszej izbie, gdzie kilka osób w warcaby grało, a po kątach sączono z kuflów. Podkomorzy, który u Peszla był, jak w domu, zaprowadził do bokówki, gdzie nikogo nie było. Tu chłopak stołki prędko fartuchem pościarał, stół zdmuchnął, butelkę na nim ustawił, a sam po świecę poszedł, bo w izbie się ściemniało.

— A toż to nie cud? — ozwał się, dalej ciągnąc, skarbnik, któremu jego myśl snadź w głowie tkwiła — toż nie cud, że szlachta polska tak się stała w rękę

saskiego ministra potulną, iż ją jak воск miękki ugniatą i czyni z niej, co mu się żywnie podoba??

Ocieski, w izbie śmielszy, siedział bardzo nadęty. Ledwie tych słów dokończył Zagłoba, rzucił się z impetem wielkim.

— Bóg widzi — począł, wybuchając — że ja zwady nie szukam, jestem człek spokojny, ale znów nie mogę ścierpieć, by mi docinano.

Skarbnik spojrział nań bardzo zdumiony.

— Albo co?

— Bo, że Ocieski jestem, i że Brühlowi szlachectwa i herbu nie przeczę... to mi pono za złe macie?

— Albo mówił?

— No, nie, a samo z siebie to wyszło — począł Ocieski — a gdy raz o to się potrafiło... clara facta, trzeba się tłumaczyć.

Skarbnik oczy nań zwrócił, szlachcic wstał i wziął się pod boki.

— Powiem wszystko, bo się nie sromam i nie taję tego, com uczynił. Szlachcic jestem i byłem, ale nas różne vicissitudines do mizernej substancyi przywiodły. Miałem chłopów piętnastu, a dzieci pięcioro. Jejmość i ja jużśmy niemal kochać się bardzo obawiali, żeby błogosławieństwa bożego więcej nie przybyło... Tandem, deus ex machina, jawi mi się jednego dnia, poszóstno, urzędnik koronny, którego nie wymienię. W bramę z karocą zajechać nie mógł, bo ta tylko dla fur z gnojem i dla bryczki była zbudowana.

We dworze popłoch, dzieci do ogrodu pouciekały, a starszy się nawet w pokrzywach poparzył, jejmość na strych drapnęła... zostałem ja w kitlu płóciennym, przy-

muszony stawić czoło jaśnie wielmożnemu, ba, nie zdradzając tajemnicy, jaśnie oświeconemu.

Ten, u bramy wysiadłszy, dwom dworzanom psy podwórzowe przykazawszy trzymać w respekcie, wprost do mnie do ganku.

Byłem pewien, że albo koło mu się w drodze złamało, albo oś pękła, bo coby u mnie taki dygnitarz robił? A no, wola boża, o kowalu tylko myślałem.

Wita mnie, ja mu się submituję.

— Szanowny panie bracie — rzecze — ja tu do waszmości w pilnej sprawie, więc się wpraszam gdzie na ustęp, abyśmy swobodnie pogadać mogli.

Myślałem tedy, ani chybi! sejmikowa sprawa; ale skąd mu z tem do mnie, hreczkosieja i domatora? Idziemy tedy. Łbem się o uszak wyciął w progu i, śmiejąc się jeszcze, a trąc czoło, rzekł: wysokie progi. W izbie gościnnej, gdzie dzieci harce wyprawiały, nieład był, choć płacz, ale oświecony na to nie zważał. Siadł. Jam, kitla zapiąwszy, stał, co też to będzie.

— Widzę u waszeci pana brata skromny domek — rzekł — po staroświecku.

— Tak, panie wojewodo: Maciek zrobił, Maciek zjadł.

— A dziatki Bóg dał?

— Pięcioro! — westchnąłem.

— Chwałaż Bogu! to największa pociecha; hodują się zdrowo?

— Nienajgorzej.

Czekam aż o sprawie zacznie, a ten wciąż kółuje, gdyby kałużę objeżdżał. Patrząc mu w oczy, dławi się, idzie mu nierzadno. Pyta o familię, spowiadam mu się

z dziada i pradziada, słucha. Dowiaduje się, czy nas więcej jest, mówię mu, że sam.

Wodził mnie tak z pół godziny, naostatek powiada:

— Dziwnie to losy ludźmi rzucają, a gdy Pan Bóg komu chce poszczęścić, osobliwszych do tego środków zażywa. Muszę waszmości powiedzieć, o czem pewnie nie wiesz, że ów Jan Brühl, na Ocieszynie, podkomorzy poznakiński, za Kazimirza Jagiellończyka, od którego się wywodzicie, miał rodzeniuteńskiego brata, który się wyniósł do Niemiec.

Tum krzyknął: — Chowaj Boże! — a ten znak ręką dał: — Wysłuchajcież. — Słucham tedy. Jał prawić, że grafowie Brühlowie są jego potomkami i że się chcą szlachtą polską wywodzić... Jeszcze dobrze nie rozumiałem, co z tego ma być, gdy głos zniżywszy dodał: — Dziesięć tysięcy czerwonych złotych przywiozłem z sobą. Chcesz je mieć, krótka sprawa! Grafa Brühla do herbu i rodziny przyjmiecie...

Dopiero mi się wyjaśniło.

Skłoniłem się oświeconemu do kolan. — Łaskawco, rzekłem, dawniej szlachta do herbów, z pozwoleniem, zaśluzonych chamów przyjmowała, nie za to nie biorąc; a ja bym grafowi za dziesięć tysięcy czerwonych złotych miał tej satysfakcyi odmówić? Toćbym głupi był.

— Masz słusność — odparł przybyły dygnitarz. — Cyrograf mi podpiszesz, worki ci oddam i rzecz skończona. A teraz daj co zjeść i czem gardło popłókać, bom jak pies głodny.

— No — kończąc historję, dodał Ocieski — tyle powiem, że wódki i miodu kazał przynieść, jejmość na prędcę jajecznicę zrobiła i bigos się znalazł; wioskę

zaraz kupilem, i w rok mi szóste dziecię na świat przyszło.

A mam tego za cztery litery, kto myśli, że źle zrobił.

Dano brawo Ocieskiemu, Babiński go pocałował.

— Ja i bez czterech liter — odezwał się skarbnik — pochwaliłbym wasze postępowanie. Z szoldry zrobić szlacheica polskiego, toć to i sztuka i zasługa!... Ale czyś waszmość dał przynajmniej na mszę na tę intencyę, żeby mu Bóg zesłał gratiam status, i żeby mu ze szlachectwem sentymenta się złąły, które nobilitati są właściwe?

— To nie moja rzecz — odparł Ocieski — niech on się o to stara!

Wypił jednym tchem szlacheic lampeczkę i drugą sobie nalał.

— Stało się — począł skarbnik — i oto jutro dwunastoletni synalek nowo odkopanego szlacheica wjeżdża na gród warszawski.

— To się nie chwali! — mruknął Ocieski — boć to drwiny albo z nas, albo z całego świata.

— A, tego asindziej nie mów — z przybraną powagą odezwał się skarbnik. — Ażeby o tem sądzić, głębiej trzeba zajrzeć w misteria pewne, i oto te gratiae status, o których tylko co wspomniałem. Wiadomo światu, że gdy małoletni pozostanie dynastą... lat mu dodają i panuje tak dobrze, jakby wasy miał. Brühlowie tak blisko stoją tronu (tu odchrząknął znacząco), iż przywileje monarchiczne na nich spływają.

Szlachta nie odpowiadała.

— Ale co bo tam o tej materji, tak łaskotliwej, prawić mamy! — odezwał się Laskowski — ot raczej

powiedzcie, panie skarbniku, co tam na prowincyi sły-
chać? Jak się obiecują urodzaje? jakie ceny? co z Gdań-
ska? Czy omlotna pszenica?

— Wszystko najwyborniej — odparł szydersko skarb-
nik — raj, błogosławieństwo boże... jedz, pij i popuszczaj
pasa! Bo, proszę was, wszyscy wiecie, że naszej ziemi
tylko pognoju brakło. Król JMśc saski umyślnie nam
wojsk nastął cudzoziemskiego autoramentu, i tak nam
pola ugnoli, że gdzie kapucyna posiał, kozak się rodzi!

Na prowincyi wszyscy szczęśliwi tak, że im słów
braknie, aby to szczęście opisać, i dlatego milczą.
Z Gdańska najlepsze wieści, powiadają nawet, że dla-
tego, aby się ceny w porcie podniosły, oddamy go Pru-
sakowi. To gospodarny człek... zaraz pszenica podrożeje.
Cóż tedy chcecie?

Hulanka u nas taka, szlachta się roztańcowała, że
chłop nosa boi się wytknąć. Słowem, mirabilia!

Wszyscy umilkli; podkomorzy Laskowski, człowiek
stateczny i poważny, uczuł, że skarbnika więcej pytać
nie wypadało, bo się za daleko puszczał. Zagadano i
o innych rzeczach i buteleczynę trzecią dano na stół.

Babiński się jednak milczkiem wyniósł, Kostrzewa
w kąt zaszył, a Ocieski, nadrabiając fantazją, podparł
się, łokcie na stole położywszy, i wprost w oczy patrzył
wyzywająco na skarbnika. Ten, Bogu ducha winien, po-
wiek też nie zmrużył, a Laskowski zwrócił konwersację
na ową jesień i prognostyki przyszłej zimy.

Ze skarbnikiem było przytrudno, bo on i mrozy
umiał wykladać po swojemu, aby z obecnych spraw, lu-
dzi i toku wypadków przedrwiwać.

Tak się to do nocy prawie przeciągnęło, aż na-
reszcie Ocieski, posłyszawszy późną godzinę bijącą na

zegarze, do odwrotu się zabrał. Zostali tylko Laskowski
i Zagłoba.

Klapnął po kolanie przyjaciela podkomorzy.

— Niepoprawny waszmość jesteś — rzekł cicho. —
Dobrze to sobie postękać i pobiedować we cztery oczy,
ale tam, gdzie osób więcej, bezpieczniej milczeć. Uczci-
wić ludzie wszyscy, ale języki świerzbą, po co sobie
robić nieprzyjaciół?

— Ja bo, widzisz — cicho szepnął skarbnik —
tych, co mi nieprzyjaciółmi być mogą, gdyby przyja-
ciółmi być chcieli, gorzejbym się obawiał jeszcze. Bóg
z nimi! W sumieniu spokojny... non curo verba ma-
lorum!... Prawdy się nie zaprę. Verbum nobile
powinno być nietylko stabile, ale i świętemu prze-
konaniu stać na świadectwo. Jak milczę — znoszę wszyst-
ko; gdy usta otworzę — kłamstwa przez nie nie prze-
puszczę, bobym sobie nietylko usta, ale i duszę powa-
lał. — Machnął ręką — Bóg z waszecią! — I poszedł.

II.

Ruch cały i życie skupiało się naówczas w stolicy
nie około zamku, który stał niemal pustkami i tylko cza-
su sejmu lub wielkich uroczystości służył swemi obszer-
nemi komnatami na przyjęcie licznych zgromadzeń —
ale około saskiego brühlowskiego pałacu, gdzie król prze-
bywał i wszechmocny jego minister, Saksonią i Polską
władający.

Obaj królowie ostatni wprowadzie nawiedzali War-

szawę, a z musu niekiedy jakiś czas w niej spędzali, lecz pobyt w tej stolicy mniej im daleko smakował, niż w Dreźnie, gdzie, jako dziedziczni monarchowie, władzę mieli nieograniczoną i wszystko pod ręką, co życie uprzyjemniać mogło. Do Polski, oprócz zwierzyny, w którą obfitowały lasy, wszystko z sobą przywozić było potrzeba; szły muzyki za obozem, jechali aktorowie i teatralnicy, wiozły karety piękne panie, ciągnęły gwardye, wieziono wina i puławy; słowem, cały świat Augustów przenosił się z nimi chwilowo nad Wisłę.

Tu jakoby rządy szły dziwnym kierowane sposobem. Na pozór nikt się nimi nie zajmował, puszczano je na łaskę bożą, przecież działo się tylko to, czego sobie życzone. Przyjaciele i nieprzyjaciele, jedni chętnie, drudzy mimowoli przyczyniali się do tego. Nici i sprężyny wszystkiego skryte były głęboko; ręce, co niemi władały, nie wychodziły na wierzch, a maryonетки skakały przecie, jak im muzyka z Saskiego pałacu zagrała. Kapelmistrz był doskonały... Od lat ostatnich panowania Augusta II, ważne to stanowisko zajmował hrabia Brühl, z malutkiego pazia i niezamożnego szlachcica wyrosły na wszechmogącego władcę. W Saksonii protestant, katolik w Polsce, tam się wywodził z Gangloffsömmernu, tu z Ocieszyna — nad Łabą panował z pomocą Koenigsteina i Pleissenburga — nad Wisłą sztuką nadzwyczajną zyskiwania sobie ludzi, których do spółki przypuszczał.

Przy królu Augustcie Mocnym był najpierwszym sługą, u następcy potrafił być panem w całym tego wyrazu znaczeniu, trzymając malowanego króla pod najściślejszą strażą w przyjemnem więzieniu, które rozrywało myślowo, teatr, sztuki piękne i gnuśny spokój u niedostępnego domowego ogniska.

Brühl był niezaprzeczenie jednym z najzręczniejszych i najśmielszych kuglarzy, jacy pod imieniem ministrów bawili się naówczas losami Europy. Wiedział on, jakim do kogo mówić tonem i jak osnuć przedzę, aby się we wzory pożądane utkała. Szczęście służyło mu nadzwyczajne, a ile razy zawiódł go los, nigdy głowy i przytomności nie stracił. W domowym pożyciu też był równie zręcznym i zuchwałym, wiodło mu się dziwnie, a ludzie zazdrościli, zdumiewali się i uśmiechali. Jedną z najpiękniejszych kobiet dworu królowej, dziecię znakomitej rodziny, oddała mu rękę swoją, aby z nim podzielić losy.

Z sercem czy bez niego oddana, piękna ta rączka, silniej niżby się zdawało, podpierała ministra. Hrabina Brühl miała wolę swoją i fantazyę, minister, wielbiąc ją, nie krył się z pobocznymi stosunkami, wzajemnie pobłażano słabościom, a oboje rodzice, choć zajęci i państwem i światem i zabawami i intrygami, nie zapominali o dzieciach.

Najulubieńszem dziecięciem był ich pierworodny. Ale bo też, jeśli są na świecie cudowne istoty, Alojzy z pewnością do nich należał. Przyszedł na świat z uśmiechem na ustach i szeroko otwartymi oczyma, silny, zdrowy, piękny, na uwielbienie tych, co mieli szczęście tego aniołka widzieć w kolebce.

Zdawało się, że mu było pilno rosnąć, by żyć i używać... Nie miał czasu być dziecięciem. Zaledwie chodzić się nauczył, gdy go w atłasy i koronki ubrano, przypięto mu szpadkę drewnianą z rączką porcelanową, włożono na korkach trzewiki i w peruczce złotowłosej wyprowadzono na pokoje. Mały bęben od razu chwycił trójgraniasty kapelusz pod pachę, jak gdyby go całe

wieki już nosił — i nie pośliznął się ani razu na woskowanych posadzkach. Chwytała go królowa na kolana, brał chętnie król jegomość, czasem na żart dym mu z fajki w nos puszczając. Mały Alojzy dawał naówczas klapsa swemu dostojnemu ojcu chrzestnemu, ale nigdy się nie rozplakał. Kochali się z sobą okrutnie.

August III wystrzygał dla niego rybki i ptaszki papierowe, i obaj nieraz stawiali z kart domki, z równym zapalem, z tą różnicą tylko, że monarcha uroczyściej się tą architekturą zajmował, gdy chłopię często jednym zamachem piramidy jego obracało w gruzy.

Dano malcowi nauczycieli najrozmaitszych, ale matka była najpierwszym. Jej wejrzenie, słowo, rzekłbyś oddech wlewał w dziecię jakimś cudownym sposobem rozum, wiedzę i instynkty.

Ojciec się nim mniej zajmował, ale kochał na równi z matką. Alojzy nie wiedział sam, kiedy się czytać i pisać, ani jak nauczyć. Mówił od kolebki po niemiecku, po francusku, po włosku i wcale mu to się w głowie nie mieszało. W wolnych chwilach węglem po ścianie, kredą na tablicy rysował takie rzeczy, iż starzy, patrząc, tylko głowami kiwali. Klawicymbału trochę nauczyła matka, trochę Włoch, najwięcej on sam siebie... ale to mu nie starczyło, musiano się postarać o skrzypce. W dziesiątym roku konno jeździł i pływał lepiej od tych, co go uczyli.

W ciągłym ruchu myślą i ciałem, rozwinał się na silnego chłopca, tak, że rówieśnik żaden mu nie dotrzymał. Nic dlań trudnego nie było — aleć wszystko ciekawe. Nienasycona żądza uczenia się i łamania z trudnościami paliła go od dzieciństwa. W kuźni u kowala zachciewalo mu się nauczyć władać młotem, gdy sły-

szal kapełę, pragnął zaraz grać — a książka w obcym języku niepokoiła go, póki sobie nauczyciela do niego nie wyprosił. A że ojciec był wszechmogący, że matka była rozkochana w tym cudzie, nazajutrz znajdowano nauczyciela... w tydzień Alojzy szwargotał, a gdy raz przedarł się przez pierwsze trudności, dalej szedł już sam, nie pytając.

Nigdy bardziej rozbudzonego nie widziano umysłu. Strwożeni starzy radzili powstrzymywać młodego szaleńca, obawiając się, aby tak wczesnie rozwijające się władze nie spaliły wątłego stworzenia. Lecz któżby był mógł już naówczas pieszczone dziecię, rozkołysane, wybujałe zmusić do spoczynku?

Dziwna rzecz, całusy i uściski, pochlebstwa jednych, miłość drugich, admiracye i oklaski, co go popsuć mogły, uczyniły tylko rozumnym przed czasem. Poznał ludzi, nim się miał czas w nich rozpatrzeć. Dwór Brühla, jak królewski, dawał mu gotowe próbki wszelkiego rodzaju.

Chłopak wkrótce zdumiewać począł nadzwyczajną trafnością w poznawaniu ludzi.

Słowem, było to istotne cud-dziecię. Na dworze saskim już się z tem oswojono, ale w Warszawie nikt przyszłego pana starosty grodowego nie znał i nie domyślał się. Śmiano się z tego... bębna, przewidując, że chyba z niańką razem na grodzie zasiędzie.

Alojzy miał lat dwanaście. Król reskryptem swym dodał mu wieku, aby mógł rozpocząć urzędowanie. Niepraktykowana to była rzecz naówczas, śmieszna zdala, lecz dla młodego Brühla niemal usprawiedliwiona.

W istocie chłopiec ten i na oko i zblizka mu się

przypatrzawszy, a badając, starszy był daleko od swojej metryki.

Tego wieczoru właśnie, gdy pan podkomorzy Lasowski u Peszla swych znajomych i przyjaciół traktował, w pałacu Saskim, na sali od ogrodu, rzęsiście oświeconej, było u ministra przyjęcie i narada.

Pan wojewoda ruski, mąż powagi wielkiej, ale polityk nie mniejszy, który był się zrzekł warszawskiego starostwa, dla dogodzenia Brühlowi, bo ten na nie zawczasu syna chciał instalować, aby się w łaski obywatelskie wkupił, pan wojewoda mazowiecki Stanisław Poniatowski, całe grono kontuszowych i frakowych panów, wygolonych głów i peruk fryzowanych otaczało ministra, na ten wieczór wystrojonego ze smakiem sobie właściwym. Sala zamkowa na wzór komnat pałacu drezdeńskiego urządzona, acz z daleko mniejszym przepychem, polyskiwała od mnogich świec jarzących, snopami u ścian pozapalanych w brązowych świecznikach. Jasno-cytrynowe obicie jej jedwabne, w ramach białych i złotych, odbijało jeszcze blask ten obficie się rozlewający dokoła i łamiący w kilku weneckich zwierciadłach, umieszczonych między oknami. W dwóch kończynach sali, w ramach misternie giętych i przeplatanych złotymi kwiatów wieńcami, stały dwa wielkie wizerunki Augusta II w płaszczyku królewskim, z buławą w dłoni, i syna jego, za którym ulubiony murzynek niósł szyszak... jakiego on pono nigdy nie włożył na głowę. Szlafmyca była mu upodobana.

W jednym końcu sali właśnie Brühl, dwaj wojewodowie, kilku Sasów i daleko większa liczba kontuszowych przyjaciół ministra, otaczali młodego pana Alojzego, któremu dawano nauki, jak się dnia jutrzejszego miał znaj-

dować. Dwunastoletni starosta, który jutro, z mocy nadanej mu pełnoletności, miał uroczystą składać przysięgę, acz wzrostem nie dochodził żadnego z tych rozrośniętych i barczystych panów, którzy nań z góry osłupiającymi niemal poglądali oczyma, acz w nim dziecko widzieć było, że swobodą osobliwszą się poruszał.

Ładna ta laleczka, wyprostowana, z podniesioną główką, z oczyma jasnymi, stała z taką rażącością, rozpatrując się i słuchając, co jej mówiono, tak się uśmiechała rozumnie, iż ci, co ją po raz pierwszy widzieli, ze zdumienia do siebie przyjść nie mogli.

Szatan zdał się siedzieć w chłopcu. Ojciec z tryumfem spozierał na niego, niektórzy z pewnem niedowierzaniem, jakby własnym nie ufali oczom i lekali się, by to widzenie osobliwsze lada chwila nie przyszło.

Obraz był do malowania, godzien pędzla Silwestra. Otaczająca młodzieuchnego pana starostę grupa na pół ze wschodnim przepychem jaśniejących strojów, w pół z francuskich elegantów złożona, łączyła w sobie jakby dwa światy, które się tu zetknęły i zlały.

Coś jeszcze rycersko-pańskiego widać było na rozlanych już i zmiękłych obliczach szlachty mazowieckiej, zgnuśnialej pod ostatnimi panowaniami; w rysach Brühlów, Flemingów i Vitztumów czuć było cywilizację wybujałą i nadwątloną zbytkiem a wytworem. Na czołach podgolonych jakaś zaduma ospała spoczywała, po tamtych igraszkach łatwy, myśl żwawa, ale płocha... lekceważenie wszystkiego.

Dwa światy stały tu pojednane z sobą i zgodne, a mimo to jakby do walki gotowe. Tym razem tylko walka nie na pospolity oręż odbyć się miała, choć równie jak od żelaza mogła być krwawa.

W uśmiechu Brühla i jego spojrzeniu widać było pewność zwycięstwa, które miał dać rozum i przebiegłość — na czołe wojewody ruskiego, przedstawiającego owo najpotężniejsze w kraju stronnictwo, familię — rzekłbyś, że przy powadze i majestacie zakradła się wiara w rachubę, która umyślnie prostotą i szczerością się okryła. Niktby w nim nie odgadł, że o lepszą walczył z Brühlem i czuł się na siłach pokonać ministra, przecież czasem bystre spojrzenie bodło, jak żelazce, gdy niepostrzeżone poleciało. Gdy w oko patrzali sobie, Brühl był słodyczą samą, pan wojewoda samą prostotą i otwartością. Czy sobie wierzyli, któż odgadnie! ale tego wieczoru byli tak serdeczni, jakby się braćmi rodzili i zbrać jeszcze ściślej żądali. Minister zdawał się nie mieć tajemnic, książę wojewoda dozwalał sobie do dna serca zaglądać. I co chwila książę ścisnął hrabiego, hrabia rzucił się w objęcia wojewody.

Radość i wesele panowało powszechne, mówiono otwarcie. Na pokojach też nie było nikogo, oprócz przyjaciół ministra i tych, co mu tu służyli.

Młody chłopak wytrzymał egzamina ojca i przyjaciół jego z aplauzem wielkim. Kazano mu odezwać się po polsku. Choć nieco zarywał z cudzoziemską, nie zmieszany pozdrowił jaśnie oświeconych, wielmożnych i miłościwych panów a braci.

Wojewoda mazowiecki aż go ucałował, a Brühl zapłacił zaraz Poniatowskiemu za syna i do piersi go swej przycisnął. W tej chwili dwóch kamerlokajów w karnarkowej liberyi ze srebrem otwarło drzwi drugiej sali, muzyka na galeryi zabrzmiała marszem i całe towarzystwo do jadalni ruszyło.

Przyjęcie u króla było też królewskie, choć sam

monarcha nie znajdował się w Warszawie i prawa ręka pańska go zastępowała. Było naówczas zwyczajem chwili biesiadowania i miejscu, w którym do uczty przystępowano, nadawać jak największą świetność, jak najwytworniejszą fizyognomię. Zasiadający do jedzenia pał najprzód oczy widokiem sreber i kryształów, kwiatów i łakoci, które czekały na ostatnie danie, muzyka czarowała uszy, woń napawała powonieniem, wszystkie zmysły używały, cała istota ubłogosławiała się rozkoszą i zapominała niemal, że była śmiertelną.

Z takiej uczty wychodził, kto mógł wyjść o swej sile, dziwiąc się, iż na świecie czarno było i smutno, a chłodno. Wielu wśród snu sardanapalowego traciło pamięć początku i końca, pomnać tylko błogie wrażenia owego raj, z którego wynieśli go hajduacy do lektyki lub karocy.

Tego wieczoru kobiet, czarodziejek, któreby urok biesiady podniosły czarnemi oczyma — nie było, za to tem większa panowała swoboda.

A że przyjęcie już szło niemal na rachunek przyszłego starosty, młody Brühl, wedle obyczaju polskiego, nie siadł do stołu i, obchodząc gości, każdemu się z kolei submitował, do każdego coś innym przemówił językiem, wszystkim umiał grzecznością wypłacić za ich uprzejmość.

— Przyznać trzeba — szepnął na ucho książę wojewoda panu Poniatowskiemu — że chłopak istotnie osobliwy. Nowego Mirandola wydała na świat żona ministra. Jeśli pożyje, dojdzie wysoko.

Wojewoda mazowiecki piękną swą twarz zwrócił ku szwagrowi milczący, i ruchem głowy potakiwać się zdawał, ale co oczy mówiły, zgadnąć było trudno.

Po pierwszych kielichach poczał się szmer wesół, niby pszczoł w ulu modlitwa, gdy z obfitym zbiorem powróca; za drugimi śmiechy gdzieniegdzie strzeliły, jak salwy radosne; dalej huk głuchy się rozległ i hałas taki, iż niemal przygrywającą muzykę zagłuszył; wreszcie po pierwszym toaście krzycheć jęli kontuszowi na całe gardło.

Wtem, jakby mak siał, oczy się zwróciły wszystkie w jedną stronę: śliczna lalka w aksamitach i koronkach wskoczyła zręcznie na krzesło, z kielichem w ręku. Tylko mu było przypiąć skrzydełka, aby do jednego z tych cherubinków był podobny, których z saskiej porcelany kunsztownie lepiono.

— Toast wdzięczności! — zawołał chłopak — łaskawych nad miarę serc panów a braci, którzy nas zaszczyścić raczyli.

Reszty usłyszeć nie było podobna, tak huknęli wszyscy, kielichy w górę wznosząc a wołając:

— Starosty naszego zdrowie, wiwat! wiwat in aeternum!

Ogromny szlachcie, jak olbrzym zbudowany, wypił najprzód wino, kielich cisnął o ziemię, potem pochwyciwszy wyrwijącego się małego Alojzego, podniósł go w górę, wołając na zabój:

— Wiwat! wiwat!

A że mu się już dobrze kurzyło z czupryny, minister się zląkł, żeby mu i syna o ziemię nie rzucił. Wycałowanego jednak starostę puścił wielbiciel, pomiawszy go tylko trochę.

Po tym epizodzie uczta się miała ku końcowi, bo nazajutrz siły były potrzebne. Jutro dopiero uroczystością wspaniałą i biesiadą lukullusowską dla całego woje-

wództwa Mazowieckiego odznaczyć się miało. Zapiwszy więc ostatnie „kochajmy się“, zwolna zęgnąć się zaczęli goście. Dostojniejszych minister, zawsze grzeczny do zbytku, aż do przedpokoju i ganku wyprowadzał.

Starosta też, jak wytrawny gospodarz, nie chybił nikomu, i powagę umiał przybrać taką, iż się jej dziwić było potrzeba.

Po odjeździe wojewody ruskiego, minister wprost z antykamery przeszedł do swoich pokojów. Alojzy, pocałowawszy go w rękę i skłoniwszy się, w drugą stronę wysunął się w towarzystwie mentora, nad którym tak przewodził, iż raczej on się jego uczniem mógł wydawać, niż pan Alojzy jego wychowawcem.

Służba gasiła światło w żółtej sali i wypijała resztki z kielichów zapomnianych na stole, gdy minister szybko wbiegł do gabinetu.

Tu wszystko gotowe było na jego przyjęcie; dwóch lokajów zdjęło suknie, obuwie, wdzieli nań atlasowy szlafrok, uwolnili od peruki, którą lekka zastąpiła czapeczka, fotel znalazł się też, i Brühl, w mgnieniu oka rozebrany, siedział u stolika.

Ruchem ręki dał znać... i znowu na milczące to skinienie posłuszne otwały się drzwiczki, a w nich pokazała się jedna z tych postaci, które, jak nietoperze, w nocy dopiero na świat wychodzą.

Dla obcych zestawienie z sobą pełnego elegancji i wdzięku ministra z tym zeschłym człowiekiem niepoacieśnie ubranym, do jakiegoś świata niezrozumiałego należącym, mogło być niepojęte.

Co Brühl chcieć od niego i mieć z nim mógł wspólnego?

Wchodzący miał lat około pięćdziesięciu, lub mo-

że ich nie miał nad trzydzieści kilka: wieku trudno się było dobać z twarzy, która nigdy świeża nie była, a może nigdy młoda, i dlatego też starą nigdy być nie mogła. Jedno ramię wyższe od drugiego głowę z prawej strony zasłaniało. Z bladego oblicza, na którym nie bardzo wydatnie popłatały się nos i usta, marszczki, fałdy i plamy żółciowe, tylko ogromne wypukłe oczy czarne naprzód się i najdobitniej przedstawiały. Zdawało się, jakby nie miał prócz oczu i żył tylko niemi. Strój niby polski, szary, skromny, trzymał środek między europejskim a narodowym. Ani szabli, ani szpady nie miał przy boku. Wszedłszy we drzwi, począł się do stolika zbliżać tak cicho, tak nieznacznie, iż go za widmo wziąć było można. Brühl podniósł ku niemu oczy i uśmiechnął się. Gość mu się skłonił, ale bez zbytniej uniżoności.

— Siadaj, panie starosto — rzekł po francusku — bardzo proszę, musimy pomówić z sobą, choć jestem dniem dzisiejszym zmęczony śmiertelnie, choć jeszcze pocztę odprawić muszę, choć mi głowa pęka.

Nazwany starostą wziął krzesło, odsunął je nieco i przysiadł na brzeżku, ale ust nie otworzył.

— Przyjacielu — odezwał się Brühl z gorączkowym pośpiechem — przyjacielu, bo ci to imię należy, mów, mów mi otwarcie. Nie wiem jak rzeczy stoją. Na oko wszystko idzie jak z płatka, lecz właśnie, gdy się tak dzieje, najwięcej się trwożę. Nie dowierzam nikomu.

Familia jest mi zupełnie oddana. Widzicie, co książe wojewoda uczynił dla Alojzego, on i Poniatowski na rękach go noszą, służą mi... słowem...

— Słowem — odezwał się cichym bardzo, ale wyraźnym głosem starosta, który rękę z palcami suchymi

podniósł i w powietrzu trzymał zawieszoną — słowem chcąc Waszą Ekscelencyę wziąć, pozyskać, związać wdzięcznością i panować w Rzeczypospolitej.

Familia jest potężna, a każda potęga straszna. Brühl zamilkł chwilę.

— Sądzićież, iż ja tego nie widzę i nie rozumiem? Lecz oni mnie, ja ich potrzebuję, służymy sobie wzajemnie, bronić się musimy i popierać, pakt jest obustronny.

— A tak — odrzekł starosta — z tą tylko różnicą, na niekorzyść Waszej Ekscelencyi, że oni są w domu, a hrabia, obcy zawsze, zajęty Saksonią, musisz być na ich łasce.

— Nie zapominajcie o tem, że ja i król, pan mój najmiłościwszy, jesteśmy jednym, i że, gdybym w obrobie praw moich potrzebował sprzymierzeńców, znajdę ich zawsze... w nieprzyjaciolach rodziny.

— Na tych nie zbywa — szepnął starosta — ale któż ich zbije pod jedną chorągiew? to trudnoby było Waszej Ekscelencyi. W tym kraju, który ja, jako z Prus doń należący, swoim nazywać muszę... jest niemal tyle obozów, ilu ludzi... Zowiemy się braćmi, ale jemy, jak wiley...

Brühl nie zdawał się słuchać z wielką uwagą.

— Powiedzcież mi, co szlachta prawi na to, co się jutro odbywać będzie?

— Mam prawdę rzec? nieprzyjemne rzeczy... Pryskają strasznie, ale bo też niewidziana się stanie osobliwość, tam, gdzie pod wąsem młodzień od ojców batogi bierze, by dwunastoletni chłopak starej szlachcie przewodził. Nie w smak to naturalnie.

Brühl dumnie jakoś podniósł głowę.

— Mój starosto — rzekł — jedno na moją ekskuzę mogę powiedzieć: chłopiec dojrzalszy jest, niż nie-jeden wasz zadowolony szlachcic. Zobaczycie go ju-tro, ani chybi. Mazury go na rękę nosić będą.

— A, wróciwszy do domu, dziwy prawić i wy-myślać.

— Cóż mi to szkodzi? — dodał Brühl. — Chłopak powoli dorobi się miłości u ludzi. Sprytu ma dosyć, pu-szczę go w świat jeszcze, aby się uczył i przecierał, tu go podstarości i urzędnicy zastapia. Bądź co bądź, stosunki w Polsce utrwalić muszę, z Alojzego zrobię szlachcica i pana polskiego, córki wydam za magnatów. W złym razie, gdyby Saksonię choć chwilowo losy cięż-kie spotkać miały, znajdziemy tu przytułek i ojczyznę.

Spojrzał na starostę, który rękę na poręczy krze-sła coś wygrywał palcami.

— Niepewny grunt, trzęsawisko — odezwał się zeicha — radzę ostrożność... a rodzinie nie zawierzać i jej się nie spowiadać z niczego. Jeśli się nie mylę, a nie sądzę, bym mógł się mylić, zamiary jej i plany się-gają daleko... wysoko. Któż wie? aż do tronu może. Oni potrzebują tu ładu, rygoru, porządku, którego niema... Waszemi rękami anarchię pogrzebią, a gdy wy im do tego dzieła pomożecie, dla was wpływu wszelkiego za-parta zostanie droga. Naówczas oni panować tu będą.

Brühl się rozśmiał.

— I wy myślicie, że ja w Rzeczypospolitej ten ład zaprowadzić dozwolę? Bardzo dobrze rozumiecie, cze-go chce rodzina, muszę jej do czasu ulegać i iść z nią razem... lecz... nie przejdę granicy... Idąc razem, wiem drogę...

Starosta spojrzal ironicznie.

— Myślicie, że oni się wam z niej wypowiadają, albo pójdą tak prosto, aby ją było można odgadnąć?

— Mój starosto — dodał Brühl — wiedźcie jedno: ja nikomu nie ufam, nikomu nie wierzę i niezem się nie wiąże. Kajdan nigdy nie nakładam sobie; polityka moja, znacie ją, tak prosta, jak tylko być może. Patrzę, skąd wiatr wieje, co dzień każdy przynosi, i z dniem każdym ster i żagiel odmieniam... Ja w żadne systemy nie wierzę.

To mówiąc, wstał Brühl.

— Jak wy jesteście u rodziny?

— Ja, mały, nieznaczny człeczek? ja? nikt tam na mnie nie patrzy. Głupiego udaję, z tem mi najlepiej... Ale rodzina szlachtę choćby pruską i inflancką... zna tak całą, że jej koligacye na pamięć umie, więcem nie obcy. Z tradycyi jesteśmy dobrze... w teraźniejszych cza-sach neutralnie...

— Nie zaniedbuj ich! — szepnął Brühl. — A z Po-tockimi i Radziwiłłami...

— Wsunę się ja wszędzie, gdzie potrzeba — rzekł starosta.

Brühl mu rękę podał.

— Bądźcie mi przyjacielem, nie zawiedźcie się — rzekł cicho. — Jużbym wam o to teraz, gdy koło Elblą-ga coś zawakowało, służył, a nie mogę! nie mogę! Zdra-dzę siebie i was, gdy przywilej otrzymacie, a nam się z sobą znać nie trzeba, abyście mi byli użyteczni...

Oczy starosty zrobiły wyraziste pytanie, jakimżeby sposobem nawzajem minister przyjacielowi chciał być użyteczny? Brühl to zrozumiał.

— Co do mnie — rzekł — będę się wam wywdzię-

czał nie honorami, ale brzęczącą monetą. Za starostwo, którego nie daje, zapłacę.

Sklonił się gość dosyć nisko.

— A teraz — począł Brühl, zbliżając się do niego — jutro... starajcie się mojemu chłopcu pomódz, gdyby szlachta mruczała. Wy to potraficie. Mam was uczyć? A! tego nie potrzebujecie. Koligacye macie na Mazurach, wmieszajcie się w tłum i narzekajcie najprzód na taką egzorbitancyę, na nadużycie, na eksces prepotencyi. Zwolna może was młody chłopak skonfiskować, nawrócić. Za wami pójdą drudzy.

Rozśmiał się Brühl.

— Chcąc dobrze zrobić, nie dosyć gardłować, trzeba umieć do przekonani trafic, a któż to lepiej, niż wy, potrafi?

— Hm! — szepnął starosta — nawróci najlepiej wiecie co? Pieczeń dobra i wina w bród... to argumenta, którym się mało kto oprzeć może. U nas do przekonani droga najpewniejsza przez żołądki...

— O! o to bądźcie spokojni — przerwał Brühl — na jutro są wydane rozkazy. Nie zabraknie wina, choćby się kapać w niem chcieli... Chłopak mój dobrze wystylizowany, do sere obywatelskich też przemówić i insynuować się potrafi. Mówię wam, panie starosto, takiego dziecka drugiego na świecie niema, nie dlatego, że ono moje, ale że istotnie cudowne!!

— Niechże mu pan Bóg da długie życie i sukcesy — zamknął, kłaniając się, skrzywiony starosta. Brühl podał mu rękę. Prawie niedosłyszane drgnienie dzwonka przywołało sługę, który gościowi drzwi otworzył. Postać ta dziwna, cicho znowu stąpając, prześliznęła się przez pokoje już ciemne, okryła w antykamerze opoń-

czą, szwajcar drzwi jej otworzył... i znikła w ciemnościach nocy, jakby one ją pochłonięły. W tejże chwili drugie drzwi gabinetu Brühla otwarły się, i saski sekretarz, z uśmiechem na ustach, z teką pod pachą wszedł z listami z Drezn. Nocnych ptaków i przyjaciół niewiomych, jak ów starosta, Brühl miał całe poczty na usługi, nie znał ich nikt oprócz niego, a na pokojach ledwie im głową skinął zdala minister, jakby sobie postaci ni nazwiska nie przypominał.

III.

Dzień drugi września 1750 r. był jeszcze tak piękny, słoneczny i ciepły, iż przyjaciele pana podkomorzego Laskowskiego, przed którymi rychłą zmianę aury prorokował, spotkawszy go rano, wracającego ze mszy od reformatów, z fałszywego prognostyku głośno acz grzecznie się naśmiewali.

— Czekaście acaństwo do zmiany lunacyi — odparł spokojnie Laskowski — zobaczycie, co ta powie. Tertia, quarta qualis, tota lunatio talis... to nie chybi. Tandem, proszę o cierpliwość, czas okaże, czyje będzie na wierzchu!!

Z tego pięknego dnia korzystała Warszawa, bo miał być uroczystym, a niemają obudzał ciekawość. Od rana roily się ulice, szczególnie po drodze od Saskiego pałacu do królewskiego zamku, którą młody starosta wjazd swój miał odbywać. Obrząd ten nie był żadną osobliwością, gdyż ktokolwiek wysokie zasiadł krzesło,

wjeżdżał zawsze pompatycznie na swą stolicę. Odbywali wjazdy wojewodowie, kasztelani, starostowie, wjeżdżał prymas i biskupi. Kawalkata i dwór wedle możliwości i dostojenstwa się składały, mniej więcej licznie, bogato, strojno i zlocisto. Nie szło o przepych, którego się ludzie napatrzyli, ale o ten pierwszy wypadek, jakiego ludzie nie zapamiętali, o jakim nikt nigdy nie słyszał, ażeby dwanaście lat mające chłopię, przez osobliwą fikęę uznane pełnoletniem, urząd tak znaczny, od którego mianowanie starościńskich urzędników zależało, funkęę tak ważną miało sobie powierzoną. Gdy po raz pierwszy o tem mówić zaczęto, nikt wierzyć nie chciał, śmiano się, jak z plotki i potwarzy, aż rzecz, z ust do ust szydersko podawana, jakby cudem się sprawdziła. Przyjaciele dworu i Brühla byli w niemalym kłopotcie, jak ten krok wytłómaczyć, niby na wypróbowanie cierpliwości i na urągowisko postawiony. Dnia też tego, gdy napewno już po królewskim dekrete wjazd się miał odbyć uroczysty, co żyło, chciało być jego świadkiem.

Kto nie mógł na salę do zamku się docisnąć, bo tam i na dole i na galeryach miejsc zabrakło, ten choć w ulicy wcześniej starał się w pierwszym stanąć rzędzie, aby na oczy widział... uprzywilejowanego — berbecia. Tak szlachta niechętna przezwała swojego starostę. Rozumnijsi i ostrożniejsi nie śmieli ust otworzyć, bezczelniejsi bronili z ręcznie ministra, ogół śmiał się i sarkał, aż uszy wiodły.

Przyjaciele ministra, rozsiani umyślnie pomiędzy tłumami, aby opinię publiczną sondowali, stali kwaśni i zafrasowani, nie szły argumenta na obronę. Ludzie, do

pana skarbnika Zagłoby podobni, mieli wątek doskonały do wyśmiewania się z Sasów i ich regimentu.

Dzień był na przekorę przepowiadniom piękny, ciepły, słoneczny, niebo nawet sprzyjające ministrowi w godową się szatę przybrało. Na drzewach, choć po żółkle, jeszcze przymrozkami nie zwarzone trzymały się liście zielone. Można się jeszcze było jakby przedłużonem ludzi latem.

Z województwa Mazowieckiego szlachta *de jure* dostała się na zamek, wcisnęło się i suciej poubieranych z różnych innych kraju części sporo. Dziedzińce były nabite, schody i korytarze pełne, plac przed zamkiem napchany. Mieszczanństwo zalegało ulice, w oknach pootwieranych kamienie widać było postrojone kobiet głowy i piętrzące się twarzyczki. Wszystkim wesoło z oczu patrzyło, jakby się śmiać chcieli.

Już tłum zalegał wszystkie przejścia, gdy z Krakowskiego Przedmieścia ukazał się z trudnością przezierający powóz poszóstny. Ludzie, znający się na ceremoniale, łatwo odgadli, iż nie należał do orszaku starosty, który jeszcze był z Saskiego pałacu nie wyruszył. Domyślano się, iż jeden z panów dażył snadź na zamek, aby być świadkiem uroczystego aktu. Woźnicy szło trudno, palił z bata, krzychał: — z drogi! — a gęsta ciżba jakoś mu się nie ustępowała.

Nie miano poszanowania dla możnego pana, choć kareta, konie i ludzie przy niej świetnie wyglądali. Chomaćta lśniły od srebra, kareta od pozłoty, liberya od galonów. Przez tafle szklane karety, malowanej jaskrawo, widać było w środku mężczyznę, młodego jeszcze, w peruce fryzowanej misternie i orderze Orła Białego, piękną kobietę z głową wysoko w loki i sznury perel

ubraną, a pomiędzy nimi dwojgiem dziewczyneczkę śliczną, we włosach długo na ramiona puszczonych, z twarzyczką wdzięczną, uśmiechniętą, uradowaną... do aniolka podobną.

Dziewczę mogło mieć ledwie lat osiem, ale miłość rodzicielska ustroiła je już na wielką panią, a szczęście rozwinęło nad lata. Rączkami w rękawiczkach pozapinanych aż po łokcie klaskała z radości, na wszystkie strony zwracając główkę. Kto z tłumu zobaczył tę śliczną twarzyczkę, uśmiechnął się jej i pokłonił, ona też uśmiechem, główką i pocałunkiem od ust paluszkami odpowiadała. Rodzice patrzyli z rozrzewnieniem na swą pieszczoszkę. Kareta sunęła się tak zwolna, że dziewczę mogło się i napatrzeć, i nakłaniać.

Na drzwiczkach powozu i na uprząży widać było krzyż Potockich, ale pomiędzy mieszczaństwem mało tam kto pamiętał herbu, choć ich na liberyi prymasa Teodora napatrzeć się mogli, więc pytali jedni drugich, co było za państwo i czyja śliczna dziecina?

Właśnie kareta sunęła się około gromady szlachty, w której pan skarbnik Zagłoba przewodził i po swemu przedrwiwał, gdy ktoś mu huknął w ucho:

— A toż kto taki? kto taki?

Skarbnik, któremu łatwo się na żart zbierało, zobaczywszy w karecie główkę wdzięczną dzieciny, zawołał głośno:

— Czapki w górę! czyż nie widzicie? To pani staroscina warszawska! Czyście ślepi? Starosta, którego pełnoletnim uczyniono, wnet z tego będzie korzystał, więc mu żonę wiozą, do wieku jego właściwą. Huknijmyż jej wiwat!

I sam pierwszy stary skarbnik rękę z czapką futrem okładaną wysoko wyciągnął w górę, wołając:

— Wiwat pani staroscina!

A za nim drudzy, choć nie rozumieli dlaczego i po co, poczęli krzyczeć:

— Wiwat staroscina warszawska!!

Ze śmiechem rozległo się wołanie. Siedzący w karecie zdziwili się i zmieszali. Mężczyzna poczerwieniał i pobladł, rzucił się, żona go powstrzymała, bo się rwał do taflí, i byłby się może na słowa rozprawił z wesolą gawiedzią. Kobieta cofnęła się w głąb powozu, unikając oczu, ale dziewczę, które to bawiło, klaskając w rączki, okrutnie uradowane — dziękowało.

Nieprzyjemna ta scena uliczna byłaby się może nad miarę przeciągnęła, gdyby w tej chwili stangret nie smagnął koni i tłum się szerzej nie rozbił na dwie strony, tak, że kareta, szybko podążając ku zamkowi, z oczu ciekawych znikła. Ścigały ją wszakże okrzyki jeszcze i nie prędko się uciszyły, a mieszczenie, którym się po mianowaniu dwunastoletniego starosty zaślubienie go z ośmioletnią panną nie zdawało już niczem nadzwyczajnem, święcie nawet uwierzyli, iż starostę żenić miano.

— Komedia, mosterdzieju! — wołali niektórzy. — Historye! — mówili drudzy. — Dziwowisko — krzyczeli inni. Skarbnik, który się znalazł tak dowcipnie, usta wykrzywiwszy, tryumfował.

— Panie skarbniku — trącając go w ramię, ozwał się Laskowski, który niedaleko stał — a czy się to godziło pana cześnika koronnego podawać w pośmiewisko! A czy się godziło! Wszak to wnuk Stefana i prymasa...

— A cóż mu się stało? — bąknął skarbnik —

z takimiśmy go honorami przyjęli, jakich się ani spodziewał.

— Zabawna fikeya wasza — dodał Laskowski — pójdzie z ust do ust... i dojdzie do uszu Potockiego, a miłą mu nie będzie, choćby dlatego, że żona, którą widzieliście właśnie, jest córką księcia Sułkowskiego z Rydzyny, onego to, co go Brühl wygryzł z łaski króla JMci.

— Albow ja o tem wiedział! — rzekł skarbnik pół żartem, pół seryo. — Przyznacie mi, że za domysłem moim wszelkie było prawdopodobieństwo. Dla starosty berbecia... żonę jakby ułala... A śliczne dziewczę...

— I rozniesie się to — szepnął Laskowski. — Ktoś się wygada, żeście to wy sobie tak zadrwili.

— Wyjdę jeszcze na dowcipniusia na starość! — ręką potrząsając i kończąc rozmowę, dodał skarbnik — w istocie klęska to, bo mi się dowcipu ludzie będą dopominali, a jam go i niewiele miał, i, jak rak, dawnom się z niego wyszeptał.

Tu się wszelkie przerwać musiały rozmowy... w tłumie poszedł szmer jakiś i wszystkie głowy zwróciły się ku pałacowi Saskiemu. Starościńska kawalkata właśnie z bram jego się wysuwała. A było na co patrzeć... tembardziej, że nie po polsku to wyglądało, ale zupełnie z niemiecka i cudacznie.

Szła tedy najprzód muzyka królewska, przed którą ogromny drab kijem sążnistym wywijał; dalej jechali całym pocztem w liberyi galonowanej dworzanie, z kitami piór u kapeluszów, za nimi dopiero poczynął się szereg nieskończony karet dworskich, pańskich, przyjacielskich... wśród których jedna pozłocista cała, otwarta, niosła wystrojonego niebiesko, w peruczce i kape-

luszku pana starostę warszawskiego. Tę otaczała straż starościńska nanowo uformowana i przybrana kanarkowo z niebieskiem, w kapeluszach czarnych z galonkami srebrnymi, w ładownicach czarnych, pasach białych, przy szablach, z karabinami i bagnietami. Po drodze mieszczanie poznawali w tych zniemczonych żołnierzach starościńskich swych dobrych towarzyszy, i śmiali się im w oczy z ich stroju. Ci, zmuszeni do powagi, bo pod bronią parsknąć nie śmiali, wielką mając ochotę sami drwić z siebie, dziwnie gęby kręcili, aby się nie dać spokusić do śmiechu.

Oddział gwardyi saskiej, w której młody Brühl już był pułkownikiem (a oprócz tego i szambelanem ojca chrzestnego), oficerowie, drabanci, hajducy i różne tałajstwo saskie ogonem długim za paniczem się ciągnęło.

Nigdy wspanialszego ale zarazem dziwaczniejszego wyjazdu nie widziano.

Stojący na kupie kamieni pan skarbnik patrzył cum debita reverentia na to wszystko, a że mu Laskowski drwić zakazywał, mówił z powagą:

— Co teraz, to już wierzę, iż Brühle z Ocieszyna pochodzą... zaraz to widać z kroju i stroju... Niema wątpliwości. Boć to wiadomo, że szlachcie polski strój chętnie zmieniał dla przypodobania się. Za Walezego po francusku, za Batorego po węgiersku, za tureckich i tatarskich wojen nosiliśmy się z turecka i z tatarska, logicznie tedy dziś trzeba było wdziać żółte fraki i trupie włosy na głowę, kiedy Sasi to czynią. Peruka zresztą zdrowa rzecz, zwłaszcza zimną w kościele od kataru...

Gdy się to działo w ulicy, na zamku witano pana

starostę. Chciano się śmiać z wyrostka, a trudno było. Szalony chłopak tak rażno i z gęstą miną wszedł na salę natłoczoną, i z taką swobodą stanął przed panem wojewodą mazowieckim Stanisławem Poniatowskim, tak się umiał cale nie zmieszać ani ironicznymi twarzą otaczających wyrazami, ani szmerem dwuznacznym, iż — spoważnieli wszyscy. Ciekawość wypiętnowała się na obliczach.

Chłopak stanął do przysięgi, ale onego czasu bez mowy nie obeszło się nic, a wojewoda też stał przy tem, aby przytomnym panom a braci wyłożyć tę tajemnicę łaski pańskiej, przez jaką młody Brühl — na gle lat doścignął... choć ich nie miał...

Mowa pana wojewody była arcydziełem kunsztu... nic z niej naprawdę zrozumieć nie było podobna, oprócz tego, że wielkie zasługi ojca, spadając na syna jak słoneczne promienie... dojrzałym go czyniły... że szlachcie wypadło czuć się wielce zaszczyconą, iż syn takiego męża zawczasu zasługiwać się jej pragnął i t. p.

Argumentów potężniejszych nie było, ale wymowa nie na nich się zasadza. Logika mała rzecz, rozsądek poślednia, leży wszystko w deklamacyi i entuzyazmie. Największą niedorzeczność gdy orator subtelny wyrzeczy kunsztownie, gorąco, ogniście, a huknie, a stuknie, a oczy wywróci, a westchnie — tłum się mu da porwać i zanieść, kędy zapragnie.

Wprawdzie, gdyby nastąpiła replika równie rozżarzona i nie mniej wydekłamowana, ręczyć nie można, aby i jej nie przykłaśnięto, a raczej można być pewnym, iż pogrzeblaby poprzedniczkę... ale — bodaj to umieć mówić!...

Dlatego Cycero i Demostenes takich dokazywali

cudów, mieli czy nie mieli słuszość, i dlatego dawniej po szkołach taką do retoryki wagę przywiązywano. Wielkim mówcą nie mógł się nazwać wojewoda mazowiecki, lecz go uroczystość dnia tego, miłość dla Brühla i wyraźne instrukcje familii inspirowały... Nie zważano wiele na słowa, z dala po sali takie rozchodziło się echo... tak falował głos, to się podnosząc, to zniżając dramatycznie, że szlachta jakby po węgrzynie czuła się upojoną... Aplaudowano...

Młody starosta głosem jasnym i dźwięcznym złożył przysięgę naprzód... Zdumiano się, jak gładko i ślicznie to dopełnił, a nawet z niewidzianą przy juramentach elegancją.

— Kawaler co się zowie! — szeptały Mazury.

Lecz — po przysiedze dopiero czekał nań szkopuł, o który się wszystko rozbić mogło — i złośliwsi sędzi, że rozbije... Komu się jednak szczęści, temu wszystko na dobre wychodzi.

Starosta, dziękując, musiał palnąć mowę. Tu był sek... Nastawiono uszu. Spodziewano się jej jak z seksterniczka... z cudzoziemska i nie do rzeczy...

Nieprzyjaciele cieszyli się zawczasu. Elegancja w juramencie uchodziła, w mowie do szlachty trzeba było zrozumiałego dla niej użyć języka, zwrotów, tradycyjnych niemal frazesów, na które jak się mógł zebrać paniczek?

Stał się cud — Brühl obrócił się twarzą ku publiczności i począł... Szatan mu chyba szeptał... bo mówił z pamięci, ze swobodą największą i takimi słowy, że wprost za serce chwytaly... Począł od podziękowania Majestawi, dalej panu wojewodzie, następnie wszystkim przy-

tomnym a laskawym panom a braci, skarbiąc sobie miłość ich i względy.

Jak musztardą posypana była mowa łaciną, wyglądały z niej znane owe a ulubione dicta, mądrość wieków i tradycje Rzeczypospolitej szlacheckiej. Starzy się aż popłakali...

Przyszło do nominacji urzędników grodzkich, których wybór był szczęśliwy i umiejętny.

Rosła w Mazurach miłość do pana starosty, rósł i on sam w ich oczach... Cóż dopiero, gdy, konkludując szczęśliwym zwrotem swą oracyę i polecając z pokorą służby powolne szlachcie, ozwał się z zaproszeniem obecnych wszystkich na „ów chleb przyjacielski“, o którym już nie wątpiono, że suchy nie będzie...

Gdy skończył, uniesienie nie знаło granic; żartownisie i niechętni umilknąć musieli, a na zleby było wyszło każdemu, ktoby naówczas lekceważąco o panu starości się odezwał.

Wnet go, winszując, obśtąpiono, ścisnął pan wojewoda Poniatowski, całował wojewoda ruski, z kolei ścisnęli i obejmowali kto żył i dostąpił, tak, że mu koronki pomięto, suknie pognieciono, fryzurę poplątano, a dobrze jeszcze, iż go na barkach nie wyniesiono z sali. Szlachta, wiedząc, iż w takich razach do stołów docisnąć się niełatwo, natychmiast rzuciła się ku otwartym salom, w których sześć ogromnych na nią czekało podków.

Honoratiores pozostali trochę, otaczając młodego i starego Brühla... Naówczas to ktoś, spostrzegłszy państwa cześnikostwa Potockich na galerii, odpowiedział na ucho aż tu doszły żarcik czyjs z powodu ukazania się pięknej Maryni. Podniosły się ku niej oczy; mini-

ster, który dla Sulkowskiej grzeczniejszym chciał być, niż dla kogokolwiek bądź innego, bo dla jej ojca był niegdyś zbytecznie grzecznym także, z żartu biorąc asumpt, starostę posłał prosić państwa cześnikostwa koronnych do stołu.

Młody Brühl, poprawiwszy stroju, z właściwą sobie zręcznością i swobodą pobiegł na galeryę, spełniając ojca rozkazy. W dwunastym roku był już takim dla kobiet galantem, jakby od urodzenia ćwiczył się w tej sztuce. Państwo cześnikostwo siedzieli, czekając aż się tłum rozplynie... gdy ładny chłopak stanął przed nimi...

Oczka młodej Maryni, ciekawe i po dziecięcemu śmiałe, spotkały się z jego wejrzeniem...

Dziecinny ten wzrok miał jakąś siłę cudowną... oczy przemówiły i dwie dusze się zrozumiały...

Brühl się uśmiechnął do Maryni, mała Potocka dygnęła mu, jak poważna dama. Starosta zapomniał o swem dostojenstwie i o tem, z czem przyszedł — dopiero po chwili, gdy ten urok ominął, zwrócił się ku państwu cześnikostwu.

Z panem Ignacym Potockim łatwiejszaby może była sprawa, ale Sulkowska wychowała się, wyrosła w niewiaści do Brühlow, brzydziła się nimi, nie cierpiała ich. Znalazła się tu tylko, aby wyszydzić scenę śmieszną.

Na widok chłopaka, który z największą uniżonością, komplementem francuskim zapraszał państwo cześnikostwo, aby mu zaszczyt uczynili i raczyli przyjąć udział w uczcie, twarz pani pobladła, brwi się zmarszczyły, usta wydeły, a że mała Marynia wciąż się do starosty uśmiechała, chwyciła ją matka za rękę i zmu-

siła ustąpić. Suchym i zimnym głosem podziękowano i odmówiono.

Maryni w oczkach łzy stały.

Brühl westchnął, rękę położył na piersiach, skłonił się nisko, nalegać nie śmiał. Na drodze stała zasmucona Marynia, chłopak pochwycił jej małą rączkę i pocałował. Matka się zarumieniła. Starosta zniknął, państwo Potoccy natychmiast odjechali do miasta.

Są w życiu chwile, które się na zawsze w pamięć wrażają, są wejrzenia, które w ciemnościach świecą, są sympaty, których nie zrywają lata, są może istoty dla siebie stworzone. Któż to zbada? Mały Brühl zbiegł ze schodów z obrazem Maryni, a dziewczę zadumało się dziwnie, myśląc o ładnym, małym staroście, który tak ślicznie ją w łapkę pocałował.

Ministrowi wszakże przykro się zrobiło, iż państwo cześnikostwo odmówili. Ktoby był zajrzał w jego duszę w tej chwili, znalazłby w niej może myśl, z której się sam sobie spowiadał: — Znajdę ja kiedyś drogę do Sulkowskich i Potockich...

Tymczasem na salach zamkowych brzmiała królewska muzyka i szlachta tłumnie obsiadała stoły pozastawiane w podkowy, grupując się wedle ziem, powiatów, koleżeństwa, pokrewieństwa i rozmaitego powinowactwa z ducha i ciała. Przyjęcie było królewskie i Brühlowskie, to dosyć powiedzieć, obrachowane tak, aby zadziwić, natchnąć poszanowaniem, rozrzewnić, nakarmić i upoić. Kamerlokaje cytrynowi, fioleciowi, piaskowemu, karmazynowemu, w srebrze i złocie. Hajducy, służba wszelka, murzyni, turecy, nieśli wysoko ponad głowę, podnosząc ogromne misy srebrne, z których się woń rozchodziła szeroko. Na białych, jak śnieg, obrusach

świeciły wazony porcelanowe, kryształowe, zwierciadła, szeregi całe figur srebrnych, zdających się przed gośćmi tańce zawodzić. Kielichy wszelkich rozmiarów napełniały kredensy, na których srebrne oksefty czekały tylko, aby im złoty nektar strugą puścić kazano. Przepych był niezmierny, a kilku przyjaciół i dworaków Brühla, pełniących funkcje wigogospodarzy, od pierwszej chwili rozpoczęło pielgrzymkę do koła stołów, rozsadzając szlachtę, nalewając kielichy, animując, aby każdy o sobie i o sąsiedzie pamiętał.

Co większa, sam Brühl ojciec i syn, nie siadając do stołu, poczęli też zaraz obchodzić biesiadników, co kilka krzeseł czyniąc stacyę, podając ręce, submitując się, posługując i zyskując sobie uprzejmością niezmierną serca obywatelskie.

Nie pilnowano wcale w przyjęciu, czy kto do województwa należał, kto był i skąd pochodził, jak na ucztę ewangeliczną ściągano niemal z ulicy, byle kto na szlacheca wyglądał. U stołu dopiero wielu ojcu i synowi się przedstawiało.

Obiad był obmyślony z kunsztem i znajomością wielką charakteru i żołądka narodowego. Dać było ich gościom pulpety delikatne, do których poufałości nie mieli, ani znajomości z nimi, byłoby może wywołało przycinki. Kucharz więc pomieszał półmiski szlacheckie z pańskimi, bigosy z pasztetami, zrazy z siekanymi wątróbkami, zamorskie delikatesy z rodzimą strawą. Była i sztuka mięsa z kwiatkiem, i flaki z imbierem, i pieczone bażanty z królewskich łowów, i jelenie, i jarzabki... ogórki i pomarańcze. Każdemu więc smakowi stało się zadość, wszelkiej ciekawości i fantazyi.

Nalewano też tak troskliwie, że kieliszek żaden

przez jedną sekundę nie stał próżny. Czatowali nań opatrzeni w gąsiorzy słudzy, a skoro któremu zabrakło w nich cieczy, wnet na dany znak od beczki leciała w pomoc zapaśna brygada. Gdy pierwszy toast za zdrowie króla jegomości, a potem duchowieństwa i senatorów wypito, sypnęły się jedne po drugich wiwaty, którym za każdym razem trąby wtórowały. A że stoły nie wszystkie z sobą były w związku, pito u jednych inne, u drugich różne zdrowia, jak komu fantazya przyszła. Z rozkazu ojca, młody starosta z kieliszkiem w ręku, mając za sobą piwniczego, który zafarbowaną nalewał go wodą, szedł od jednej do drugiej gromady, z każdą z nich trącąc się, ściskając, wzajem grzecznościami obsypując i pijąc ochoczo.

To mu pono najwięcej serca zjednało.

— Wielkich nadziei młodzieniec! — mówili starzy, tak się już dziś akomodować umie! ho! ho! pójdzie wysoko w obywatelstwie!

Pana podkomorzego Laskowskiego wciągnął Mazur mu pokrewny; Laskowski niemal gwałtem zmusił skarbnika, aby mu towarzyszył. Wzdrażał się stary zrazu, aż złośliwa ciekawość przemogła.

Siedli więc jakoś razem: podkomorzy, skarbnik, Kostrzewa, Ocieski i Babiński.

Zagłoba po cichu drzwię poczał, ale rozpatrzywszy się po ludziach, rozsluchawszy w mowach, ustał prędko. Nie jadł wprawdzie i kieliszka swojego nie ruszył, bo mu się ni jeść ni pić tego chleba i wina nie chciało. Twarz jego wyrażała politowanie jakieś i smutek. Ręce założywszy na piersi, poglądał na sąsiadów, a wzrok jego ziębił, na kogo padł.

Laskowski mu aż szepnął:

— Z waćpana turbator chori, drugim odejmujesz humor i apetyt. Juściż kto w gościnę idzie, ten wszystkie jej następstwa akceptuje.

— Hm, jam tu raczej spektatorem, niż gościem — rzekł Zagłoba — a z rana z mojej faski bigosu zjadłem i wodym się napił. Dosyć mam.

— Co mu jest? — pytali drudzy — malkontent jakiś.

— On taki zawsze był i jest — szepnął podkomorzy — dać mu pokój, powoli się wysapie.

Uczta była w połowie już, a pan skarbnik postępowania swojego nie zmienił wcale; przestano też i zwać na niego w końcu, gdy się humory coraz poprawiać zaczęły, a kielichy wypróżniać. Zagłoba należał, jeśli nie dostojenstwem to wiekiem i powagą charakteru do najwydatniejszych osobistości. Nie pokazywał się on często w stolicy, nigdy na dworze, u możnych na pokojach, kędy o łaski zebrano, nie zjawiał się też nigdy, ale gdy szło o to, aby kogo na posła prowadzić, umysłami pokierować, kłaniali mu się i panowie, jednając go sobie. Znal go też niejeden z tych, co u wyższego końca siedzieli.

Jak się to stało, wypadkiem czy z rachuby, nie wiadomo, dosyć, że znany dobrze skarbnikowi pan Żebrzyński, podżyły człek, powinowaty mu nawet przez babkę, niegdyś z nim zażyły, dziś do dworu nowego starosty należący przez jakąś osobliwszą konjunkturę, stanął nagle przed nim, i to nie sam, ale poza sobą wiodąc młodego Brühla z nalany kielichem.

— Panie skarbniku — zawołał, klepiąc go po ramieniu — oto solenizant nasz dzisiejszy, spes magna, młodzieniec, na którego ojczyzna rachuje, umiejący szanować zasługi i dostojenstwo charakterów, których le-

piej niż w osobie twej uczcić nie może, chce wasze wychylić zdrowie. Jakkolwiek widzę, że nie pijesz, dziś się mu odmówić nie godzi.

Skarbnik odwrócił się: za nim stał galante uśmiechnięty, ze swą wesołą i dowcipną twarzą młodą Brühl, z oczyma jasnymi, z kieliszkiem w ręku, który ku skarbnikowi wyciągnął.

Wnet i jemu nalano. Rad nie rad stary drżącą ręką musiał ująć szkło, a Brühl, zbliżywszy się doń, zawołał, jakby stary wyjadacz, co dziwnie od młodej jego twarzy i postaci odbijało:

— Szczerze się poczytuję, że tak powszechnie szanowany i wielbiony z cnót swych obywatel raczył mnie zaszczyścić, przyjmując miejsce u przyjacielskiego stołu. Radbym na jego łaski zasłużyć, i wprasząc się w nie, niechaj mi wolno będzie wychylić ten kielich za zdrowie i sukces, za powodzenie wszelkie pana skarbnika dobrodzieja i całej jego rodziny.

— Wiwat! — krzyknięto dokoła. — Wiwat! — Brühl podał rękę, gracko kielich spełniając; skarbnik nie wiedział już sam, jak kielich dziękczynny do dna wysączył.

— Proszę być łaskawym na mnie — dodał, kłaniając się, starosta i odszedł.

Skarbnik stał, jak słup.

— Ot to go z mańki zażyli! — rozśmiał się Łaskowski — byłby z kamienia, gdyby go to nie poruszyło.

Rzeczywiście, jak nań podziałą ta grzeczność, nie wiadomo, ale Zagłoba się rozruszał i, zobaczywszy kielich przed sobą nalany, drugi wypił z roztargnienia. Przyniesiono właśnie sarninę, obudzony winem znalazł się apetyt, wziął dobry zraz i powtórzył.

Ze złego humoru zostało tylko zafrasowane milczenie.

— To ten furfant Żebrzyński, co się całe życie wszystkich klamek czepia, tego mi piwa i konfuzyi nawarzył — w duchu rzekł skarbnik — gdybym go we cztery oczy pochwycił, dałbym mu dopiero.

Niedługo na to czekać potrzebował, bo młodego Brühla o kilka kroków odprowadziwszy, Żebrzyński się zawrócił nazad i sam nastęrczył skarbnikowi.

— Słuchaj, ty, Judaszu — szepnął mu stary — coś to mi ty za figla wyplatał? Albo to ja potrzebowałem takiej kompromitacji? Coś ty oszalał!

Żebrzyński obie ręce jak przed Sakramentem do góry podniósł.

— Skarbniku — zawołał — czyś oszalał? klęć ci się, bodajbym dzieci moich nie oglądał, żem ja tu passive spełnił, co mi kazano.

— A skądże mnie on mógł znać? — zawołał Zagłoba.

— Albo ja wiem! — ramionami dźwigając, dodał Żebrzyński. — Jeszcze raz ci powiadam, żem się ja do tego nie przyczynił. Rzecz się tak miała. Starosta, który nad wiek swój jest rozumny, dobył kartki z kieszeni. Stało na niej nazwisk kilka olówkiem nakreślonych, a waszecine było oznaczone notabena zamasytą. Wskazał mi je palcem. Nie możecie mi tego oto obywatela wskazać, bym jego zdrowie wypił? Com miał czynić? przywiódłem ci go. Tak mi Boże dopomóż i krwawa Męko Jego, prawdę mówię.

Skarbnik siadł.

Żebrzyński mu rękę podał, a że dużo do czynienia miał, zaraz go odciągnęto.

— Nie mówilem ja ci — szepnął mu Laskowski — że z głośnem gadaniem ostrożnym być trzeba? Musiał już ktoś donieść, żeś starostę swatał proprio motu.

Skarbnik nic nie rzekł, głowę tylko spuścił; siedział markotny. Ucztowanie, jak się tego było można spodziewać, ogromnie się przeciągnęło. Noc już była a u stolów i po kątach sal zapijano jeszcze i gości nie wypuszczano. Najchmurniejsze twarze powoli się rozjaśniały i do ogólnej zastosowały pogody.

Skarbnik miał się wysunąć, zostawiając Laskowskiego, gdy z głębi sali poczał się ku niemu gwałtownie przeciskać Żebrzyński, rękami w górze gestykulując, aby się dłoń zatrzymał.

Gdy się w końcu dobił do skarbnika, po drodze kilka kielichów potrafiwszy i parę libacyi otrzymawszy na kontusz, chwycił go za rękę i uprowadził nieco na stronę.

Czy skarbnik masz w lasach dyferencję z królewską? — zapytał.

— Któż ci o tem powiedział? pendet sprawa od lat piętnastu, dotąd nie rozstrzygnięta — odparł Zagłoba zdumiony — jam już o tem prawie zapomniał.

— Jego ekscelencya, minister Brühl, kazał mi wam oznajmić, iż dnia wczorajszego podpisał rozkaz komisji zjechać na grunt i słuszną dać wam satysfakcję.

Ścisnął go znacząco za rękę.

Skarbnik zbladł i stanął milczący.

— Bóg zapłać — rzekł sucho — ja jego ekscelencyi nie mam szczęścia znać, ani wiem, skąd na mnie to szczęście spada. Podziękujcież mu za mnie.

Spojrzeni sobie w oczy.

— Hm — szepnął Żebrzyński po cichu — czyś

ty mu się czem naraził, czyliś mu na co potrzebny? Mów prawdę.

— Nie nie wiem — rzekł skarbnik, oprócz, żeś niespokojny w sumieniu, bo timeo Danaos et dona ferentes — najbardziej!

Ścisnęli się za ręce.

— Gdybym Sasem był — rzekł do siebie skarbnik — poszedłbym do Pleissenburga, a żeś szlachcicem polskim, dostanę kawał królewskiej ziemi i milczeć muszę, bom... wziął!!

Z rozpaczą potarł czuprynę. Żebrzyński nań spojrział, niewiele rozumiejąc.

— Co ci jest?

— A nic, taki jestem szczęśliwy! — rzekł, uśmiechając się skarbnik, ścisnął jego rękę i wyszedł.

Gdy ciemności nocne nadeszły, zamek, pałac Saski i ulica wiodąca od jednego do drugiego zajaśniała mnogimi lampami. Bawiono się do późna.

Takie było pierwsze wystąpienie na scenę pana starosty warszawskiego, Alojzego Brühla, pierwsze jego ukazanie się na scenie Rzeczypospolitej, której był przybrany obywatelem, a miał zostać jej wiernem dziećciem. Dzień ten w duszy chłopięcia zostawił niezatartą pamięć po sobie, związał go, można powiedzieć, z miastem, ziemią i krajem, zalecił obywatelstwu, uczynił fenomenalną istotą obudzającą powszechne zajęcie, zgotował przyszłość. A piękne oczka Maryni Potockiej, wśród wdział tłumných dnia tego, zostały w pamięci młodego chłopca, jak dwie jasne gwiazdki na niebie.

IV.

Od pierwszego ukazania się na scenie młodego starosty warszawskiego lat dziesiątek upływał. Od tego czasu zmieniło się znacznie położenie, okoliczności, stosunki osób i rodziny, ojca Brühla rachuby i postępowanie; lecz to, co obiecywał dwunastoletni chłopak owego pamiętnego dnia, gdy go łaska królewska i ojcowska potęgą dziecięciem upełnoletniły i na taką godność wyniosły, dotrzymały lata następujące.

Nigdy nadzwyczajne dary natury świetniej się w nim nie rozwinęły. Nie popsuło go to, że był, jakby królewicz jaki, kołysanym na rękach pochlebców, że miał do trwonienia krocie, że życie zdawało się miękkim kobiercem rozkładać pod jego stopami.

Młody Brühl był w istocie wyjątkowym zjawiskiem: okoliczności składały się na to, ażeby z niego pospolitego uczynić panicza, ładną lalkę z głową pustą; on sam wychował się na człowieka niepospolitego.

Uwielbiająca go matka, ojciec próżności pełen, który dla swojego najstarszego i przyszłego spadkobiercy nie nie żałował, król, który go kochał i psuł, jak własne dziecko, zdawali się go popychać na drogę szalu, lekkomyślności, rozmiłowania w świecie, w rozrywkach, zapomnienia o poważnym życia celu. Młody Brühl miał w sobie coś tak samoistnego, energicznego, że się zwichnąć nie dawał. Umysł przedwcześnie dojrzały, bo zawczasu rozbudzony, wskazywał mu drogę własną, niezmierną żądza wiedzy i nauki ocalała go od pragnień zawczesnych innego rodzaju. Otoczony królewskim dwo-

rem, młody Alojzy wysłany został najprzód na uniwersytet do Lipska. Z Drezną mogli rodzice śledzić tu każdy krok jego; nie napędzano go zbyt do nauki, on sam jej pragnął, tak, że go wstrzymywać musiano. Ojciec sądził, że przebieży tylko audytorya i w tajniki nauki zbyt się głęboko zapuszczać nie będzie. Stało się całkiem przeciwnie: młody panek zapalił się do nauk, rozkochał w nich, przylgnął. Matka zaczęła się obawiać pedanteryi, lecz gdy na ferye przybywał do domu, tak umiał z siebie otrząsnąć pył książkowy, tak się stawał salonowym roztrzepańcem, dowcipnisiem, dosiadał konia tak śmiało, dworował przy paniach z takim wdziękiem, iż w nim trudno było studenta odgadnąć. Zmieniał z nadzwyczajną łatwością zajęcie, twarz, mowę i zastosowywał do tego, co go otaczało. Sztukę tę wysoko oceniał ojciec.

— Uniwersalny będzie człowiek! — mówili wszyscy, i proroctwo to nie zawiodło w istocie.

Z Lipska posłano go do Lejdy. Tam, choć go zawsze też sama pańskość i przepych otaczał, profesorowie mniej mieli powodów akomodowania się synowi ministra i pobłażania obcemu paniczykowi, i tu wszakże za cudo uchodził.

Mentorowie jego i nauczyciele prywatni, poważne głowy w perukach, nawykłe do powolnego trawienia, których on żywością umysłu prześcigał, wlekli się za nim raczej, niż go prowadzili. Młody Alojzy nie stał się nawet przez to zarozumiałym, nie okazywał nigdy swej wyższości, aby nią drugich upokarzać, zdawał się do tego zbyt wielkiej nie przywiązywać wagi, co inni cenili bardzo wysoko.

Zdaje się, iż w tej główce, takimi siły obda-

rzanej, już naówczas zdobyta świeciła prawda, że cała mądrość ludzka, wielce względna, jest wartości bardzo wątpliwej, a ten, kto sądzi, że ją zdobył, nigdy posiadać nie będzie ani odrobiny. Jedno wybitne znamię go odznaczało — był niesłychanie ciekawy, pragnął się wtajemniczać we wszystko, a gdy się dobił do celu, zdobyte niemal lekcewazył. W tej pogoni za wiedzą, niemal chorobliwej, niekoniecznie dobierał się do wierzchołków i niedostępnych szczytów — uczył się z chciwością filozofii, lecz z równą namiętnością badał historię sztuki i wszystkie drobne tajemnice najpospolitszego rzemiosła.

Podobne to było do ścigania prawdy, chowającej się przed nim po kątach, które wszystkie przeglądać musiał, azali jej tam nie znajdzie gdzie przychajonej.

W tym czasie, gdy się jeszcze w Lejdzie znajdował, trafiło się, iż pewnego pięknego poranku znikł swym mentorom i dozorcóm, wysliznął się im z rąk, ulotnił. W pierwszej chwili przerażenie całego dworu, obawa odpowiedzialności przed rodzicami była niewystłowna. Zaalarmowano miasto i okolice. Szczęściem dopatrzono w czas kartki na stoliku, w której uspokajając tych panów, zapewniał ich, że wkrótce powróci, i prosił, by go nie szukano daremnie.

Chociaż chłopak młody był bardzo, ulękli się mentorowie, aby się w jakie przedwczesne, niebezpieczne uwikłać nie dał miłości, na wsze strony rozesłano gońce i szpiegi — nigdzie nie znaleziono ani śladu. Domyślać się nawet nie umiano, co mogło spowodować i ułatwić ucieczkę.

Gdy się to w Lejdzie działo, o mil kilkanaście stamtąd, w słynnej naówczas lejnarni dział, zjawił się

młody parobczak, dosyć niepocześnie ubrany, wyglądający ubogo, ale zdrowy i silny, wprasząc się za prostego w fabryce robotnika. Poszedł przyjęty pracować z innymi około pieców i form, parzyć się i smolić przy ogniu, spełniać najtwardsze roboty i podzielać życie najbiedniejszych wyrobników. Zbytnie jakoś białe, choć nadzwyczaj krzepkie i silne dłonie zwracały nań uwagę, ale więcej jeszcze niepospolita pojętność, z jaką chwytał i uczył się wszystkiego.

Po kilku tygodniach z prostego robotnika nieznanomy chłopak postąpił na dozorcę, wzięto go do kierowania innymi; zrodziła się stąd zazdrość, spory, odgróźki, prześladowanie. Towarzysze dawniejsi, których wyprzedził, zasadzili się nań, aby mu dać naukę, jak niebezpiecznie jest być od innych bystrzejszym. Nieznajomy robotnik napadnięty, wyzwany, dwóch napastników obalił, zgniótł, wyszedł z tryumfem spokojny i nikomu się na to nie poskarżył. W kilka dni potem inni spiskowi z grobli go w kanał rzucili, a z niego wypłynął, dawszy nurka tak swobodnie, jakby się na majtka urodził i w wodzie wychował. I tę napaść pokrył milezeniem. Dano mu pokój, lecz o niewiele szło, by go za ubielonego dyabła nie miano, zwłaszcza, gdy wkrótce potem jednego z synów dyrektora koń obalił na ziemię, a młody robotnik, chwyciwszy go i dosiadłszy, jak dziecię poprowadził.

Odtąd byli dlań wszyscy z poszanowaniem wielkiem, i już mu bardzo korzystne czyniono propozycje, gdy pewnego poranka ów uczeń tajemniczy, zostawując dla dawnych towarzyszków sumę dosyć znaczną, znikł, nie wyjawiając nazwiska, a współcześnie zjawił się w Lejdzie młody Brühl i siadł na ławce słuchaczów.

Wybryków takich dla nauki rzemiosł, drugim wcale nieponętnych, popełnił Brühl wiele. Przestano się im dziwić w końcu i fantazje te płazem puszczano. Kto go znał bliżej i dłużej, każdy w nim, rad nie rad, wyższość niezmierną nad pospolitych ludzi uznawał, chociaż pokryta była pozorem lekkości, powierzchownością światową i dowcipem a wesołością, niedającą się domyślać, iż coś poważniejszego w nim mieszkalo. Rzadko kogo natura wyposaża tak szczerze, bo siły i zdrowie miał niezwykcyjne, nie chorował nigdy, i cielesna ta moc rozwijaniu się ducha nie przeszkadzała.

Wychowując się za granicą, młody Brühl nie zapominał Polski i węzłów, które go z nią łączyły. Do starostwa warszawskiego w lat kilka przybyła mu, po Szoldrskim wojewodzie inowrocławskim, chorągiew pancerna, a razem prawie order Ś-go Aleksandra.

W rok potem szlachta w Zakroczymiu obrała go posłem na sejm, który nie doszedł tak jak inne.

Tymczasem świetna gwiazda ministra przyćmiewać się zaczynała. Saksonię zagarnięto, król i Brühl uchodzili do Polski przed gburowatym Fryderykiem, który teatr wojny przenosił na obcą ziemię i, głosząc się przyjacielem, nie poszanować nie chciał, a do przemocy dodawał szyderstwo.

Zawrzała ta siedmioletnia wojna, której szczęśliwy koniec winny były Prusy raczej jakimś nadzwyczajnemu zrządzeniu Opatrzności, cudem ocalającej je od zagłady, niż geniuszowi Fryderyka, który już z rozpaczą życie sobie chciał odebrać.

Młody Brühl, w którym się obok innych rycerskie obudziły instynkty, wyprosił u ojca, aby z wojskami austriackimi i tym jedynym pułkiem saskim, któ-

ry z Polski uratowany poszedł na pole bitwy walczyć przeciw Prusom.

I tu młody Alojzy nie okazał się pośledniejszym od innych, nie zbywało mu na zapamiętałej odwadze. Dodani przez ojca aniołowie stróże musieli go hamować, zatrzymywać, prosić, oszukiwać, aby wielkiego domu nadzieja nie stała się lupem zbłąkanej kuli jakiego ciury Fryderyka. Kilka razy wymknął się im młody Brühl, jak w Lejdzie, nabawił ich strachu, powrócił posiekany, zakrwawiony, śmiejący się i szczęśliwy.

Wojna ta go kusila, jak wszystko, czego się dotknął, lecz, pomimo chwilowego zapału, nie roznamiętnił się do niej tak, aby z niej zadanie życia uczynić. Z doniesień, jakie szły do ojca o rycerskiej gorączce, Brühl wniósł, że bezpieczniej było syna powołać nazad do Polski, niż go narażać na niepewne tej walki losy. Obawiał się tego rozgniewienia, z jakim Alojzy rwał się do wszystkiego, czego się dotknął. Kazano więc powracać, a pan starosta z równą obojętnością, z jaką rzucał inne zawody, zaledwie rozpoczęte, rozstał się z tym. Pożegnał wesoło swych towarzyszy, zwinął obozisk i posłuszny udał się nazad do Polski.

Tu dawne brühłowskie stosunki zupełnemu uległy przewrotowi.

Przymierze z rodziną, która pragnęła instytucjami nowymi, trwałymi, silnymi kraj zamieszany i rozbity długim nieładem odrodzić, przymierze nieodpowiadające interesom i planom ministra, pragnącego jak najdłużej łowić ryby w mętnej wodzie, zostało nadwreżone a na koniec zerwane.

W miejsce przyjaźni gotowała się, zapowiadała wojna nieubłagana. Ci sami, co niegdyś prowadzili młodego

Brühla na starostwo, wojewoda ruski, księżę kanclerz, wojewoda mazowiecki, zmienili się w zjadłych nieprzyjaciół wszechmocnego ministra, jego syna i dworu.

Starego Brühla ten zwrot nieszczęśliwy równie mało obszedł, jak wojna siedmioletnia. Tu, jak tam, nie było mu trudno o sprzymierzeńców, tak się przynajmniej zdawało. Stosunkowo nagle dźwignięcie się rodziny do znaczenia w kraju i potęgi, która możniejszym i nawykłym do przewodzenia przynależać się zdawała, zrodziło nieprzyjaciół, współzawodników, zazdrośnych. Umiano liczbę ich przymnożyć ze sztuką wielką. Z drobnych i rozbitych sił, sklejjąc je w jedno, można było łatwo, do przeciwważenia rodziny, ulepić partję, która z ministrem na czele do boju wystąpić mogła.

Brühl znał dobrze wielkie syna talenta, w którym także widział narzędzie, potrzebniejsze mu daleko w zawięzanej Polsce, niż w zawojowanej Saksonii. Tak samo, jak przed laty poświęcił córkę, oddając ją Mniszchowi, teraz postanowił syna oddać na pastwę swej polityce. Gotów był nań złać dostojęństwa i siłę, jaką mu w kraju dawały ogromne posiadłości, w nagrodę za straty w Saksonii ofiarowane w Polsce przez króla. Syn za niego mógł być czynny tam, gdzie minister sam występować nie mógł lub nie chciał.

Król August, chcąc mu zapłacić za to, co pochłonęła siedmioletnia wojna, za spalone zamki i splądrowane pałace, zniszczone skarbcze, złupione kontrybucje, osypywał go starostwy, a Brühl je przelewał na syna. Tak nań zaczęły przechodzić po jednym z kolei Lipnickie w Krakowskim, Bolimów w Rawskim, Błonie pod Warszawą na Mazurach, a nawet Spisz po śmier-

ci królowej, oddany Brühlowi, przełany być miał na jego syna.

Szło o to, aby on silne stanowisko zajął w polskim obywatelstwie i mógł być głową stronnictwa, któreby wszelką reformę hamowało. Czy dobór syna był trafny — jest rzeczą wątpliwą; ale ojciec nawykły był do biernego posłuszeństwa, nie przypuszczał oporu, rachował na to, że Alojzy bronić musi interesów rodziny.

Ofiary czyniono z obu stron. Gdy rodzina ofiarą jednego ze swych najdroższych klejnotów, pięknej wojewodzianki Izabelli Poniatowskiej, sądziła, iż potrafi sobie pozyskać hetmana Branickiego, Brühl najstarszą córkę, najmilszą, równie znakomicie jak Alojzy obdarzoną, piękną, wychowaną do świetnienia na największej scenie, Maryę Amelię, przyjaciółkę Winckelmanna, oddawał Mniszchowi, marszałkowi nadwornemu.

Tak samo chciał syna polityce swej poświęcić, dzieci były dlań narzędziami, które wchodziły w rachunek. Starosta warszawski miał naówczas lat dwadzieścia jeden, lecz z pewnością umysłem od rówieśników swych był starszy, choć tak się umiał trzpiotać, jak oni. W chwilach wolnych zwiedził już całą niemal Europę. Podróż ta królewiczowska kosztowała miliony. Jedną fantazję służenia jakiejś angielskiej lady, którą Alojzy na drodze spotkał, chwilowo się nią zająwszy, opłacona została 80,000 funtów sterlingów.

Czas było może pomyśleć o ożenieniu pięknego kawalera, którego serce, jak umysł, żywo się zajmowało spotykanymi przedmiotami i równie rychło rozczarowywało. Z nauką i z miłością starosta warszawski postępował sobie jednakowo, ciekawy był serc i wiedzy,

ale oboje zaspokoić nie mogło. Szukał ciągle czegoś nowego.

Nie miał też nadziei, aby w małżeństwie serce jego udział jaki mieć mogło. Znał nadto swe położenie i plany ojcowskie, by nie wiedział, iż go ożenią dla polityki, tak jak siostrę temuż poświęcono, choć ta daleko energiczniej ojcu opierać się umiała. Z tem przeznaczeniem Brühl, dosyć obojętny na wszystko, zgodzić się musiał, wyzwolić się było mu niepodobna.

Dotąd projekta ministra osłonięte były tajemnicą, być może, iż się nie zdradzano z nimi zawczasu, bo pierwsze jakieś spelzły na niczem i wiele żółci napsuły. Domyślać się łatwo było, iż wybór padnie na rodzinę przedstawiającą wielką siłę, mającą wpływy przeważne. Na Litwie ponętni byli dla Brühla w położeniu jego tylko Radziwillowie, w Polsce i na Rusi — Potoccy.

Ostatnia z tych rodzin, już od kilku pokoleń rosła w majątności i coraz większe znaczenie. Brühlowi zresztą nie szło o samo imię i koligację, lecz zarazem o związek z taką rodą gałęzią, w którejby się cała jego potęga i żywotność skupiała.

Szeptano o Potockich. Dukla niedaleko leżała Krystynopola, a pani Mniszchowa mogła łatwo usłużyć ojcu i bratu.

Brühl młody, zasłyszawszy to imię, mimowolnie przypomniał sobie ową małą, śliczną Marynię, której oczy jeszcze mu gdzieś na dnie duszy świeciły. Miałoż to być jego przeznaczeniem? Nie badał... ojciec dotąd mileżał.

Stary Brühl, kochając swe dzieci, był dla nich bez litości; minister w nim zawsze ojca zwyciężał. Je-

dną z najdroższych była mu ta marszałkowa Mniszchowa, której sercem rozporządził, nie pytając o nie, którą później w listach zmuszał do przypodobywania się tym, których przez nią dla siebie chciał pozyskać. Istota zupełnie innego świata, żyjąca sztuką, pieśnią, marzeniem, czcąc piękna — córka Brühla musiała jechać do Polski, która kobiecie obcej wydawała się pustynią przerażającą. Wzdychała do Florencyi i Rzymu, wysłano ją do Dukli. Nie mogła tu znaleźć tych uczonych, z którymi lubiła rozprawiać o sztuce greckiej, o kunszcie u Rzymian. Ojciec słał jej w listach instrukcje, ocukrowane prośbami i pochlebstwy, ucząc, jak się ma uśmiechać do wasatych wojewodów i rozmiłowanych kasztelanów, aby ich spętać, upoić i popchnąć, gdzie on każe. Taki sam los, twardszy może, miał spotkać młodego Brühla, bo dla córki nieubłagany ojciec miał jeszcze pewne względy i wyrozumiałość, których z mężczyzną zachowywać nie potrzebował. W życiu niewiasty uczucie było usprawiedliwionem — polityk i statysta winien był, w przekonaniu ministra, wszystko umieć poświęcić temu celowi, który się dlań najwyższym nazywał. Celem tym była potęga okupiona bodaj najdroższymi ofiarami sumienia, obowiązków, godności własnej. Dla władzy godziło się złożyć i święcić wszystko, aby od niej potem wymagać wszystkiego, co ona dać mogła.

W tych zasadach stary Brühl wychowywać pragnął syna, nie głosząc ich jednak jawnie, lecz praktycznie raczej na sobie poznać mu je dając. Zbyt wielkim był znawcą serca ludzkiego, by nie wiedział, że nagie i suche wypowiedzenie prawdy absolutnej daleko mniej jest skuteczne, niż wpajanie jej zwolna w żyły sączącą się trucizną. Z lekkością i dowcipem sobie właściwym sta-

ry polityk wół żartem, pół seryo próbował zaszczeplić w synu pryneypia, których się trzymał.

Alojzy słuchał cierpliwie, nie dając znaku życia, nie przecząc im, nie dziwiąc się, nie unosząc niemi, a czasem pozwalając sobie w żart je obracać. Przyjmować się je zdawał, jako smutne konieczności położenia. Ojcu ten chłód wydawał się dobrą wróżbą.

Miał on jednak wcale inne znaczenie, niż stary Brühl sądził. Starosta z rodzajem rezygnacyi patrzył i słuchał tych smutnych prawideł, ale duszą i sercem był gdzieś indziej. Wszystko to, co minister miał za najważniejsze, dla niego było prawie obojętne. Natura, jakby na urągowisko losowi, co go uczynił synem ministra, stworzyła marzycielem i poetą, jednym z tych ludzi, których blask nie bawi, których kłamstwo dławii, którzy wkładają szyte suknie wdychając, a zrzucają je z radością. Młody Brühl znosił to, ale tęsknił ku czemu innemu. Pragnął nauki, a kazano mu uczyć się intrygi, lubił sztukę a musiał się bawić polityką ojcowską, był poetą w duszy, a po szyję wkopano go w brudy i zawikłana. Targać te więzy, którymi go pętano od młodości, ani mógł, ani chciał, szanował władzę ojcowską, brał więc życie, jak się bierze lekarstwo, non tam libenter, quam reverenter, z pogodną twarzą uniejąc się zastosować do swojego położenia, a zamiast rozpaczć, uśmiechał się wśród bólu, którego poznać nie dawał. Uśmiech ten i szyderstwo samego z samego siebie stało się dlań koniecznością, nałogiem. Był to ten powiew chłodny, co trochę ranę ostudza.

Rok 1759 się poczynął. Król August III, wygnany siedmioletnią wojną, siedział zmudzony w Warszawie. Pewnego dnia szambelan dał mu znać, że nań naj-

jaśniejszy pan oczekuje i kazał wezwać do siebie. Bywał on codziennie prawie na dworze, wezwanie nie w sobie nie miało nadzwyczajnego, oprócz oznaczonej godziny, która domyślać się kazała lub szczególnego polecenia, albo jakiejś nagłej sprawy.

Pieszczoszek królewski, ile razy do chrzestnego ojca przychodził, przynosić musiał wesolość z sobą. Samo spojrzenie na tę wdzięczną, rozjaśnioną, różową twarzyczkę króla JMci rozpromieniało. A były to czasy, w których i taki promyk radości wielce się stał dla króla pożądanym. Wojna niszczyła Saksonię, Fryderyk nielitościwie nękał państwo jego dziedziczne, biedna królowa zmarła, patrząc na to na zamku drezdeńskim. August w Polsce czuł się gościem i wygnańcem.

Szczędził mu wprawdzie Brühl zmartwień, nie dopuszczając doń innych nad pomyślnie wiadomości, w potrzebie tworząc je. Starano się o rozrywki. Gdy nie było zwierzyny, ściągano pod mur psy miejskie, aby król mógł do nich strzelać. Mimo to wdychał do swych starych lasów bukowych około Moritzburga i Hubertsburga, do swego zamku, teatru, baletu, bażantarni i ogrodów, miejsce, do których przyrósł nałogowo.

Godzina była przedwieczorna i światła właśnie zapalić miano, gdy młody Brühl, który jako szambelan miał zawsze prawo wchodzić na pokoje, oznajmił się przez pazia i natychmiast został wpuszczony.

August od obiadu siedział napół drzemiąc w fotelu u komina, na którym palił się ogień ogromny. Część jego przysłał ekran z blachy srebrnej, z czasów lepszych Augusta Mocnego. Szklanka jakiegoś napoju stała przed nim. Dowiedziawszy się o Brühl, obrócił ku wchodzącemu twarz, jak zwykle, rozpromienioną. Gdy mło-

dy szambelan przystępował do ucałowania ręki pańskiej, poklepał go po twarzy przyjacielsko i poufale.

— A co? — spytał lakonicznie — zimno!

— Najjaśniejszy Pan raczył kazać mi przybyć. Stawię się na rozkazy.

— Tak, tak — prawda! coś ci miałem powiedzieć — zawołał August, i długo patrzył mu w oczy, namyślając się.

— Tak — dodał — mam ci coś powiedzieć... nie domyślasz się.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, oprócz, że co mi W. Kr. Mość rozkażesz, spełnię, i będę z tego szczęśliwy.

— Ty dobry jesteś, mój Alojzy! tak — począł, namyślając się, August III — a ja cię kocham.

Brühl się skłonił. Nastąpiła pauza. Gdy trzeba było mówić o poważniejszych sprawach, król się nudził i zapominał.

— Masz lat...

— Dwadzieścia jeden, Najjaśniejszy Panie.

— A tak! dwudziesty i drugi!

Piękny wiek!...

Westchnął. — Młody jesteś... co to za dobra rzecz ta młodość! ale wszystko ma koniec, młodość, swoboda, rozumiesz? Nie chciałbyś ty się już ożenić?

Spojrzał mu w oczy, Brühl się uśmiechał milczący.

— Nie?? — zapytał król — mów mi śmiało, mów.

— Najjaśniejszy Panie — odparł żartobliwie Alojzy. — chociaż polskie przysłowie mówi, że kto się wczesnie ożenił, nie żałował, ja tak bardzo nie radbym się śpieszyć...

— I ja tak myślałem — mruknął król, fajkę paląc, aby nie zgasła — ale widzisz, czasem bo trzeba się

ożenić dla... wypada tak z okoliczności. Tacy ludzie, jak ty, ulegają pewnym koniecznościom.

— Wiem to, Najjaśniejszy Panie — rzekł Brühl cicho — nie jesteśmy panami naszego losu.

— A tak — odparł król — ojciec twój jest mądry człowiek, on ci to powie. Masz wielkie szczęście, że jesteś synem takiego ojca... potrzeba go słuchać!

— Nigdy mu się nie sprzeciwiam.

— Bo ty jesteś dobrym chłopcem — dodał August III. — Ojciec twój myśli cię żenić...

Brühl ani się zdziwił, ani wymawiał, stał milczący; królowi niedogodnie było mówić wiele, ale musiał.

— Myśli cię żenić — powtórzył. — Ja wiem, tybyś wolał pewnie poczekać, ja ciebie znam, lubisz swobodę, życie wesole, podróże... (na nosie pogroził) twarzyczki ładne!! A widzisz...

Brühl odparł:

— A któż ich nie lubi?

— To kochaj się w malowanych — rzekł August seryo — żywych lepiej unikać, a jedną wziąć, jaką ojciec naznaczy i wybierze. Ty nam potrzebny jesteś na to, żebyś się ożenił — dodał poważnie. — Ojciec ci to wytłómaczy... Cóż chcesz! ta nieszczęsna polityka wszystkich nas kuje w kajdany. A nie wolałbym ja za te pieniądze, które mi król pruski wydziera, kupić sobie obrazów do galeryi? Widzisz, widzisz! Myślisz, że mnie, co królen: jestem, lepiej??...

Siedzieć tu, w tej Warszawie? Co tu za opera? jakie polowanie? Lasy daleko! Obrazów nigdzie niema... ja się męczę, a cóż robić? co robić?...

Sięgnął król ręką po kufel, napił się trochę, splu-

nał, pociągnął z fajki, zaopatrzył się w ogień i nagle zapytał:

— Jak ty myślisz? będzie ponowa? Hm! zapolo-
wałoby się?

Nagle przejście do innego przedmiotu zmieszało Brühla, choć do tego był przywykły.

— Ponowa? — powtórzył. — Wątpię.

Wstał August i, ręką się zasłaniając, wyrzwał oknem.

— Ehe! — bąknął. — szyby marzną, wątpię, żeby śnieg padał. Gdzie to tu, w tej Polsce! albo tu śniegi padają jak należy?

Westchnął, zamyslił się, głowę spuścił, zapomniał już widocznie, że rozpoczętej nie dosnuł rozmowy. Dopiero po chwili podniósłszy oczy na Brühla, popatrzywszy nań, dobroduszenie mu się zaczął uśmiechać.

— Wszak ci mówiłem — rzekł — gotuj się do tego, że cię ożenią... Ale co ci to szkodzi? Nie jest to tak straszna rzecz, przyzwyczaisz się, jesteś młody...

Starosta warszawski miał od dzieciństwa poufałość do króla, tak, że ośmielił się go zapytać:

— Najjaśniejszy Panie! a nie wolnoby wiedzieć, z kim mnie swatać mają? Dobrzeby się zawczasu z tą myślą oswajać.

Nie podnosząc oczu, August począł kiwać głową.

— Ale kto to może wiedzieć? — rzekł — jak się złoży i wypadnie!... Ojciec pewnie z lada kim cię nie poswata, zatem osoba będzie zacna, pięknie wychowana i familii dobrej. O to możesz być spokojny.

Spojrzał zwolna na Brühla.

— Hm! tobie-by się chciało ładnej — rzekł cicho i poważnie — tak? A widzisz! A to najgorzej. Ładna ci zbrzydnie, a gdy weźmiesz niepiękną, przyzwyczaisz

się i wyładnieje. Mówię ci, przyzwyczaisz się i wyladnieje. Mówię ci, przyzwyczaisz się...

Co robić! Polityka! Ta nieszczęśliwa polityka wszędzie się wciska nieproszona. Akomodować się trzeba.

Brühl stał, uśmiechając się posłusznie, a August zamyslił się o czem innem.

— Nie — rzekł, jakby sam do siebie — ponowy nie będzie.

Starosta wyprostowany milczał.

— Nie będzie...

Po chwili podniósł król oczy.

— Żal mi cię, mój Alojzy, ale co chcesz? to nasza dola. Gdybyś się nie urodził synem ministra, byłoby co innego. Ojciec mnie prosił, abym cię przygotował i nakłonił do ślepego posłuszeństwa, ale ty dobrym jesteś chłopcem i... będziesz się akomodował, prawda? wszak tak?

— Nigdy nie czynił inaczej, Najjaśniejszy Panie — rzekł Brühl — zapewne wolalbym się ożenić sam, niżby mnie żeniono, ale...

— Widzisz! — zawołał król — ale ty jesteś synem ministra, to nie może być. Darmo! Co ci dadzą, trzeba wziąć.

Tu król obojrzał się dokoła, zniżył głos, kiwnął na Alojzego, a gdy ten się zbliżył, szepnął mu bardzo seryo:

— Wszystkie one jednakowe. Słowo daję, przyzwyczaisz się. Polityka! rozumiesz? Trzeba się akomodować.

Tak zbywszy się swej misyi, westchnął August, jakby mu ciężar spadł z ramion.

— Ponowy nie będzie — rzekł innym tonem — a do tych psów strzelać nudna rzecz. Powiadam ci, nu-

dna. Trzeba czekać wieczoru? Do jednego wypalić, wszystkie się rozlecą, i skowyczą nieprzyjemnie. Co to warto!

Przeszedł się po pokoju. Brühl stał, August mu położył rękę na ramieniu.

— Już się nie bój — szepnął — ojciec ci wybierze dobrze, spuść się na niego, ja się na niego we wszystkim spuszcza. Bądź spokojny, posłuszny, i żebyś nie wierzał.

— Niema posłusznieszego dziecka nade mnie, nie chwalcę się, Najjaśniejszy Panie — rzekł starosta.

— Ja to wiem, mój Brühl, i dlatego cię wszyscy kochamy, ja szczególnie. Jak tylko się dowiem, kogo ci wybiorą, powiem w sekrecie.

— A dotąd niewiadomo, Najjaśniejszy Panie?

— Niepewne — odparł król, rękę pulchną obracając na różne strony — są próby, traktowania... targi... Słyszałem coś o Potockiej... ale nie wiem! i sza! cicho! nie wiem!!

Starosta drgnął: na myśl mu przyszło owo zjawisko młodości, ta Marynia, której dziecięce wejście jeszcze za nim gonilo. Posadził na chwilę los, że mu może niespodziankę uczyni.

Poruszenie i żywy rumieniec, który na twarz wytrysnął, nie uszły bacności króla, który się uśmiechnął.

— Nie wydaj mnie! — rzekł. — Znasz jaką Potocką?

— Nie wiem, o jakiej mowa, przypominam sobie jedną... widzianą przed laty... dzieckiem... Cześnika córkę.

Król potrząsnął głową gwałtownie.

— Ale nie, nie — rzekł. — Cześnikówna! to sierota! uboga! co ci po niej? Ojciec wybierze pewnie inną. Jest bogatych Potockich dosyć... mnie i ojcu kili-

gacye potrzebne, bo nam tu „familia“ bróddzi. Tacy ludzie niewdzięczni! On ci wybierze dobrą, skromną... a zresztą...

Ręką machnął.

— Powiadam ci, przyzwyczaisz się! Co to tam!!...

Pierwsze dygnitarstwo, jakie zawakuje, dam ci na podarek ślubny, a bądź grzeczny. Niech ci Bóg błogosławi!

Brühl schylił się do ręki, August go w głowę pocałował.

— Wszystko będzie dobrze, tylko ojca słuchaj, to głowa!

Uderzył się po czole.

Szambelan wszedł, oznajmiając dwóch biskupów. August fajkę położył, szlafrok ściągnął, a Brühl usunął się na bok i tak się to posłuchanie skończyło.

* * *

Tegoż wieczoru czekał nań ojciec. Stosunki ich były czule, ale zewnętrzne oznaki poszanowania z jednej, przywiązania z drugiej strony — kryły rzeczywistą oziębłość. Wzajem się obserwowano. Gdy starosta wszedł, badając go oczyma, rzucił się uściskać minister.

— Byłeś u króla?

— Wracam od niego!

Spojrzeni sobie w oczy. Minister postąpił parę kroków.

— Cóż ty na to? — spytał.

— Kochany ojcie — odezwał się starosta z tą

smutną wesołością, która była zwykłym tonem jego rozmowy z ojcem — zdaje się, że ja tu głosu nie mam.

— Mój drogi! to tylko dlatego — zawołał minister — że my starzy daleko się lepiej znamy na tem, co szczęście dać może, co konieczne, co pożyteczne. Zresztą, mój Alojzy, królowie i my, co jak ja i ty, stoi-
my wysoko i do wyższych jesteśmy przeznaczeni losów, nie mamy swobody rozporządzania sobą. Więc...

— Więc, mój ojcie — odparł starosta — jestem na usługi tej wszechwładnej pani.

— Tegom się spodziewał po twoim rozumie. Siadaj.

Starosta usiadł, ojciec jakby z obcym, począł od przy-
milań i uśmiechów.

— Nie masz się czego lękać — mówił, zniżając głos — ja i siostra twoja zrobiliśmy ewentualny wybór dla ciebie, który mojej polityce jest na rękę, a raczej, powiem, niezbędny.

Będę to winien tej nieoszacowanej Maryi Amelii, która jest moją prawą ręką, która, gdyby nie była zachwycająca kobietą, powinna-by była zostać ministrem...

Jej to rozum, jej niezmierna ludzi znajomość.

Spojrzał synowi w oczy.

— Domyślasz się już?

— Tak — rzekł starosta — Dukla niedaleko od Kry-
stynopola, a siostra często bywała u wojewodziny.

— I podbiła ją; zawojowała, oczarowała tę de-
spotyczną chimeryczkę — rzekł stary z zapalem. — Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że swaty do starszej cór-
ki się powiodą, byleś ty chciał, umiał, poszedł za ra-
dami Amelii i trochę dolożył starania. Siostra ci tam
wszystko przygotowuje, da instrukcje.

Starosta westchnął.

— Bardzo brzydka? — spytał ojca, uśmiechając się.

— Nic a nic — pośpieszył Brühl z odpowiedzią. —
Pięknością nie jest, bo córce pana wojewody kijowskie-
go piękność niepotrzebna, ale młodziuchna, nieszpeta, a co największa, pobożnie i surowo wychowana. Przy-
niesiesz jej z sobą wyzwolenie z pod okrutnego despo-
tyzmu mamy, i będzie ci niewymownie wdzięczna.

— Więc to już postanowiono? — spytał starosta.

— Z mojej strony jest to jedyne pragnienie. Wiesz,
co znaczy dla nas alians z Potockimi? Wiesz, co są
Potoccy? Wojewoda jest najbogatszym panem w Ko-
ronie. Lecz, *entendons nous*, tego szczęścia dosta-
pić nie łatwo.

— Cóż stoi na przeszkodzie?

— Zapytaj siostry — mówił minister. — W do-
mu panuje na pozór wojewoda, w istocie sama pani,
a z nią cała klika faworytów i cały milion jej chimer.
Będzie nas ścisła rano, a odpychała wieczorem. Ktoś
przyniesie głupią plotkę i jedno słowo może zerwać
wszystko. Karlica jej coś podszeptnie, ksiądz zrobi minę,
nie podoba się krój fraka...

Ruszył ramionami.

— To staranie — rzekł szydersko starosta — wy-
magać będzie studyów.

— Siostra ci je ułatwi... a ty! ty, gdy zechcesz,
podobać się potrafisz...

Smutnie uśmiechnął się pan Alojzy. Ojciec go za
rękę chwycił.

— Dla mnie to ożenienie — rzekł — jest to spra-
wa życia lub śmierci! rozumiesz? Familia czyha na mnie
i grozi, muszę przeciw niej stawić mur, któregooby ona
złamać nie mogła. Tyś moja nadzieją całą!!

— Niezmiernie się lękam... oby ona nie okazała się zbyt wątłą...

— Tu idzie — ciągnął dalej minister — nie tylko o mnie, o moją politykę, ale o twoją przyszłość, o wzmożenie położenia twego, o siły! Z Potockimi ręka w rękę, jesteśmy pewni zwycięstwa!

— A raczej oni z nami są go pewni! — poprawił Brühl. — Familia także była niegdyś nasza.

Brühl stary brwi zmarszczył.

— Oni nas chcieli użyć za narzędzie — to było trochę za śmiało. Zresztą, wystawiłem ich na próbę, dawałem im alians—odrzucili go, obrażając mnie osobiście. Plany ich odkryte, czyhali na to, aby mnie obalić.

Lada chwila walka wybuchnąć może, trzeba do niej być gotowym.

Cóż ty na to?

— Jako żołnierz stanę z tobą do boju — rzekł starosta — na partyzanta przydam się może, na wodza nie mam ani doświadczenia, ani geniuszu.

— Nadto jesteś skromny.

— Znam siebie — odparł starosta.

— A zatem — zakończył minister — słowo, rachuję na ciebie.

Kroki się słyszeć dały. Brühl zmienił twarz. Rozmowa była skończona.

V.

W Krystynopolu nad Bugiem, dziedzictwie jednego z najmożniejszych panów polskich, Franciszka Saleze-

go Potockiego, wojewody kijowskiego, starosty bełzkiego, rubieszowskiego, robczyckiego, dobrzyckiego, i t. d., i t. d., stary, obszerny pałac, rezydencya głowy domu, nie wyglądał wspaniale. Były to zlepięte z sobą obszerne domostwa, kilku podwórcami otoczone, ocienione starymi drzewy, więcej imponujące obszernością niż pięknnością budowy. Przepych zjawiał się tu tylko, gdy się z nim popisać było potrzeba; na powszednie dni nie kuszone się o zbytek, a największym pono mógł się nazwać liczny dwór, który wojewodę otaczał. Jego gwardye, wojsko nadworne, urzędnicy pańscy, dworzanie, służba mnoga, acz z wielką utrzymywana oszczędnością i rygorem, tak kosztowały magnata, jakby był małym królikiem.

Zwano go też na Rusi tem imieniem, bo posiadłości dziedziczne, starostwa, osady, ogromne kraju przestrzenie zajmowały. Nad znaczną częścią jego w istocie panował. W owych czasach bezpieczeństwo własne i tak wielkich posiadłości zmuszało do ciągłego czuwania. Wewnętrzne urządzenia nie zapewniały ich dostatecznie. Musiał więc wojewoda utrzymywać pułki, miał na swym żołdzie dragonię, ułanów, kozaków, piechotę i służbę w tem wojsku nadwornem liczyła się na równi z koronną. Fortragowanie zawisło niby od hetmańskiej władzy, ta się jednak niewiele mieszała do wojsk nadwornych takich jak pan Potocki i Radziwiłł magnatów, oni sami rozporządzali się tu podług własnego widzi-mi-się.

Wojska w części u boku pana, częścią po dobrach ukraińskich rozstawione były. Oprócz milicyi liczny dwór wojewody utrzymywany był z rygorem nadzwyczajnym, w karności daleko większej, niż wojska Rzeczypospolitej. Charakter dumnego pana odbijał się i odzwierciedlał w jego otoczeniu. Dostojność, potrzeba obrony i przewo-

dzenia nad drugimi, zmuszały do trzymania na żołdzie służby bardzo licznej; liczono ją w Krystynopolu na tysiące. Nie wyglądała ona zbyt świetnie, karmiona była skromnie; sam wojewoda, który w danych razach krociami sypał, o tynfa się czasem targował, a rachował szczerze z każdym groszem. Na wielkie uroczystości mógł przypiąć wielkie guzy z soliterów, ale na codzień chadzał w szaraczku i butach kozłowych, a gospodarstwem dóbr swych zajmował się tak pilnie, iż żaden korzec jagieł extra bez kwitu jego nie był wydany.

Kradziono mu ich pewnie stami, lecz rachować je musiano co do garnca. Nie wiem, czy na tem gospodarstwie drobnostkowem, trochę śmiesznem, dobrze wychodził pan wojewoda, bo mu często na większe sprawy czasu zabrakło, ale chciał o wszystkim sam wiedzieć i na nikogo spuszczać się nie lubił. W każdej ważniejszej okoliczności panowie gubernatorowie (tak zwano wówczas rządzców) odnosili się do jasnie wielmożnego pana, listów od nich codzień przybywało mnóstwo, na wszystkie odpowiedzi sam pan wojewoda albo dyktował, lub choć po kilka słów odpisywał.

Osobliwa mieszanina przepychu azyatyckiego i skąpstwa, a raczej oszczędności małuczkiej cechowała dwór i gospodarstwo pana wojewody. Umiał być wielkim panem, ale stare szlacheckie tradycje brały nad nim górę co chwila. Szczególniej na dzień powszedni powierzchność jego odpowiadała zupełnie temu charakterowi, w którym niepomiarna duma, marzeniami wzbijająca się do tronu, mieszała się z zabiegliwością i skrętnością chciwego dorobku szlachetki. Miał to sobie z tradycyi podane pan wojewoda, że szlachcic a bodaj pan starać się powinien nie tylko fortunę utrzymać, ale ją

zwiększać i dorabiać koniecznie. Zbytek a marnotrawstwo były mu w ohydzie i wzgardzie, lecz tam, gdzie szło o podniesienie powagi domu, okazanie potęgi jego i możliwości, sił, jakimi rozporządzał, tam miliona rzucić nie żałował.

Surowy dla siebie i dla wszystkich, życie domowe wiodł wedle najściślejszych prawideł, jakie prastare tradycje przyniosły. Nie godziło się od nich ani na włos odstąpić. Więc najprzód wszystko, co z wiarą i religią stało w związku, poszanowane było i uświęcone. Obserwowano praktyki, zachowywano posty, odprawiano pielgrzymki, nie opuszczano nigdy żadnego nabożeństwa, a dzieci pod dozorem duchownym i w bojaźni bożej chowano, i dwór musiał iść w ślady pańskie, boby mu najmniejszego zwolnienia nie przebaczone. Oboje państwo sami byli przykładem. Nikt tam w piątek, wigilię i suche dni na stole nie tylko mięsa, ale nawet nabiału nie zobaczył. Dzień się rozpoczynał od modlitwy, mszy św., pieśni pobożnych, i na modlitwie kończył. Trzaskający mróz nie zwalniał od kościoła, a dwór pana i fraucymer pani chyba obłożna choroba, poświadczona przez doktora Macpherlana, od Gorzkich Żalów i Nieszporów uwalniała.

Zatem szło ślepe posłuszeństwo rozkazom pańskim, które spełniał każdy, nie wchodząc ani w ich następstwa, ani w trudności, jakie miały go w tem spotkać. Nie było odpowiedzi, gdy dyspozycja wydana została, chociażby wojewoda coś najdziwaczniejszego nakazał. Spełnienie pańskiej woli nie obciążało sumienia podwładnych, a ktoby się wahał, ten na dworze nie długo popasał. Rygor był niesłychany. W szarej kapocie, z głową podgoloną i podstrzyżoną, wojewoda z twarzą

swą zwiędłą, żółtą, rzadko kiedy uśmiechem w życiu wyjaśnioną, nie obudzał sympatyj, ale umiał wrażyć uszanowanie i trwogę. Powierzchnowość jego, na pozór nieczem nie zdradzająca pańskości (bo wszyscy oficjaliści pokażniej od niego chadzali nawet na dzień powszedni), samą tą prostotą i zaniedbaniem odbijała od tłumu; a wpatrzywszy się w tę twarz niby pospolitą i nie odznaczającą się rysami bardzo wybitnymi, czuł każdy, iż w człowieku mieszka wola silna i energia niezłomna. Wojewoda nie mawiał wiele, zwłaszcza do niższych, rzadko się w dłuższą wdawał rozmowę, objawiał rozkazy, zadawał pytania, nie dopuszczał dyskusji. Nie cierpiał też szczebiotania, musiano mu odpowiadać krótko a węzłowato, inaczej brwi chmurzył, a gdy nogą tupnął, ten, kto go do tego zmusił, tracił łaski na długo, jeśli nie na zawsze.

Zwano go despota, może sam to znał do siebie, lecz znajdował, że w swem położeniu innym być nie powinien, i nie mógł. Na barkach pańskich spoczywała odpowiedzialność za wszystkie te tysiące bożego ludu, którymi władał. Wprawdzie płacił za to tem, że go los wszystkich, co go otaczali, niemal jak własnej rodziny obchodził. Władza pańska daleko się szerzej rozciągała, niżby domyślić się można. Tak na przykład kto był choćby gubernatorem w majątku wojewody, szlachcie często możny i niezależny, jak skoro w służbę wstąpił, już w niczem sobą bez wiedzy pańskiej nie rozporządzał. Chciał się na przykład ożenić, musiał się wprzód w Krystynopolu submitować i wziąć błogosławieństwo, wojewoda pisał się opiekuńczo do intercyzy i datkiem to sowitym opłacał. Dzieci trzymano do chrztu, panny z fraucymeru wojewodzina wydawała i potrosze wyposażała. Sieroty wy-

chowywano, ale niemi rozporządzano wszechwładnie. Posagi, dary nie były znaczne, wyprawy skromne, ale tyle ich się do roku zbierało, że tylko Potocki mógł na nie starczyć. Cokolwiek na ziemiach jego mieszkało, musiało niemal poddaństwu ulegać.

Pani wojewodzina Anna, Potocka z domu, wojewody poznańskiego córka, która wniosła ogromny spadek po matce, ostatniej z Łaszców, z charakteru i przez pożyte z mężem tak mu była podobna, iż nigdy może zgodniejszego małżeństwa świat nie widział. Niemniej surowa, może w tem męża przechodząca, podejrzliwa, kapryśna, wojewodzina tak ostro trzymała swój fraucymer, iż rzadki dzień się w nim obszedł bez różeg, a pomniejsze kary spotykały dziewczęta co chwila. Kłęcenie na grochu było chlebem powszednim. Liczny dwór żeński wojewodziny Anny, tuż obok jeszcze większego męskiego pana wojewody, trzeba było w istocie nadzwyczaj trzymać surowo, aby się gorąca młodzież nazbyt nie kumała z sobą. To też nawet chodzenie pod oknami panien najmocniej było wzbronione, a ochmistrzyni pani Wałowska oczy i wejrzenia śledziła. Nie zbywało i na innych szpiegach. Trzydziestu dworzan zawsze stało na usługi gotowych; marszałkiem dworu, de nomine, od uroczystości, był ubogi książę Włodzimierz Światopełk Czetwertyński, któremu za to wojewoda starostwo Ułajkowskie wyrobił, a trzymał go i płacił, aby sam żadnego nie używając tytułu rodowego, mógł się tem przed gośćmi pochwalić, iż mu posługiwali książęta. Oprócz tego na starostach we dworze nie zbywało. Zastępował Czetwertyńskiego niemniej dobrego rodu starosta zawiadecki, a łowczy pan Sadowski tytułował się Ropczyckim. Na tych łowczych, podłowczych, szlachcie posesyonatach,

ludziach poważnych, jak na królewskim nie zbywało dworze. Ci, dla miłości „wysokiej protekcji“ pana wojewody, przy małych po większej części pensyjkach obowiązków lekkie pełnili.

Zwłaszcza przy obcych na dni uroczyste etykieta dworu niemal była monarchiczna. Zaledwie się ukazał wojewoda, na odwachu bito w bęben, występowało wojsko, prezentowano broń i oddawano honory dowódcy. Nie było też wiele więcej roboty przy wspaniałej wjazdowej bramie, od samego pałacu okazalszej, gdzie straż czuwała dzień i noc, świadcząc o potęgze pana.

Życie w Krystynopolu zwykłymi czasy było dość jednostajne i nudne; uprzyjemniały je plotki, których wojewodzina była niezmiernie łakoma. Porządek dnia i godzin, przeznaczonych na zatrudnienia, był ściśle oznaczony. Straże zaciągały, mieniały się, wybijano capstrzyki, szyldwachy chodziły zaspane, a żołnierz nie o wiele więcej miał do czynienia nad to, że powozów w dziedzińcu nie puszczał, chybaby kobiety jechały. Panowie wysiadali przed bramą i, w jakąkolwiekby porę, szli z rewerencyą do pałacu piechotą. Ekwipaże dam, wysadziwszy je, natychmiast za bramę powracać musiały, dziedzińcu był w poszanowaniu.

Zgwałcił go raz tylko pan starosta kaniowski, gdy Żyda jakiegoś krystynopolskiego poturbowawszy tak, że umarł, na skargę wojewody odpowiedział, posyłając mu całą furę własnego chowu Izraelitów, których pod samym gankiem wyrzucić kazał.

Ani pan, ani pani nie próżnowali. Wojewodzina miała do utrzymania swój fraucymer, do wychowania córek cztery, faworytów i donosicieli mnogo, ploteczek do słuchania obfitość; wojewoda majątek do rządzenia

olbrzymi, politykę dla zabawy i nadzór daleki nad wychowaniem syna jedynaka.

Zbliżka się wpatrując w tajemnice pałacowe, dostrzegł łatwo każdy, iż tu, jak w większej części polskich stadel, nie ten był w istocie panem wszechwładnym, kto się nim wydawał. Wojewodzina rządziła mężem i wszystkim, bez jej porady nie stało się nic, woli jej ani mógł, ani się myślał sprzeciwiać. Kochał ją i był dla niej słabym. Pani Anna z tą siłą swą nie występowała nigdy nazbyt jawnie, owszem, gotowa była z uszanowaniem uleść mężowi, lecz pan wojewoda myśli zgadywał, płaszczył się i słuchał, aby uniknąć chimer spazmów i historyi, które domem całym wstrząsały.

Ich dwoje w końcu stanowiło jakby jedną istotę, umysły się spoiły, nastroiły, uczucia zrównoważyły, natury obie łączyły tak ściśle, iż różnica zdań nie była możliwa. Było to jakby dwa zegary z jednymi kurantami, które co innego nad nie grać nie mogły. Ten fenomen małżeńskiego pożycia, po długich latach nieprzerwanego związku, trafia się często, a dawniej był może niż dziś pospolitszy, gdy ludzie więcej z sobą żyli, od innych wpływów odosobnieni. Skutkiem jedności tej uczuć i myśli, twarze nawet stawały się do siebie bratersko podobne wyrazem. Państwo Potoccy ruchy jedne, sposoby mówienia, jedne smaki, humor ten sam mieli oboje.

Panowanie wojewodziny było dla innych widoczne, dla wojewody prawie się ono czuć nie dawało, ulegał dobrowolnie, przybierało ono formy usługi, pomocy, współczucia, podziału pracy. Wojewoda mógł się czasem mnieć panem, ale w istocie nigdy nim nie był, chyba mu dopuszczono i pofolgowano względem obcych się nim okazać.

W wychowaniu dzieci matka naturalnie pierwszy

głos miała i kierowała niem wyłącznie; ona dobierała ludzi, odprowadzała ich i z doniesień faworytów dawała o nich wyroki. Surowość, z jaką trzymano dwór, aby się nie śmiały rozpasać, jeszcze większa może była względem dzieci, nieustannie mianych na oku. Wojewodzina była w zasadzie tego przekonania, iż rygor jeden kształci, że jest konieczny, że nadeń innego środka wychowawczego niema. Drżały one wszystkie na widok matki, chociaż je kochała, ale pokazać im tę miłość nazywało się słabością, strzegła się tego wojewodzina, za jej przykładem mąż iść musiał.

Nie pieszczono więc ani dziedzica jedynaka, który miał być spadkobiercą tej potęgi, ani dziewcząt, jakby do najtwardszego usposabiając je życia. Były to istoty zahukane, drżące, nieśmiałe, zmęczone, ledwie wążące się podnieść oczy, a przez sługi trochę psute po kątach. Nigdy pono wojewoda nie pomyślał o tem, że syn, który od dziecka żadnej nie miał woli, kiedyś prawie nieograniczoną miał dostać i mógł jej nie umieć użyć lub nadużywać.

Wśród tych trosk o rodzinę, o znaczenie w kraju, zdobycie sobie stanowiska odpowiedniego swej potędze, o utrzymanie i rozrost majątków, nie miała pani wojewodzina innej rozrywki, nad komerażę swych faworytów, nad plotki, któremi je karmiono, i nieustanne jakieś drobne sprawy domowe do olbrzymich podnoszone rozmiarów.

Jatrzono ją, uspokajano, głupota jednych, złość drugich, próżniactwo, chęć zasłużenia się, nie dawały jej pokoju i zrodziły nałóg tego karmienia się niezdrowym pokarmem. Wojewodzina była uległością męża popsuta, chimeryczna, dziwaczna, łatwowierna, a życie z nią prawdziwą męczarnią dla otaczających. Wiedziała o tem,

że ją chimeryczką zwano, i gniewała się za to na ludzi. Najmniejsze sprzeciwienie wywoływało gniew, omdlenia, płacze, narzekania, choroby, po których następowały błagania, pochlebstwa, tłumaczenia, przejednywania, i pókój wracał na kilka godzin, dopóki go nowa plotka nie naruszyła.

Kilka osób szczególnie miało poważny wpływ na panią wojewodzinę, a największy kapelan i dyrektor sumienia ks. Russyan. Był to zakonnik skromny, cichy, dosyć energiczny, znający doskonale wszystkie wady swej pani, i umiejący sam wpływać na nią i poskramiać je. Jemu wiele było wolno, czegoby nikt inny pozwolić sobie nie mógł. Nudził się biedny ksiądz ciągle niepokoiony, aby latał, co drudzy popsuli, nieustannie napastowany o jakieś pośrednictwo i protekcję, i dlatego, skoro mógł tylko, z Krystynopola wytchnąć do klasztoru uciekał. Wpływ ks. Russyana był tak wielki, że często i pan wojewoda się do niego w ważnych razach uciekał; nie podnosiło go to w pychę, upokarzało prawie. Czynił dobrego wiele, a męczył się swem położeniem okrutnie, lecz świadczone klasztorowi, był potrzebny wszystkim, nie puszczano go ze stanowiska.

Ktokolwiek miał sprawę w Krystynopolu, o radę go musiał prosić i protekcję. Pocziwy Bernardyn nie nadużył nigdy swej potęgi; ale w twarzy, ruchach, obejściu widać było brzemie, które nosił, i znużenie, jakiego doznawał.

Po ks. Russyanie szła panna Terleeka, wielka pani faworyta, konfidentka, zręczna, przebiegła, umiejąca się przypochlebić, padająca do nóg, grająca miłość dla pani niezmierną, a po cichu frymarcząca swą siłą i umiejąca ją na korzyść obrócić. Wojewodzina nałogowo do niej przywykła. Nie najpierwszej młodości, ale jeszcze

świeża i dosyć przystojna, uboga wychowanica pani, miała mnogich starających się, którzy czuli, że wyposażenie mieć będzie znaczne z łaski dobrodziejki, odrzuciła ich jednak wszystkich, nie chcąc postradać stanowiska zdobytego. Przed panią zdawało się to miłością i ofiarą dla niej. Wojewodzina chwaliła się tem, że ją tak kocha Terlesia, iż dla jej miłości kawalerów, i to co się zowie powabnych, a dobrze sytuowanych, odrzuca. Terlesia dobrze wiedziała dlaczego to czyniła. Po mału zbierały się podarki, sumki, oszczędności, a potem, w ostatku pewne było dożywocie i posażek.

Panna Terlecka, której we dworze lękali się wszyscy, w sekrecie donosiła, nie szczędząc nikogo, i głównem była źródłem plotek z całego świata. Zwykle po wieczery, gdy się wszyscy porozchodzili, ona i kilka osób zaufanych ściągano się do wojewodziny, gdzie z całego dnia sprawę zdawano, co kto powiedział, zrobił i t. p. Na tej radzie tajemnej w garderobie pani rozstrzygały się nieraz losy ludzi i rodzin całych.

Terlecka miała głos pierwszy i największą wiarę, wojewodzina patrzyła na nią, a panna umiała zawsze przewidzieć, co najmiłszem pani być mogło. Terlesię, jak ks. Russyana, znali wszyscy, co byli zmuszeni dotykać Krystynopola, księdza zyskiwano dobrem słowem, faworytę prezencikami, które bardzo lubiła. Dawala ona rady, przyrzekała protekcję, lecz trzeba było umieć do serca jej przemówić.

Obok panny, ale w innej zupełnie roli stała matka jej, pani Katarzyna z Giedrojeiów Terlecka, postać osobliwa, oryginalna, coś pomiędzy dewotką a waryatką pośredniego, osóbką małą, krzywa, gadatliwa, niedorzeczna, pyszna ze swego pochodzenia od Giedrojeiów, natrętna, napastliwa, niecznośna, ale w łaskach u państwa,

którzy w niej nabożeństwo dziwaczne i krew pańską szanowali Staruszka umiała z tego korzystać.

Funkcyą starej Terleckiej były modlitwy skuteczne; ona za wszystkich i na różne intencye modlić się, pościć, odprawiać nowenny umiała najlepiej, ona jedna aplikować trafnie nabożeństwo mogła do potrzeby; wiedziała, kiedy należało się udać do Św. Antoniego, a kiedy do Św. Mikołaja, w jakim wypadku ten a ten patron był najlepszy, i jaki rodzaj ofiary mógł go zjednać. Udawano się do niej na pewne.

Stara Terlecka przybierała wówczas poważną postać, zamyślała się i upewniała, że znajdzie drogi. Sekrety nowenn, postów, leżenia krzyżem, praktyk dziwnych były jej tylko wiadome. Niekiedy unosiła się aż do pewnego rodzaju prorokowania ekstazy. Naówczas mówiła zupełnie bez sensu, ale z takim zapalem, że nie można było jej nie admirować. Oboje państwo bardzo pobożni, szanowali starą Terlecką. Sam jej pozór w sali pałacu dla obcych osobliwem być musiał wrażeniem. Staruszka wychodziła wykrygowana, z głową podniesioną, sztywna, nie uraniając ani na chwilę powagi, a im więcej było obcych, tem się stawała dziwaczniejszą. Ogromny biały czepiec ze wstęgami, worek na rękę wypchany, różaniec u pasa nieodstępny, wielka głowa na malej skrzywionej figurce... czyniły ją doskonale śmieszną, nikt się tu jednak nie ważył inaczej do niej zbliżyć, niż z największem poszanowaniem. W kościele stara Terlecka, w zakrystyi, na nabożeństwie formalny rej wodziła... porywała świece, kierowała księżmi, intonowała pieśni, a pobożność jej objawiała się taką mimiką gwałtowną, że trudno było pojąć, jak na dość podeszłe lata mogła jej podolać.

Ręce wyciągnięte do góry czasem trzymała godzinami, biła się w piersi straszliwie, całując ziemię,

stukala czołem, że się o czaszkę lękać przychodziło. Za to potem jadła z apetytem wybornym i piła ze smakiem. Terlecka często ale nie zawsze siadywała w Krystynopolu, korzystając z łask wojewodziny, odwiedzała inne dwory, gdzie ją z tego powodu dobrze przyjmowano i obdarzano. Stara łakoma była niesłychanie i wcale z wyciąganiem datków nie czyniła ceremonii, przymawiała się do nich. A że uboga była, dawano jej chętnie suknie, pieniądze, łakocie i t. p. Córce zawadzała nieco ta żebranina, lecz matka nie dała się skłonić, aby spokojnie siadła na dewocyi przy kościele, i żyła z ordynaryi. Nawykła do ruchu Terlecka długo w jednym miejscu usiedzieć nie mogła.

Wpadała z okrzykiem do domów:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka Boska, nasza Królowa. Aniołowie święci niech ten domek okryją skrzydełkami. Na intencję państwa moich dobrodziejstwa osobliwych odprawiłam Nowennę, że skuteczną, czuję to w sercu mojem uspokojonem. Miałam widzenie w czasie mszy świętej, wszystko będzie dobrze! tak mi Boże dopomóż, bo państwo dobrodziejstwo o biednych i łaknących nie zapominacie. Duch święty podał to do serca mego. Czas się zbliża ukontentowania.

W dalszej rozmowie umiała się przymówić i o sztuczkę atlasu, i „o wino antaleczek na mój żołądek”. Pobożność ta nie przeszkadzała pani Katarzyni z Giedrojców Terleckiej znosić do Krystynopola płotecek z okolicy. Wojewodzina miała słabość do niej, ona też, nogi osobliwszej dobrodziejki całując, nedorzecznosciami i pochlebstwy uszy napychała. Córka naówczas milczeć musiała, bo matka jej się nie dawała powodować. Nie licząc pomniejszej gawiedzi, która panią wojewodzinę otaczała, mniejszemi lub większemi jej ciesząc się

łaskami, naostatek trzeba tu jeszcze zapisać ulubionych jej karłów dwoje — Bebusia i Bebę.

Bez tych dwóch istot wojewodzina równie jak bez Terlesi obejść się nie mogła. Popsute, rozpieszczone, dziecinne, odgrywały one role, jaką gdzieindziej pieski faworyty mają, z tą różnicą, że gryźliwy ich i niespokojny charakter nieustannie wywoływał wojny i swary. Bebuś i Beba klócili się z sobą, szpiegowali fraucymer i sługi, donosili, co podpatrzyli przez okno, co podsłuchali u drzwi, zasługiwali się pani, a zarabiali na nienawiść całego dworu. Wojewodzina jednak, mimo słabości dla karłów, trzymała ich niekiedy tak surowo, jak i innych. Bebuś, wzięwszy różgą, do nóg padał, przepraszał, dostawał sucharek i szedł się mścić nad towarzyszką wiercą, nad którą się znęcał bez litości. Nie cierpiano Bebusia i Beby, ale i im musiano się czasem przypochlebiać, zyskiwać ich sobie, aby nie pletli niepotrzebnych rzeczy i nie poddawali złych myśli. Bebuś był plotkarz i łgarz okrutny; ile razy dowiedziono mu długojęzyczność grzeszną, wojewodzina kazała mu wieszać na szyi czerwony sukienny język, z którym czasem chodził po kilka godzin za karę.

W wielkiej sali pałacu w Krystynopolu Bebuś i Beba mieli swój apartament osobny. Słuszny mężczyzna mógł mu się przyglądać z góry, gdyż nie okryty był dachem. Składał się on z parawanów, papierem oklejanych, na którym poprzyklepiano wystrzygane figurki dziwaczne zwierząt i ptaków. Stanowiły one tych starych dzieci zabawkę. W pośrodku mieli salonik ze stolowymi lilipuckimi meblami i całe niby gospodarstwo.

Nieszczęśliwe to małżeństwo, z babinami twarzyczkami gębczastemi i obwisłemi, żyło z sobą, jak pies z kotem, ale to na opak, Bebuś był tyranem i władcą, a bie-

dna Beba ofiarą. Obawiała się ona męża okrutnie, a ten, że o cal od niej był wyższy, znęcał się nad słabą towarzyszką. Przytem, co mu dowiedzione zostało i za co był karany, stary, paskudny Bebuś bałamut był i kochał się w pannach respektowych, dobierając zawsze dla efektów swych najsluszniesze wzrostem.

Gdy za parawanami rozpoczęła się wojna i wrzawa, bo karły miały charakter niespokojny, wojewodzina dobywała z szufladki stoliczka małą dyscyplinę i szła własnoręcznie sprawiedliwość wymierzać. Niestety, miała dla Bebusia pewną słabość, z której on korzystać umiał; zawsze więc prawie nieszczęśliwa Beba, choć rączki składała, zaklinała się i przysięgała, że była niewinna, musiała za grzechy męża pokutować. Bebusia ubierano po polsku, i mimo że szlachectwo jego było wielce problematyczne, chodził przy szabelce; Bebę strojono w czepce, fryzury, robrony, i trzeba przyznać, że im na sukienki nie żałowano. Kobięcina bardzo się stroić lubiła, a Bebuś próżny był, elegant śmieszny i lusterko w kieszeni nosił. Trapiło go to niezmiernie, iż mu wasy rosnać nie chciały; choć pokryjomu golić się kazał cyrulikowi, nie to nie pomogło.

Wojewoda, słaby we wszystkim dla żony, cierpiał to nieznośne stadło, do którego towarzystwa należał mops otyły i kaszlący i papuga zachrypla. Beba pilnowała ptaka, Bebuś chorego przyjaciela, który cierpiał na wątrobę—chodził go przewietrzać na ganku. Pan wojewoda, tolerując parawany, zdala się jednak od nich trzymał i krzywił czasami, gdy kakadu nadto wrzeszczała, a mops wyc z niecierpliwości zaczynał. Rzadko się to jednak zdarzało.

Bebuś i Beba nie próżnowali, odprawiali nabożeństwo z całym dworem, jejmość robiła pończochy i pod-

wiązki, a on sam używany był do posylek, roznosił rozkazy, a proprio motu oboje się z za parawanów wyrwali w świat ze szczególnem zamiłowaniem oddając szpiegowaniu ludzi wyższych wzrostem, których za nieprzyjaciół rodu swego uważali.

Wojewodzina nie zawsze mogła dopilnować tego, co się działo za parawanami. Gdy długa panowała cisza, domyślała się dezercyi, naówczas albo sama się puszczała, lub wysyłała w pogon jednego z dworzan, a zbiegi bezpaszportowe za powrotem, jeśli się od dyscyplin wykupiły, musiały klęczeć, albo u stołu być pozbawione najmielszej potrawy.

Wyliczyć główne postaci dworu pana wojewody byłoby trudno; faworytów nie miał, pochlebców nie lubił, preferował jednak tych, co jak koniuszy Wilczek najgoręcej spełniali jego rozkazy. W otoczeniu wojewody ludzi się liczyło seciny; najpokorniejsi i pochlebey i tu szli górą, uniżoność bowiem i adorację ceniono ze wszystkich przymiotów najwyżej. Kto umiał się zalecać submisją niezmierną, kłaniał do ziemi, za kolana ścisnął, oczu nie śmiał podnosić, olśniony blaskiem majestatu pańskiego, ten dał sobie rady. Najmniejszy tonik niewczesny pani wojewodzina w dworzanach karała na prędce ręką szybką, która wymierzała policzek. Nie krzywdziło to szlachcica, gdy od jaśnie wielmożnej pani w papę dostał, ale nazbyt przyjemnem nie było. Miłości też wielkiej ani wojewoda, ani ona nie zjednali u dworu, szanować się kazali, i — drżało wszystko przed nimi. Rygor zresztą był więcej pozorny, niż rzeczywisty. Wyjawszy nieznośne karły, cały dwór wzajem sobie rad był ulżyć tej niewoli. Na oko szło wszystko sprężyć się, pilnie, posłusznie, lecz umiano sobie folgować po cichu.

Mówiono o panu staroście zawideckim, który był

mężczyzną ślicznym i galantem wielkim, że nawet w późnej po capstrzyku godzinie ośmielał się oddawać wizyty fraucymerowi. Było to zuchwalstwo tak straszne i niebezpieczne, iż na nie chyba miłość prawdziwa zdobyć się mogła. Udało się to czas jakiś, ale karły coś przewąchiwały. Bebuś o cały fraucymer był zazdrosny. Wojewodzina, coś podejrzewając, wyszła raz późną godziną na korytarz, śledząc właśnie, gdy starosta z pokoju panien się wymykał. Schwytyany na uczynku, że było ciemno, nie widział innego ratunku nad udawanie duszy z ciężsćca na padół płaczu przybyłej, znikąd ratunku nie mającej. Jął więc zawodzić, jęczeć, stękać, chrapać; wojewodzina, przestraszona upiorem, uciekła a za duszę starosty nazajutrz uroczyste odprawiono nabożeństwo. Na drugi raz pewnie był ostrożniejszy.

Podobnych wybryków działo się pewnie i więcej, lecz jedni drugich jak mogli zasłaniali i bronili, a życie się wlokło. Kobiety, które w świat wychodziły z fraucymeru wojewodziny, trzymane w takiej ryzie, rzeczywiście na niej zyskiwały, i co później życie im przyniosło, przyjemnem wydawać się musiało po surowej klauzurze. W żadnym klasztorze reguła nie była tak ścisła, jak tutaj.

Podlegał jej i sam wojewoda, któremu żona najmniejszego wylamania się z godzin i trybów życia nie przebaczała. Po wyekspedowaniu kresów i listów, wicherzy i modlitwie, gdy na odwachu capstrzyk wybito, a konferencya jejmości z faworytami była skończona, wojewoda z kancelaryi swej, pozamykawszy wszystko, ze świecą woskową w małym lichtarzyku, szedł przez pokoje do sypialni, do jejmości. Tu zwykle jeszcze odbywała się narada poufna, pod wpływem wrażeń z konferencyi wyniesionych, spowiedź z dnia całego, i wo-

jewodzina dawała instrukcye małżonkowi w sprawach wątpliwych.

Przez jeden pokój, w którym zwykle sypiała panna Mładanowiczówna, lub inna z młodszych panien re-spektowych, oddzielony był tylko korytarz, wiodący od fraucymeru i pokoju córek. Tam, gdy w tej porze powszechnego milczenia najmniejszy szmer dał się słyszeć, wojewodzina wstawiała sama ze stoczkiem lub bez stoczka i, narzuciwszy pudermantel, szła troskliwą re-wizyę odbywać.

Niekiedy pannę w przedpokoju budził żwawy spór między małżeństwem wynikły, bo, choć się pan wojewoda akomodował we wszystkim, nie bez tego, żeby mu czasem mucha na nos nie siadła. Naówczas, ażeby prejudykatu nie zyskał, jejmość śpieszyła z poskromieniem swawoli, i nigdy się nie trafiało, ażeby pokój przed spoczynkiem nie został zawarty, po zwycięstwie odniesionem nad wojewodą.

Wychowanie jedynego syna wojewody, na którym rodu spoczywały nadzieje, powierzone było czeigodnemu Pijarowi ks. Wolffowi. Dodawano mu metrów, był dla języka Francuz kamerdyner przy paniezu, ale pieczę i nadzór główny dzierżył ów uczony a pobożny księżyna, człek najlepszych chęci, mający tylko tę wadę, że radby wszystkim dogodził, nie wyjmując ucznia swego. Sam sobie zostawiony byłby pewnie energiczniejszym i lepszym mentorem, ale matka mieszała się do wszystkiego, wtrącał potrosze ojciec, uczeń miewał wstręty i popędy różne a ksiądz Wolff, nikomu się nie chcąc narażać, na ciągłych był torturach. Spokojny człeczyna, łagodny do zbytku, surowość obojga rodziców starał się chłopięciu nagrodzić. Na pociechę w tej biedzie przychodził doń ks.

Russyan na maryasza, a Feliś z kamerdynerem Francuzem baraszkował w przedpokoju.

Do panienek wojewodzina zmuszona była wziąć najprzód bonę Francuzkę, bo już naówczas francuzczyzna była warunkiem wyższego wychowania. Po bonie przyjęto madame.

Tę jej nastreczyli Potoccy, u których już wychowaniem się zajmowała. Madame, pomimo posłuszeństwa i uległości, nie miała u wojewodziny tyle swobody, co ksiądz Wolff, którego suknia duchowna po części od zbytniego despotyzmu osłaniała.

Wojewodzina wglądała we wszystko, a co do kształcenia charakteru, układu, wpajania zasad pewnych, sama córkami kierowała.

Madame Dumont odrazu, gdy ją to szczęście spotkało, że do Krystynopola przywiezioną została i cztery dorastające panienki pod jej dozór i naukę oddano, pierwszego wieczoru pojęła swe położenie, a zarazem starać się zaczęła zbadać usposobienie panienek, aby wiedzieć, jak ma postępować z niemi.

Wszystkie one ostro trzymane, onieśmiałe były i biedne, gdy na ustach dobrej, ale płochej dosyć Francuzicy ujrzały uśmiech miły a poczuły w niej trochę serca, rzuciły się na nią, jak na pastwę. Dumont była dobrą i słabą do zbytku, znalazła się więc w tem fałszywym położeniu, że panienkom chcąc ulżyć losu, musiała je uczyć kłamać.

System był przyjęty taki, że za najmniejszym w korytarzu szelestem, i w godzinach, w których wojewodzina przychodzić zwykła, wszystko leżało w miejscu, zajęcia odbywały się wedle przepisów. Wcale jednak szło inaczej, gdy pańny same z panią Dumont pozostały. Wówczas trzpiotały się i robiły, co się im podo-

bało, oddychając swobodnie. Madame nazywała się u nich zawojowaną prowincją. Francuzka lubiła czytać, nie trudna była w wyborze, zajmowały ją szczególniej romanse, a wiadomo, jak różne one bywały w końcu XVIII wieku. Książki te zakazane najsrożej potępiono, nigdy się w pokoju madamy ani panien nie nastreczały oku surowej matki, jednakże nie zaręczylibyśmy, żeby ich najstarsza, panna Marya, po kryjomu nie czytywała.

Siostry młodsze, żywszych temperamentów, bardzo jeszcze dziecinnie bawiły się lalkami; ona była nad wiek dojrzała. Niezbyt piękna, nie bardzo słusznej, ale zręcznej postaci, ciemnych oczu, włosy miała prześliczne, rączkę i nóżkę, jak utoczone, wiele dystynkcyi i powagi, ale zarazem coś tak smutnego i zboląlego w sobie, iż, patrząc na nią, zdawało się widzieć istotę na męczeństwo przeznaczoną. Nie skarżyła się jednak nigdy, ale dzieckiem jeszcze nie znała wesołości, chodziła zadumana, a rzecz najmniejsza ją trwożyła. Cerę miała bladą, wyglądała mizernie; niekiedy kaszelek suchy i rumieniec wypalony doktorowi Macperlanowi dawały do myślenia. Naówczas jednak systemem było temperamenta delikatne hartować, a pani wojewodzina mocno wierzyła w to, iż chorób wszystkich pozbywa się, walcząc z naturą. Dzieci więc w ogólności to najwięcej jadać musiały, do czego wstręt miały najmocniejszy, a narażano je na wszystkie życia nieprzyjemności, aby się z niemi oswajały. Sukienki zimą dawano umyślnie bardzo lekkie, pościółki twarde, futra żadnego, stół prosty, zimna woda w użyciu, czasem chleb razowy i boso spacerowanie po rosie.

Doktor Macperlan, tak samo, jak niemal wszyscy na dworze, poznawszy charakter państwa, miał sobie za najpierwszy obowiązek wcale się im nie sprzeciwiać.

Klaniał się nisko przed wojewodziną, i co ona za dobro uznawała, teorią swą naukową podpierał. Tak mu było wygodnie. Dzieci wyglądały dosyć mizernie, z tego jednak miały później wyrosnąć. To wyrastanie należało do zasad pani wojewodziny, hartowano je tymczasem.

Madame Dumont, której pobyt w Krystynopolu przykrzył się wielce, bo nie miała do kogo poufale przemówić ani słowa, już to dla języka, już z obawy plotek, przywiązała się do starszej swej wychowawicy Maryi, bo ta jej chętnie słuchała, rozumiała najlepiej, a zdradzić nie mogła nigdy. Przed nią czasem nawet, bardzo po cichu, na tę klauzurę, klasztor, niewolę i uroczyste nudy, na te plotki i humory wojewodziny narzekać się warzyła. Wzdychały obie. Marya nie odpowiadała nic, bo wogóle mało była mówiącą, ale słuchała chętnie, wzdychała sympatycznie. Panienka już była dorosła, ale zamknięcie w domu, sposób wychowania, rygor matki, przed którą szczerze nigdy się z niczego wypowiadać nie było można, czyniły ją nieśmiałą i dziecinną.

Tak stały rzeczy na krystynopolskim dworze, gdy jednego wieczoru Bebuś przybiegł od wojewodziny do madamy, prosząc ją na rozmowę.

Wezwanie to miało w sobie coś tak nadzwyczajnego, że madame Dumont, która, zobaczywszy karła, prędko książkę czytana schowała, przelekła się niemało. W Krystynopolu szło tak wszystko wedle zegaru, a widzenia się z wojewodziną tak ściśle miały oznaczone godziny, iż się chyba czegoś strasznego można było spodziewać. Dobrze rzeczy nader się tu rzadko trafiały. Do nich liczyły się podarki na Nowy Rok i imieniny, a w pewne święta spodziewane niespodzianki, w czasie których bawiono się systematycznie pod okiem matki, w cze-

ry kąty, cenzurowanego, ciuciubabkę, kotka i myszkę, posilając migdałami, rodzynkami i figami.

Madame Dumont, drżąc cała, poszła do zwierciadła poprawić peruczkę, panienki strwożone otoczyły ją, patrząc w oczy, jakby się już obawiały utracić. Francuzka westchnęła na intencję, żeby jakiej bury nie dostać — Bebuś czekał — wyszła.

VI.

Dla zrozumienia tego, coby Francuzkę spotkać miało, cofnąć się nieco musimy w opowiadaniu. Już od dwóch miesięcy często przybywała do Krystynopola pani Mniszechowa z Dukli, przesiadywała tu razem z panią Cetnerową po dni kilka i nadskakiwała wojewodzinie. Po każdym widzeniu się następowały narady z ks. Russyanem i panną Terlecką, konferencye wieczorne burzliwe, naprzemiany usposobienia wesole i frasobliwe, irytacye, mdłości i uszczęśliwienia. Widocznie coś tu ważnego się gotowało. Wojewoda, wzywany, to mitygował, koł, to sam nie wiedząc, co poczynąć, wysuwał się milcząco. Niekiedy szeptano i sprzeczano się żywo.

Panna Terlecka podsłuchiwała raz wojewodzinę wolającą:

— Nie chcę! nie chcę za nic w świecie!

Potem przybyła znowu Mniszechowa, uśmiech powrócił na usta, dobry humor rozjaśniał twarze wszystkich, pan wojewoda ręce jejmości czule całował. W kilka dni wróciły fochy, a po nich jeszcze raz pokój i zgoda. Trwało to dosyć długo, dopóki wreszcie nie ustaliła się na horyzoncie krystynopolskim pogoda, i wojewo-

dzina nie stała się łagodnie zamyślona tylko. Wzywano często jegomościa na ciche narady, zawsze ucałowaniem rącek się kończące i sakramentalnem:

— Zrobisz, co zechcesz, moja duszko, nikt nie zmusza.

Po tych wszystkich przejściach i niepewnościach, których przyczyny domyślała się tylko panna Terlecka, a wiedział o niej jeden tylko ks. Russyan, który milczeć umiał, pewnego dnia po wieczery dwór wojewodziny cały zebrał się u niej w garderobie na zwykłą konferencyę.

Oprócz starej i młodej Terleckiej była pani Wąłowska, były dwie niemłode jejmoście; wojewodzina siedziała w fotelu i wzdychała zamyślona, na noc każąc sobie pod czepek włosy układać.

— Już dłużej niema co tego w bawelnę obwijąć — odezwała się cicho do starej Terleckiej, ze swym workiem i różańcem siedzącej na niskim stołeczku u nóg pani.

— Proszę cię, moja Terlesiu, o nowennę na intencyę Maryni.

Stara dewotka w rękę plasnęła.

— Tak mi panie Boże dopomóż — poczęła, szepleniąc żywo — tak się nade mną ulituj, Matko Najświętsza, opiekunko moja osobliwa, że już mnie Duch Święty dawno to do serca podał, iż o pannę Maryannę chodzi... względem wiekuistego, a daj Boże sukcesów pełnego postanowienia. Co w niebie napisano, nie minie. Nowenneczkę z suchotami odposzczę i odprawię na intencyę całego splendoru domu moich dobrodziejów.

Plotła tak, świecąc małemi oczyma i całując z uniesieniem rąbek szaty swej pani, gdy wojewodzina dodała:

— Albo co będzie, lub nie. Zobaczymy. Kawaler rodu pięknego, cóż, kiedy, slysze, trochę bałamut... piękny, bogaty.

— Za łaską Pańską... do Przemienienia koronkę mówić będę sześć niedziel, wszystko się to inaczej obróci, a trzpiot usatkuje. Byle łaska boża, Duch Święty natchnie.

Panna Terlecka stała, nadsluchując także.

— Różnie ludzie prawią — poczęła wojewodzina — siostra za nim przemawia, osoba poważna i stateczna, ręczy... z Warszawy inne wieści płyną.

— Nie trza zważać — szepnęła panna — zazdrośni je wymyślają.

— Ale masz rację — rzekła pani.

— O! już to moja — odezwała się Terlecka, uśmiechając się do córki i uderzając po czole — jej rozumek dał Pan Bóg, kiedym ją za młodu do Św. Józefa ofiarowała!... Wymodliłam jej i wypościłam główkę nie ma-kówkę, serduszko złote i błogosławieństwo aniołów.

— To też — ciągnęła, na szczebiotanie uwagi nie zwracając, wojewodzina — postanowiliśmy pozwolić kawalerowi przybyć.

— Nowenneczkę pocznę jutro! — zawołała stara — świeczki dwie zapalę i zaposzczę.

— Ojcowie się już porozumieli — szepnęła jejmość — ale o tem nie trzeba mówić jeszcze nikomu.

— Klódką usta zamknę dla miłości moich dobrodziejów, których Bóg niech obsypuje... Najświętsza Opatrzność — Patryarchowie, Patronowie i wszyscy święci Pańscy... Ora pro nobis! — plotła Terlecka.

— Jak myślicie? — odezwała się wojewodzina — lada dzień przypędzie; należałoby Marynię przygotować, żeby wiedziała, jak się znaleźć, a starała podobać...

— Przy łasce Pańskiej, bo ja powiadam to zawsze... w miłosierdziu bożem... — przerwała stara Terlecka — a rany Jezusowe pomogą!

Westchnęła, w piersi się bijąc.

— Jeśli mi pani słówko wtrącić pozwoli — szepnęła panna.

— Mów, proszę cię.

— Główka nie makówka! — mruknęła matka, nie mogąc powstrzymać języka.

— Panience nawet nie trzeba by mówić, iż rzeczy niepewne — ciągnęła dalej panna Terlecka — bo to, proszę jaśnie pani, czy na jedną, czy na drugą stronę padnie, lepiej odrazu objawić postanowienie; panna Maryanna, nie wiedząc, że rzeczy pewne i stateczne, myśleć może tak i owak, a jak się dowie, że to ma być niezawodnie (co przy łasce bożej niechybnie nastąpi), zastosuje się do woli rodziców i będzie dobrze.

Stara Terlecka, słuchając córki, tylko głową kiwała, dziwiąc się jej rozumowi, i dłonią się biła po twarzy. Wojewodzina mocno była zadumana.

— Już to jegomości nie widziałam nigdy tak czegoś pożądanego, jak tego małżeństwa, które mu potrzebne być musi — rzekła cicho — a jak oni co postanowią, zawsze na swoim postawią.

— E! — odezwiała się panna śmiało, całując rękę wojewodziny — co to mówić! jak jaśnie pani nie chce, to się wszystko w nie obróci. Ale dlaczegoż nie chcieć, gdy, dzięki Bogu, partya, jakiej tylko można żądać?

— Pewnie, pewnie, ale to młode i trzpiot, bałamut... tak z Warszawy donoszą — mruknęła jejmość.

— Bo chcieliby jaśnie państwa zdysgustować, a sami go chwycić — dodała panna Terlecka.

— Ale, wracając do rzeczy — zaczęła wojewodzina — trzeba by Marynię przygotować. Mnie nie wypada, przestraszy się dziewczyna.

Spojrzała na pannę Terlecką.

— A tybyś tego nie potrafiła? he?

— Co mnie pani rozkaże, na wszystko jestem gotowa — poczęła panna — jednakże ja tam tej poufałości nie mam. Mnie się zdaje, że do tego...

— Któż, myślisz? kto?...

Stara Terlecka, mrucząc coś, jakby się modliła, ciągle klepała się po twarzy. Był to wyraz podziwienia nad córki rozumem.

— A gdyby madame, proszę jaśnie pani? — szepnęła panna — i to niechby nie mówiła, że z dyspozycji, tylko pod sekretem... Panna Maryanna byłaby przygotowana...

— Słowo daję, niema do rady jak ty, Terlesiu, masz słuszość, tak najlepiej.

Lice matki-staruszki rozjaśniło się, ręce złożyła i, nie wytrzymawszy dłużej, dodała:

— A ja nowenneczkę zapocznę... i do moich świętych się udam, których wiem, aby się mariażem opiekowali — i Opatrzność Boska, a Patronowie i Anioły Stróż. Zobaczysz pani, pójdzie wszystko jak z płatka.

Narada przeszła w opowiadanie o Brühlach, ich stosunkach i charakterze. Panna Terlecka, snadź dobrze przygotowana, miała w tym względzie obfite wiadomości, i widocznie była za związkiem. Wojewodzina nie zdawała się też od tego, konwinkowała ją i ta okoliczność, że po królowej JMci, niedawno zmarłej, starostwo spiskie spadło na Brühla, a syn je miał od niego otrzymać. Liczono też inne mnogie posiadłości już nadane lub obiecane.

— Przy pomocy bożej — konkludowała Terlecka — pójdzie wszystko jak z płateczka, a po weselu okroi się i mnie ubogiej szudze, a bogomodlnicy... jaki płateczek...

Na radzie tajnej postanowiono, w myśl panny Terleckiej, użyć madamy do przygotowania wojewodzianki. Nazajutrz miała z nią mówić o tem sama pani, i dlatego ją do siebie wezwała.

Gdy Dumont weszła drżąc, wojewodzina siedziała w swoim pokoju, przytykającym do sypialni i dzielącym ją od wielkiej sali. Jak w charakterze obojga państwa, tak w urzędzeniu tego mieszkania osobliwsza panowała mieszanina pańskości i skrzętnej gospodarności.

Staroświecki zegar przepyszny stał na kominie między dwoma chińskimi wazonami, było zwierciadło weneckie z herbem Potockich u góry, biuro bronzami złoconymi ozdobne, ogromna szafa gdańska rzeźbiona, którą w muzeum godziło się postawić, ale obok tego leżały cienkie motki niebielone, kilka wianków grzybów, próbka suszonego rumianku, na oknie stały gąsiory tajemnicze, w których pod okiem wojewodziny naciagały spirytusy pączki brzoszowe, jarzębina i różne sławione produkty. Tych rozmaitych specyfików wyrobu sama pani Anna doglądała, nie spuszczając się na nikogo. Niezmiernie czynna, choć miała się zaprawdę kim wyrećczyć, nie chciała uwolnić się od pracy. Kilka pokoleń składało się na książkę straszliwymi charakterami pisaną, w której były i przepisy pieczenia ciast wielkanoctnych, i lekarstwo skuteczne od robaków, i smarowania przeciw rwaniu w kościach, i recepty wódek a likwów doskonałych...

Zmierzchało już, gdy z bijącym sercem wsunęła się madame do pokoju wojewodziny. Bebuś ciekawy a złośliwy, rad coś podsłuchać, wśliznął się za nią, lecz baczne oko pani postrzegło go, tupnęła nogą i zawołała ostro:

— Bebuś! czego tu? swojeś z domu! A ty! Kady mi! nogi za pas! Słyszysz?

PARAFIA P.W. NSJ
RADOM-GLINICE

Karzeł, trochę zmieszany, uciekł.

Wojewodzina siadła w krzesło, podparta na rękę i chmurna, spojrzała na Francuzkę.

— Siadaj, moja Dumont — odezwała się nieosobliwą francuzczyzną — siadaj proszę, mamy z sobą do pomówienia.

W głosie nie było nic przerażającego, Dumont się uspokoiła i na dosyć oddalonego krzesła rożku przysiadła nader skromnie.

Wojewodzina zamyślona milczała trochę, potem coś sobie snadź przypomnieć musiała, dała jakiś znak madamie, a sama po cichuteńku na palcach skradła się do drzwi wchodowych i otworzyła je nagle. Złapany na uczynku Bebuś chciał pierzchnąć, nogą się o coś zaczepił i padł.

— Lajdak jakiś! paskudztwo! — krzyknęła pani, nogą tupiąc — idź mi zaraz, niech ci, nie kto inny, tylko ochmistrzyni, da różeg piętnaście, i żebyś mi kwitek przyniósł na to.

Bebuś coś bełkotał, ale drzwi się nielitościwie zamknęły, wojewodzina bez najmniejszego wzruszenia powróciła do krzesła.

— Przysuń się tu, moja Dumont — odezwała się po cichu.

Posłuszna Francuzka przyniosła krzesło i siadła. Jejmość nie wiedziała od czego począć. Westchnęła, pierścioneł na palcu obracając machinalnie.

— Mam ci to oznajmić, moja Dumont — rzekła wreszcie — że stracisz jedną z wychowanek... Marysia młoda, bardzo młoda jeszcze, mogłaby poczekać, delikatna jest i wątła... wcalebym sobie nie życzyła już za męża jej wydawać, ale cóż chcesz? Składają się tak polityczne okoliczności i rachuby Jegomości pana wojewody.

— Ach! — westchnęła Francuzka mimowolnie, łamiąc ręce, bo wiedziała, jaką ta nowina przykrość zrobi wojewodziance.

— Niema o tem co mówić — ciągnęła dalej pani — że co się postanowiło, to spełnić się musi. Dzięki Bogu, dzieci nasze tak wychowane, że robią, co im każą. Nasza to rzecz im szczęście obmyślać. Przytem świetny los czeka Marynię, a i konkurent, jak mówią, kawaler co się zowie edukowany wysoko, rozumny, piękny, młody i stanowisko mający znakomite. Już to tam o podobanie się nie idzie, bo rzeczy między panami ojcami zawczasu ułożone... Otóż moja Dumont, choć ja dzieci nie pieszczę, i u mnie, choćbym kazała tej chwili stanąć na kobiercu, każda z nich musi, ale biednego dziecka mi żal, aby się nie strwożyło, aby wiedziało, jak się ma znajdować.

Francuzka cała pochyłona słuchała, nie odpowiadając.

— Rozumiesz mnie — dodała wojewodzina.

— Doskonale — słabym głosem ozwała się madame.

— Narzeczony w tych dniach przyjedzie — mówiła dalej — Marynia, choć to dziewczynie młodej przystało, straszna trusia, niechże się po kątach nie chowa, a gdy do niej zagada, żeby mu przytomnie odpowiadała. Ani się do zbytku uśmiechać, ani boczyć się nie ma, niech jej to Dumont powie.

Francuzka głową potrząsała.

Pani wojewodzina, jak we wszystkim, tak i w tem chciała zawczasu uregulować, rozdysponować, niemal podyktować wyrazy. Panienka nie mogła i nie powinna była mieć swojej woli, ale iść wedle przepisów aż do ołtarza. Któż wie, nawet od niego odszedłszy, bo władza męzowska rodzicielskiej nie kruszyła.

Widząc Francuzkę milczącą, ale potakującą i posłuszną, powtórzyła jej razy kilka instrukcyę matka i, biorąc za klucze — bo sama od apteczki nosiła zwykle — dała znak skończonej konferencyi. Madame dygnęła i wyszła, lecz tak zadumana a smutna, iż ani wiedziała, jak stanęła u drzwi, i stała pod niemi tak długo, aż ją hałas bawiących się wrzawliwie dwojga młodych dziewcząt przywiódł do przytomności.

Marynia, jak zwykle, stała w oknie od ogrodu i patrzyła zadumana w ulicę.

Mamyż zdradzić wielką tajemnicę, której się nikt a nikt w świecie nie domyślał, o której nikt nie wiedział...? Marynia czytała dużo romansów, miała usposobienie do marzeń... i choć sama się do tego sobie nie przyznawała — kochała się... a szczęśliwy wybrany szalał, tajemnie wzdychając do wojewodzianki. Romans ten trwał już ze trzy lata, nie wiem tylko, czy go tak nazwać było można. Nigdy podobno nie przemówili do siebie ani słowa... Młodemu dworzaninowi wiadomo było, że gdyby był podnieść śmiało oko na córkę wojewody, dostałby sto na kobiercu i jutro znalazłby się na drugim końcu świata. Zakochać się w Maryni takim biedakowi, było toż samo, co zapragnąć gwiazdy z nieba...

Lecz są takie siły, których złamać nikt nie może — oczy wojewodzianki spotykały się z wejrzeniem dworzanina, i nauczyły się mówić do siebie, i mówiły zawsze tę jedną pieśń nieśmiertelną, którą tysiące lat powtarzają, między kolebką a grobem: kocham ciebie!...

Z tej miłości, wiedzieli dobrze, nie miało być nic, oprócz miłości, oprócz tego, czem ona poi, kropi marzenia i puhara goryczy, a tęsknot — a lez... bez końca.

Szczęśliwym czy nieszczęśliwym wybrańcem wo-

jevodzianki był piękny chłopak, który się na łasce wojewody wychował, a jemu był winien wszystko... Ojciec jego, pan łowczy Godziemba, szlachcic prastary, okrutny sejmikowicz i zawadyaka, dał się na jednym zjeździe, utrzymując sprawę wojewody, posiekać w kawałki. Przeciwna partya wpadła nań i porabiała tak, że gdy go potem wniesiono pływającego we krwi na kwaterę, nim ksiądz dobiegł z Sakramentami, Panu Bogu ducha oddał. Miał tylko czas panu Domaszewskiemu, który był tam od wojewody, powiedzieć: „Zostawiam mu syna — będzie miał na sumieniu śmierć moją, jeśli mu ojca nie zastąpi...”

Doniesiono to wiernie wojewodzie, który chłopca, naówczas mającego lat około ośmiu, zaraz kazał przywieźć i oddał na wychowanie do Lwowa, a gdy szkoły cum summa laude skończył, wziął go sobie za dworzanina i losem jego obiecywał się zająć.

Chłopak sierota nie miał żywej duszy na świecie, jedną tę tylko opiekę pana wojewody, która wprawdzie za wiele starczyć mogła, ale serca nie karmiła. Zdano go na ręce obce... a jedyną miłość, jakiej skosztował, przyniosła mu biedna istota, stara mamka, która ze swoim przybranem dziećciem do Krystynopola się przywlokła. Potraciwszy dzieci, w małym Tadeuszu miała syna, świat swój cały. Dopóki on siedział w Krystynopolu, służyła Żydom w miasteczku, aby go choć widzieć mogła zdaleka; gdy go wieziono do Lwowa, szła za nim pieszo, przyjmowała służbę gdzieś w pobliżu i czuwała nad Tadeuszkiem, który ją też niemal jak matkę szanował. Stara, lękając się go swem ubóstwem i miłością zawstydząć, skradała się doń pokryjomu, byle słowo przemówić, dowiedzieć się, czy zdrow, posłyszeć głos i uspokoić serce, że dziecku się nic nie stało.

Tadzia Godziembę trzymano surowo, i wysługiwać się musiał, ucząc posłuszeństwa, karności, a nie wiedząc, co mu wojewoda gotował. Czasem go dla pięknego charakteru używano do kancelaryi, to znowu dla jeszcze piękniejszej twarzy, figury i szykownej manieri, dla reprezentacyi u dworu stawiano.

Wojewodzina dosyć go lubiła, gdy był dzieckiem, potem, gdy wyrósł a wrócił tym Antynousem, krzywo nań patrzała. — Odesłałby go gdzie jegomość na wieś, do gospodarstwa — mawiała — bo to niema nic gorszego w domu, niż taki gładysz... dziewczętom głowy zawraca, sam się psuje i, uchowaj Boże nieszczęścia, zgorszenie być może.

Wojewoda jednakże lubił się pięknymi chłopcami otaczać: był to też rodzaj arystokracji. Godziemba zaś, prócz tego, miał piękne familijne stosunki i rodzina jego dawniej na krzesłach senatorskich siadywała, a dworzan z takich senatorskich dzieci pięknie było mieć.

Został więc Tadeuszek przy dworze i powszechną miłość zyskać sobie potrafił, wyjąwszy wojewodzinę i Bebusia. Karzeł go nienawidził. Stanąwszy przy nim, mało co mu był za kolana.

Na swój czas i wychowanie był to też chłopak niezmiernie bystry i chciwy poloru a nauki. Sam prawie z małą pomocą nauczył się po francusku, expedite mówił po łacinie, rozumiał trochę po niemiecku i z książkami miał aż nadto do czynienia, o co go nawet skarżono.

Wojewodzina, nie lubiąc go, domyślała się, że musi być bezbożnik, choć na nabożeństwa uczęszczał i klęczał jak i drudzy. Był to między innymi i ulubieniec księdza Wolffa, ale tam nie wolno mu było chadzać, bo wojewodzie nie miał prawa przestawać z młodzieżą dworską.

Jakim sposobem raz pierwszy oczy Tadeuszka spotkały się ze spuszczonemi oczyma wojewodzianki — jeden Bóg to wie; jak się one ośmieliły mówić — i jak aż do... nieznaczných przyszło pół-uśmiechów — odgadnąć trudno. Nic więcej nad to nie było — to nawet jest rzeczą wątpliwą, czy mieli kiedy sposobność przemówić do siebie. A jednak wojewodzianka doskonale wiedziała, że on się w niej kochał śmiertelnie, i Tadeuszek pochlebiał sobie czasami, iż nie był jej obojętny. Były takie chwile szczęśliwe, wkrótce jednak, gdy rozmierzył przestrzeń, co go dzieliła od tej gwiazdy, miał się za szalonego, iż mógł to przypuścić.

Nikt w świecie tego dziwnego stosunku czworga oczu się nie domyślał, niktby weni nie uwierzył. Było to coś tak tajemniczego... między Bogiem a nimi... tak bez nadziei, tak dziecinnego, iż sama położenia szczególność mogła uczucie potęgować.

Nigdy panna Marya nie poszła dalej myślami... nigdy on nie ośmielił się odgadywać przyszłości... Pragnęli tylko, ażeby to jak najdłużej trwało...

Sen to był na jawie... sen dziecinny, niewinny, śliczny a smutny — smutny, jak na ziemi wszystko, co piękne!

Historya tej miłości składała się z niedostrzeżonych pyłków... były spojrzenia pamiętne, długie, i rumieńce... Raz Tadzio podniósł chustkę zgubioną, raz Marya rzuciła kwiatek na drodze... Czy umyślnie...? Od tej pory Godziemba go nosił na sercu... Około okna panien przechodziła ścieżka, naprzeciw nich szła ulica — Godziemba miewał w takich godzinach konieczną potrzebę wyjść do ogrodu, gdy panna wojewodzianka stawała w oknie...

Te godziny, jakoś bez umowy, obojgu były wiadome...

Na tych schadzkach wejrzeń kończyły się owe dzieje snu, owa sieć pajęczyn, która dwa serca łączyła. Któż nie wie, że poza taką miłością cichą, tajemniczą, bywają całe światy marzeń? I tu one być musiały... Chwilami wierzono w cuda... czasem zabijała rzeczywistość.

Gdy madame Dumont, wracając od wojewodziny, weszła do pokoju panien, w którym dwie młodsze biegały, uganiając się za sobą, Marya stała właśnie w oknie. Zwróciła się zaploniona, lecz że już dosyć było późno, nikt nie dostrzegł rumieńca.

Biedna madame szła tak przybita ciężarem konfidencji, która na nią spadła, iż, nie śmiejąc podnieść oczu, wprost do fotelu się dowlokła i rzuciła nań zadumana.

Trzy młodsze rozpoczęły nanowo przerwana zabawę, która w tej godzinie była dozwolona — Marya przeszła z wolna pokój i przysunęła się jakby przecuciem do madamy. Ta ją namiętnie pochwyciła w objęcia... i uścisnęła tak dziwnie, inaczej, niż zwykle, że dziewczę stanęło zdumione.

— A! chère Marie! — zawołała madame — siadź przy mnie! Czegoś mi bardzo smutno... niech się siostry bawia, my z sobą pomówimy.

Posłuszne dziewczę wzięło stołeczek niski i, patrząc w oczy guwernantce, usiadło przy niej.

— Byłam u wojewodziny — poczęła gorąco i niecierpliwie ze zwykłą niezręcznością Dumont — a! gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała, dziecko moje, o czym tam była mowa! Jeszcze mi się głowa pali, jeszcze mi bije serce...

Maryja spojrzała ciekawie.

— Czy mama się gniewa za co?... Na nas? — dodało dziewczę, bo matkę знаło tylko prawie z jej gniewu.

— O! nie! nie — zniżając głos, poczęła madame — ale co mi mówiła! co mi mówiła!

Już tylko oczyma pytała Marya. Nastąpiło jeszcze jedno w głowę pocałowanie... potem, nie mogąc już utrzymać sekretu, poczęła madame żywo:

— Tylko mnie nie zdradź, chère Marie — a! broń Boże... coś ci powiem, czego się nie spodziewasz...

Schyliła się jej do ucha:

— Wydają cię za męża!

To powiedziawszy, spojrzała Dumont, jaki skutek wywarła... i przelekła się. Marya rzuciła się, chwyciła ją za ręce i padła zemdlna.

Krzyk okropny wyrwał się z piersi madamy, siostry przybiegły z drugiego pokoju, a że mdłości były surowo zakazane i nigdy się nie trafiały, nie wiedziano jak ratować. Marya jednak po chwilce ocuciła się sama i, głowę położywszy na kolanach Dumont, płakała.

Siostry przy niej posiadały na ziemi — niezrozumiale to było dla nich. Ludwisia zawołała głośno, że Maryni trzeba było dać dziegciu powąchać, bo to musiały być robaki.

Pobiegła nawet zaraz do garderoby po medykament, który stał zawsze w pogotowiu, lecz już go nie było potrzeba. Marya wstała i zaczęła się przechadzać zwolna, blada, osłabiona i pomieszana.

Dumont z kolei płakała ze strachu, przeklinając swą niezręczność. Na tem się skończyło, bo nadchodziła godzina wieczery i modlitwy, i panny musiały się stawić wyprostowane do matki.

Madame zakłęła wychowanicę, aby nie nie dała poznać po sobie, a dziecię, nawykłe do posłuszeństwa, przybrało twarzyczkę, z której już nic, oprócz zwykłego jej smutku, wyczytać nie było podobna. Wieczór zszedł

wedle programu; o godzinie zwyczajnej panny się spać pokładły. Jednak madame szepnęła starszej, że, gdy się siostry pośpią, one jeszcze obszerniej się rozmówią z sobą.

Na ten sen niedługo czekać było potrzeba: młodsze, ledwie do poduszek przyłożyły głowy, znużone dniem pozasypiały. Marya wstała i poszła do Dumont. Miała czas przez kilka godzin oswoić się z tą straszną wiadomością, była prawie spokojna. Zobaczywszy ją, madame załamała ręce.

— Jaka ty jesteś blada! — zawołała — przecież, proszę cię, nic w tem tak przerażającego niema... Użyskasz więcej swobody, będziesz panią w domu. Mąż twój, ktokolwiek nim będzie, musi cię pokochać... słowem...

Marya ręce załamała.

— Ale... ja... ja za męża iść nie chcę, ja klasztor wolę...

To wyznanie tak było przerażające, iż madame padła, usłyszawszy je, oczy sobie zasłaniając rękami.

— Chère Marie! a toż co znowu! nie rozumiem! dlaczego?

Wyrwały się te słowa pełne znaczenia biednej wojewodziance, a teraz sama miarkowała, iż niemi powiedziała za wiele. Szukała w myśli, jak się miała tłómaczyć... i nie znalazła nic...

Dumont czekała.

— Zlituj się, dlaczegoż klasztor ci na myśl przychodzi? To najsmutniejsza rzecz w świecie... Nie wiesz, kogo ci przeznaczają. Ma to być człowiek młody, piękny, dobrze wychowany... i wielkiego rodu...

Marya, której czytane książki może na myśl przyszły, zebrała się na odpowiedź.

— Ale, moja pani Dumont, ja tego pana nie znam, — on mnie...

Francuzka łzę otarła i obejrzała się.

— Tak, to prawda — rzekła — lecz u was magnatów inaczej się nie żenia. Dobrze nam ubogim poznawać się, podobać, wybierać, wam to zabronione... Trzeba się zgadzać z przeznaczeniem.

W tych dniach — dodała ciszej — naznaczony mąż przyjeżdża... Słuchaj-że mnie dobrze: wojewodzina chce, abyś nie była zbyt nieśmiałą, ani nadto poufałą, abyś go nie zrażała... Masz być grzeczną dla niego. Zdaje się, że rzecz już jest ułożona, że nic nie pomoże, bo słowo dane...

Westchnęła.

— Zgodzić się musisz z przeznaczeniem, dziecko moje...

I popłakały się obie. Rozczulona Dumont wzięła z tego asumpt do poufnej spowiedzi ze swojej młodości, w której powabny muszkietier grał rolę bardzo czułą. Nie przyznała się może do wszystkiego, lecz gorącą miłość lzy jej po latach tyłu najlepiej poświadczyły.

Po długiej rozmowie Marya poszła — płakać do swojego łóżeczka.

W pięć dni po tem nadzwyczajny ruch był w Krystynopolu. Łatwo się można domyślić, iż dostojnych gości oczekiwano... Najwięcej mieli do czynienia ci, przy których były klucze, bo wydawano, zaczawszy od nowych mundurów dla wojska, aż do sreber, które na stół wyjść miały. W tym gospodarnym dworze dzień powszedni różnił się wielce od uroczystego... Na codzienną potrzebę wszystko było inne, odzież, jadło, zastawa; po święcie i uroczystości wracały mundury, srebra, broń, kosztowności do szaf, kufrów i sepetów pod klucze... Na wielką paradę nie żałowano nic, lecz post festum zdawano z registrów aż do najnniejszego guzika. Wo-

jewoda w utrzymaniu tego porządku był nieublagany.

I tym też razem rozkazy, wydane panu staroście Zawideckiemu, powołały dwór do jak najświetniejszego występu. Wojewoda oznaczał starszyźnie nawet, jak się przyodziać miała. Dobyto srebra przepyszne ze skrzyń, w których na sukiennych spoczywały łożach, w kuchni już zawczasu przysposabiano co najwyszukańsze potrawy. Jejmość wzdychała uznojona, wojewoda przypominał:

— Niech asindzka pamięta o tem, że to gęby popsute, iż to są wykwintnisie, jakich świat nie widział, że im nigdy dosyć wytwornie dać nie można... kucharz Francuz niech gotuje.

Na dzień naznaczony wszyscy dworzanie, choć barwy nie nosili, wystąpili jednako i bogato ubrani. Wojsko w nowych koletach, ładownicach i kapeluszach. Starosta Zawidecki i książę Czetwertyński od aksamitów i złotogłówów, a sam pan wojewoda po potocku — to jest: kontusz szaraczkowy z guzami brylantowymi, pod szyją spinka z soliterem kilka tysięcy dukatów wartującym, żupan trochę przyszarzany, buty czarne, pas perski.

Inny Potocki na trybunał lubelski wdziawał zgrzebną koszulę, oponię z samodziálu, ale obszytą perlami i wysadzaną guzami, z których każdy wieś był dobrą wart. Pan wojewoda tak daleko fantazyi nie posuwał, lecz lubił ją też pokazać.

Wojewodzina, która się stroić nie lubiła, musiała też na ten dzień w dyamentach i atlasach wystąpić — nudziło ją to, lecz inaczej być nie mogło. Szczególną też pieczę miano nad nieszczęśliwą ofiarą, która, choć skromnie, ubrana była ze staraniem wielkiem, utrefiona wykwintnie. Wojewodzina, która nie mówiła jej nic, bo

jej psuć tą poufałością nie chciała, kazała jej przed wyjściem na pokoje ukazać się sobie. Marya stawiała się blada, drżąca i mizerniejsza, niż zwykle.

Obudziło to zły humor matki, chciała nawet kazać uróżować nieco biedną, lecz w tej chwili rozruch się stał wielki w dziedzińcu i o Maryi zapomniano.

W bramie dala się słyszeć muzyka, trąby i bębny, powozy, których nigdy nie widywano przed gankiem, zataczały się z turkotem ogromnym przed galeryę. Wojewoda w ganku sam dostojnych gości przyjmował. Byli to: jego ekscelencya graf Brühl, minister, starosta warszawski, syn jego, Mniszech marszałek nadworny, zięć i kilku panów, towarzyszących im dla dodania powagi.

W progach pałacu krystynopolskiego spotykały się, można powiedzieć, dwa zupełnie różne, w niczem sobie niepokrewne światy, które interes i rachuba miały połączyć: cywilizacya jakaś strupieszala i zwątlona ze światem starym surowego obyczaju chrześcijańskiego. Jak się te krańcowe dwa przeciwieństwa zrozumieć mogły, przejednać miały, było może dla nich samych tajemnicą. Oprócz interesu nie z sobą wspólnego nie miały...

Przepych napół azyatycki Potockiego wcale nie był podobny do wyrafinowanego zbytku Brühla, tak jak marsowa i groźna twarz wojewody odbijała dziwnie przy uśmiechniętej, wypogodzonej, słodkiej nad wszelki wyraz twarzy ministra. Powitanie w ganku i przedstawienie syna poszło — dzięki zręcznej Mniszcha pomocy — bardzo gładko. Młody Brühl, który całą niemal przewędrował Europę, przypatrywał się nie bez ciekawości temu nowemu dla siebie światu, dworowi, twarzom, strojom.

Szli wszyscy na pokoje, gdzie pani wojewodzina, Maryę bladą mając u boku i kilka panien rezydentek

w oddali, oczekiwała na ministra, z nadzwyczajną galanterią posuwającego się ku niej z synem.

Jedno wejście na młodego Brühla dało poznać wojewodzinie, iż jej go nie przechwalono. Starosta był jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego wieku, a wychowanie i wczesne obycie się z najwyższymi towarzystwa sferami nadawało mu wielką swobodę i wdzięk w obejściu...

Z przestraczem oko Maryi padło na niego, gdy on, z obojętnością wystygłego i zrezygnowanego człowieka, przelotne rzucił na nią wejrzenie. Oczy się nie spotykały, zdawały się owszem unikać siebie... Wojewodziance ta laleczka wydała się dziwną i straszną; staroście ta, w której odgadywał swą narzeczoną, — zbiedzoną, chorą i nieszczęśliwą... Śmiertelną bladłością okryła się twarz ofiary, która ledwie drżenie ukryć mogła. Brühl, równie jak ojciec swobodny, obracał się tu z zamaszystością obrachowaną, której widocznie polską chciał nadać cechę. W pierwszej chwili posypał się grad, polała się powódź wzajemnych komplementów, podziękowań, wdzięczności, smażonych wyrazów, mających dowieść, jak zaszczyconym czuł się wojewoda, jak szczęśliwym był minister.

Ta niemiecka elegancya, którą tak serdecznie witać musiano, nie szła pewnie w smak Potockiemu, bo pod nią domyślał się i czuł lekkości obyczaju, lekceważenia wiary, mnóstwa nowostek niebezpiecznych, lecz zdawało mu się, że droga, którą szedł, prowadzi go do nowych zaszczytów, a może nawet do tronu, który już zdala świtał w głowie magnata... Dłaczegożby po Sobieskim, Wiśniowieckim, Leszczyńskim nie miał zapamiętać Potocki, który od nich czuł się możniejszym?

Łącznikiem dwóch biegunów, jakie stanowiły kon-

tusz wojewody i aksamitny złotem szyty frak Brühla, był marszałek nadworny Mniszech, obu pokrewny, oba rozumiejący, może w duszy równie na oba poglądujący obojętnie. On pośredniczył między nimi.

Przyjazd zdawał się tak obrachowany, aby zbytnią nie trudził się goście rozmową, gdyż natychmiast prawie otworzyły się podwoje i stół uginający się pod ciężarem sreber ukazał.

Ministrowi podała rękę wojewodzina. Miejsca tak były rozporządzone, iż staroście warszawskiemu umyślnie dano krzesło przy wojewodziance, która siadła obok, jak trup bladej, jak liść drżącej. Naprzeciw niej Godziemba zdala nad służbą straż pełniący... stał osłupiały... i bezprzytomny...

Gwar i wesołość urzędowa napełniały salę jadalną, ta wesołość konieczna, którą każdy gość przywoity z sobą przynosi i gospodarz musi ją mieć na jego przyjęcie. Uśmiechały się wszystkie twarze, oprócz bladej lica wojewodzianki, która nie wiedziała, gdzie była i co się z nią działo... Gwar ten szumił w jej uszach niezrozumiały, jak fale morza, które ją pochłonać miały. Drżącymi rączkami rozkładała i składała serwetę, w oczach się ćmiło, śmiertelny jakiś strach ją ogarniał. Czula, że na nią musiały być zwrócone wejrzenia, i pragnęłaby się była ukryć od nich w głąb ziemi. Starosta, siedzący obok, daleko więcej obyty ze światem, wystygły i chłodniejszy, nie mógł nie dostrzedz tej trwogi. Był przygotowany na wszystko — rozumiał położenie ofiary, miał litość nad nią. Dlatego może, dając jej czas ochłonać i przyjąć do siebie, nie odzywał się.

Wojewodzina, której oczy córkę groźnie śledziły, widziała także jej bladłość, domyślała się bojaźni, i gniew ją porywał na samo przypuszczenie, iż panna Marya mo-

gła osłabnąć, a mdłości jej wywołać wrażenie i pomstę ojcowską. Na nieszczęście wzrok, mający zelektryzować córkę i przywieść ją do opamiętania, napróżno rzucała na nią, nie mogąc spotkać jej spojrzenia. Tak upłynęła pierwsza chwila, a w głośnej rozmowie dopytywano o zdrowie najjaśniejszego pana i o posłuchy z pola wojny.

Pannie Maryi udało się jakoś założyć serwetę, spróbowała zupy skosztować, ale łyżka się z ręką trzęsła... i musiała ją położyć. Twarz jej smutna zawsze, choć piękna i rysów regularnych, pod wrażeniem niewypowiedzianej trwogi przybrała wyraz nienaturalny, niemal dziki. Matka nawet czuła, że tak się przedstawiając, podobać nie może. Lecz układy były prawie zawarte, umowa skończona, i nie szło już o to wcale, jak przyszli małżonkowie być mieli z sobą. To należało do nich tylko. Brühl był młodzieńcem dobrego wychowania, a panna nalamana do biernego posłuszeństwa bez granic.

O wzajemnej miłości nikt nie pomyślał, a wedle teorii krystynopolskiej i staro-szlacheckiej, dwoje ludzi młodych, gdy małżeństwo z innych względów było dla nich obrachowane, musieli się przywiązać i kochać, jak Sakrament przykazał. Dwóch więźniów, zamkniętych w jednym lochu na wieki, wszak musi nawyknać do siebie i wzajem starać się ulżyć losowi?

Jakkolwiek młody, Brühl skutkiem wychowania i wrodzonych mu usposobień, już w tej życia epoce był raczej widzem tego, wśród czego się obracał, niżeli czynnym aktorem. Roli swej nie brał do serca, odgrywał ją zrećźnie, nie obchodziła go wielce... Ta Marya Potocka nieszczęśliwa, drżąca, przywoodziła mu na myśl niezapomnianą cześnikównę koronną, która mu się niegdyś uśmiechnęła dziecinnymi oczkami...

— Czemu na miejsce tej Maryi Potockiej los mi tamtej nie wydzielił? — mówił sobie.

Wśród tych myśli spojrzał na ojca. Stary Brühl dawał mu oczyma znaki, aby się starał zbliżyć do panny.... Nie było w istocie czasu do stracenia, mówiono już o terminie zaręczyn... a za kilka miesięcy po nich miało być naznaczenie ślubu. W tamtych czasach wyprawy panien były przez troskliwe matki robione powoli, i gdy chwila wydania przychodziła, wszystko stało w gotowości, oprócz kilku sukien modnych, na które długo czekać nie było potrzeba.

Pan Alojzy myślał od czego rozpocząć rozmowę z nieznajomą... a choć mu nie zbywało na łatwości słowa, początek dosyć był trudny. Po chwili jednak nowy wzrok ojca zmusił go do przyspieszenia zagajenia.

— Panna wojewodzianka nigdy nie była w Warszawie? — zapytał. Przestraszona tym głosem, który nie miał w sobie nic groźnego, ale i owszem miękki był i łagodny, panna Marya nie zrozumiała, o co była zapytana — zadrżała, zmieszała się i oczy bojaźliwie podniosła na mówiącego, który powtórzył z wolna te same słowa...

— Ja?... ja... a! nie byłam nigdy! — odpowiedziała.

Mogła odpowiedzieć, że nie była nigdzie więcej oprócz Krystynopola, bo pamięć jej nie sięgała czasów, gdy się tu rodzice przenieśli.

— Warszawa — ciągnął dalej starosta, byle coś powiedzieć — bardzo się ożywiła od czasu, jak najjaśniejszy pan przeniósł się z Drezna. Mamy nawet operę, śpiewaków...

Wspomnienie o operze chwyciwszy jak deskę zbawienia, Brühl co prędzej dodał:

— Czy pani lubi muzykę?

W istocie panna Marya lubiła ją bardzo, ale, oprócz kilku starych menuetów i kurantów na fortepianiku, nie jej nigdy nie uczono. Wojewodzina lękała się wpływu rozmarzającego muzyki, i wydoskonalenie w tej sztuce zostawiano tym, co z niej żyli. Wojewodzianka przyznała się, że lubi bardzo muzykę — inaczej nie wypadło. Zająknęła się tylko razy parę...

Brühl, który był wirtuozem na kilku instrumentach, oświadczył także, iż ma wielką słabość do niej.

Dalej z tych dwóch wyznań okazało się niepodobieństwem wysnuć coś więcej. Nastąpiło milczenie. Jednakże głos tego groźnego obcego pana uspokoił nieco pannę Maryę. Wrzawa coraz głośniejsza u stołu, brzęk kielichów, szcęk talerzy dozwalałyby jak najpoufalszą prowadzić rozmowę, gdyby Brühl miał do niej ochotę a panna Marya odwagę...

Przed nią, naprzeciw, jak posąg, nieruchomy i blady stał Godziemba. Ile razy powiodła oczyma po sali, spotykała jego wzrok, a w nim niemal skamieniałą rozpacz. Starosta znowu gubił się w wynajdowaniu przedmiotu i tracił o podróż odbytą... zaczął chwalić kraj piękny i żyzny...

Wojewodzianka, zmuszona coś odpowiadać, potakiwała machinalnie. Parę razy niby się uśmiechnęła, bo matka patrzyła na nią. Brühl jednak był pewien, iż go nie słyszała i nie rozumiała.

Zmęczyły go w końcu te preludya do niczego nie prowadzące. Młodzieńcza fantazya, choć w zinnym już, zagrała — litość nad sobą uczuł i nad wojewodzianką.

Postanowił być śmielszym; nie było obawy, aby ich kto podsłuchiwał.

Schylił się nieco i żartobliwym tonem odezwał się po cichu:

— Wszystkie twarze u tego stołu się uśmiechają, wesołość jest powszechna... pani tylko smutna — a ja zafrasowany tem, że jej rozerwać nie umiem...

Wistocie położenie moje i pani nie jest... przyjemne.

Niezmiernie zdziwiona tą nagłą zmianą, panna Marya podniosła ciekawe oczy; starosta, raz puściwszy się, mówił dalej:

— Zapewne pani wie... o projektach rodziców?

Z początku wojewodzianka uszom wierzyć nie chciała — ta otwartość przeraziła ją i ucieszyła razem, było w niej nareszcie coś szczerego, coś ludzkiego. Lecz rzucane pytanie rozwiązać dla niej było trudno. O projekcie urzędownie uwiadomiona nie była, przyznając się do tego, że Dumont jej o nim mówiła — zdradziłaby Francuzkę...

Naiwna, jak dziecko, lecz nieco ośmielona już, odezwała się cicho:

— A! ja — ja o niczem nie wiem.

— To się panna wojewodzianka przynajmniej domyśla? — dodał Brühl.

Na to nie było odpowiedzi; ciągnął więc dalej:

— Rozumiem, że tak narzucony pani... przyszły życia towarzysz raczej nienawiść musi obudzać, niż przyjaźń!

Panna Marya coraz się czuła swobodniejszą i, choć nieśmiało jeszcze, szepnęła:

— Wszak to się do obu stron stosuje zarówno.

— Niestety! temu zaprzeczyć niepodobna — mówił starosta — jednakże rola mężczyzny jest przykrzejsza.

Chwilkę zamilkł, bo się służący zbliżył z półmiskiem.

— Pani mi daruje — począł znowu — że jestem zmuszony tak samo być posłusznym woli ojca, jak pani swoich rodziców rozkazom... Cóżby to pomogło, gdybyśmy się zbuntowali? Jutro przyszedłby ktoś drugi, mniej względny ode mnie, i ofiara spełnićby się musiała...

Wojewodzianka słuchała z wielką uwagą; Brühl czuł się coraz śmielszy i natchniony.

— Oboje — mówił — powinniśmy przyjąć los nam zgotowany tak, jak się znosi burzę, deszcz, słotę, spiekotę... Wola rodziców jest taką nieprzemogłą siłą w naszym świecie... Lecz — tu głos zniżył — mogę zapewnić panią, że osłodzić jej los będę się czuł w obowiązku...

Panna Marya zarumieniła się mocno: nigdy podobnej rozmowy nie prowadziła z nikim w życiu, nie wyobrażała sobie nawet, aby się tak otwarcie mówić godziło. Ma to jednak do siebie ton dany silnym głosem, że porusza struny pokrewne — najtrwożliwszy umysł czuje się podniesionym i ośmielonym. Bojaźliwa wojewodzianka widziała się niemal zmuszaną być równie szczerą... Pomyślała trochę i poczęła głosem przerywanym:

— Hrabia mi darujesz... ja tak pięknie mówić nie umiem... jam w życiu mówiła mało! tak mało! a swemi słowami swoich myśli... prawie nigdy.

Czuje, żeś mnie pan chciał ośmielić, pocieszyć, że wdzięczna mu jestem za to...

— Spodziewam się, że, lepiej mnie poznając, przekonasz się pani, iż tyranem dla nikogobym być nie potrafił... Nie chcę się chwalić, ale wierz mi, panno wojewodzianko, jestem dobry człowiek...

Mimowolnie panna Marya się uśmiechnęła.

— A ja jestem bardzo prostą, bardzo ograniczo-

na dziewczynką — rzekła. — Lubię bardzo ciszę i spokój... wołałabym klasztor...

Ostatnie słowa ze spuszczoną głową szepnęła le-dwie dosłyszonym głosem. Brühl się uśmiechnął.

— Wszystkie panny, którym się ich narzeczony nie miał szczęścia podobać — rzekł — woła klasztor... Leczą pani do klasztoru iść nie pozwolą.

— A! tak jest! — westchnęła panna Marya.

— Ja jestem też — mówił Brühl, wychylając wina kieliszek — muszę się i z tem pochwalić — człowiek otwarty i szczery... Zaręczam pani, że będziesz u siebie swobodna, i choćby małeńki klasztorzek będziesz sobie mogła założyć w Młocinach a pewno nie przeszkodzi.

Nawzajem w życiu jak najmniej sobie będziemy zawadzali — wszak prawda??...

Wszystko to tak jakoś dziwnie brzmiało w uszach panny Maryi, że już tylko łagodnym odpowiedziała wejrzaniem. Brühl w duchu z siebie był rad.

W główce wojewodzianki religijne pojęcia o świętości Sakramentu, o nierozzerwalnych węzłach, mieszały się z tem, co czytała we francuskich romansach... Brühl jej przypominał jakby z książki bohatera... spojrzenie na matkę — cały rygor związku, w którym spodziewała się niewoli. Nie mogła zrozumieć tych sprzeczności, ani gdzie była prawda. Pomieszana nie wiedziała co mówić.

Na zapytanie narzeczonego odpowiedziała tylko głową skinieniem, jakby mu chciała dziękować.

Rozmowa dwojga młodych, jakkolwiek jej nikt nie słyszał, zwracała oczy. Brühl stary był pewien syna i cieszył się. Wojewodzina, która każdy ruch córki śledziła z trwogą, była także dosyć jej znalezieniem się zadowolona.

Inni goście, zwłaszcza ci, co znali do zbytku su-

rowe wychowanie panien, zdziwieni patrzali na zbliżenie się posłuszne dwojga tych istot wczoraj jeszcze sobie nieznanych, a wkrótce mających zamienić pierścienie zaręczyn.

Wtem rumor się zrobił wielki, wojewoda wstał, aby wypić zdrowie ministra i ex promptu wypalił mówkę wedle starych formuł o zaszczycie, jaki dom jego spotykał. Hucznie przyjęto toast. Brühl dziękował rozpromieniony z tą twarzą cukrową, miłą, wyelegantowaną zawsze, jak on cały. Wojewodzina nawet małym kieliszeczkiem piła zdrowie jego ekscelencyi. A że przed nim już sporo się spełniło lampeczek, nalewanych ciągle, do których spełniania marszałek i wice-marszałek, chodząc dokoła stołu, zachęcali, humory się podniosły... Nastąpił toast nieobecnej hrabiny Brühlowej i całego domu, za który i pan starosta dziękował, potem minister wniósł zdrowie obojga województwa i konsolacyi, będąc już wdrożonym w polskie zwyczaje. Pomniejsze zatem już ciszej i prawidłowo potoczyły jedno po drugich, a nie pokrzywdzono nikogo.

Naostatek ruszył się wojewoda, Brühl podał rękę pani domu i całe towarzystwo przeniosło się do bawialnej sali. Starosta czuł się obowiązany prowadzić pannę Maryę, która szła błąda, jak ofiara, choć z mniejszą już może trwogą. Po ukłonach i podziękowaniach sama wojewodzina starała się tak ułożyć, aby młody Brühl mógł swobodnie zbliżyć się i zalecić pannie Maryi.

Towarzystwo ożywione skupiło się w grupy rozmaite; pan Alojzy nie potrzebował teraz ani wejrzania, ani instrukcyi ojca, aby zrozumieć swe obowiązki. Stanął naprzód nieco zdala od wojewodzianki, znalazł potem pozór zbliżenia się ku niej, a wojewodzina nieco się usunęła, aby im więcej zostawić swobody, i rozmowa, po-

częta u stołu, dalej się już ciągnąć mogła bez przeszkody.

Od czasu, gdy ją wiwaty przerwały, do tej chwili panna Marya mogła zważyć każde słowo i zastanowić się nad jego znaczeniem. Brühl ze swą galanterią, śmiałością i grzeczną żartobliwością zawsze ją jakimś strachem napelniał — instynkt dawał jej czuć w nim człowieka zimnego i obojętnego, ale zarazem... czuła w nim też powolność i dobroć wystygłej istoty, którą wszystko mało obchodzi. Wiało od niego łagodnym sceptycyzmem, któremu imienia nadać nie umiając, wojewodzianka pierwszy raz w życiu z nim się zapoznawała. Był on daleko mniej straszny od tyranii, pod jaką lata jej dzieciństwa spływały... lecz nie obudzał sympatii...

Trwoga ustąpiła — w sercu jednak nie mogło się obudzić nic więcej, nad trochę jakiegoś spokoju.

Brühl widział w tem dziecku bojaźliwym, które mu przeznaczano, coś obudzającego miłosierdzie, politywanie — nic więcej. Nawykł był trochę do tych pań dworu, których najświetniejszym prototypem była własna jego matka, umysłem sięgających najdalszych sfer, ciekawych wiedzy, checiwych życia, rozumiejących wszystkie namietności, dogadzających wszelkim fantazyom... Wojewodzianka nie mogła mu się podobać, nie podobala... Szukał w niej jednego tylko z pewną obawą — dumnego i energicznego charakteru w spadku wziętego po rodzicach — obawiał się wiecznej walki... Reszta była mu prawie obojętna. W oczach, w mowie panny Maryi nie znalazł tego uporu i złośliwości, któreby go mogły drażnić, i to go zaspokajało... W małżeństwie pan starosta ani mógł, ani chciał szukać nic więcej nad to, co taki związek dla interesów politycznych mógł przy-

nieść — znośnego pożycia, na wzajemnych ugruntowanego ustępstwach.

Zaczęta przy stole rozmowa dozwalała mu wnosić, wedle jego dyagnozy, że panna Marya, zahukana przez matkę, trzymana surowo, wcale jeszcze nierozwiniętą była zagadką.

— Jest to stawka na ślepą kartę — rzekł w duchu — los ciągnie, ja trzymam, bądź co bądź, ojciec wygra Potockich przymierze... a ja?? ciekawą istotę do obserwacyi...

Uśmiechnął się smutnie do siebie. Musiał się znowu przysiąść potem do panny wojewodzianki i zabawiać ją rozmową, wśród której Mniszech przyszedł go ostrzedz, iż pani wojewodzina, która słyszała, iż ma być trzpiotem, przypisywała jego powagę przybraną temu, że ją przed Brühlem za kapryśną i chimeryczkę ogłoszono.

— Na miłość Boga, roztrzpiotaj się i swawol... i to co prędziej! — szepnął szwagier — inaczej stracisz łaski...

Starosta był posłuszny, bawiła go może ta kome-dya, którą odgrywał.

W ciągu kilku godzin troskliwy kuzynek parę razy dał mu pożyteczne wskazówki, gdyż brwi wojewodziny to się marszczyły... to wypogadzały... a od niej zależało wszystko...

VII.

Trudno jest opisać dzieje tego starania się o pannę, odbytego pod dyktowaniem. Pomimo iż rzeczy pomiędzy ojcami były ułożone i ukartowane, nie tał wojewoda, iż wiele a raczej wszystko od jejmości zależało.

Bywały dni, gdy wojewodzina, obrażona jakimś uchybieniem imaginacyjnem, wszystko zerwać chciała. Naówczas ksiądz Russyan, pani Cetnerowa, Mniszchowa, a wieczorem obie Terleckie, ledwie ją uspokoić i udo-bruchać mogły.

Panu staroście jednego dnia kazano śmiać się, swawolić, skakać, drugiego być smutnym. Przestrzegano go, aby na żadną pannę nie patrzył, do żadnej innej nie mówił, od młodych mężatek stronił, gdyż go miano za bałamuta. Starosta śmiał się i szedł wyznaczoną drogą. Ilekroć na włos z niej zboczył, wnet wszyscy opiekunowie usilowali to naprawić i szepnąć, co i jak ma czynić, aby się wojewodzinie podobać.

O wojewodziankę szło jak najmniej, gdyż ta tu żadnego nie miała głosu; jej tylko od matki przynosiła Dumont rozkazy, które się codzień zmieniały.

— Powiedz-że jej, moja Dumont — dysponowała raz — niech nie będzie trusią i nie siedzi jak zamalowana...

To znowu: — Co oni mają z sobą do szeptania?... trzeba mówić zwykłym głosem.

Innego dnia znajdowała matka, że panna miała nadąsaną minę, lub, że wydawała się smutną. Uśmiech, wesołość, wszystko kłaść trzeba było jak suknię, zrzucać jak gorsety...

Z pomocą jednak księdza Russyana, Terleckich, Mniszchowej, straszna wojewodzina uchodzona została... Brühl młody siedział tu do imienin wojewody, spełniał swą pańszczyznę z jakąś ironią dziwną, i naostatek po wielu młodościach, tłumaczeniach, zachodach, korowodach wojewodzina się zgodziła, młody pretendent został przyjęty. Zaręczyny naznaczono na dzień 3 czerwca.

Została tylko niepewność co do miejsca, w któ-

rem zaręczyny odbyć się miały, w początkach bowiem myślano na ten cel zjechać do Brodów, gdzie ojciec wojewodziny, pan wojewoda poznański, przebywał.

Starosta odetchnął, gdy po pierwszej tej bytności znalazł się sam na drodze do Warszawy, uwolniony od tej śmiesznej roli, jaką w Krystynopolu odgrywać był zmuszony. Na przemiany myśląc o tem, uśmiechał się ironicznie i zadunął smutnie, ruszając ramionami...

Na dzień 3 czerwca, owe zaręczyny uroczyste, sproszono gości tłumi. Na nieszczęście w Krystynopolu pokazała się ospa, niezbyt straszna, ale na owe czasy obudzająca trwogę, która o mało całego obrządku nie zwłokła. Ledwie doktor Macpherlan, dowodząc, że wietrzna była, uspokoić potrafił. Jednakże stary wojewoda poznański, który miał bytnością swą zaszczycić zrękowiny, nie przybył z Brodów, i z listem a pierścieniem wysłał na swoje miejsce starostę Leżajskiego. Punkta intercyzy wcześniej przygotowano — dwaj mężowie, stojący na czele domów, zawierali odporne i zaczepne przymierze; wojewoda powtarzał ciągle: — Odtąd kto mi wróg, ten wam nieprzyjacielem, i wzajemnie...

Z rana dopiero dnia 3 czerwca, w wigilię zaręczyn tak uroczystych, jak ślub, i równie ważnych a obowiązujących, wojewodzina kazała do siebie wezwać córkę. Pojęcie obowiązków matki nie dozwalało jej okazywać czułości, która się w języku wojewodziny słabością nazywała, lecz gdy ujrzała bladą Maryę, słuchającą wyroku z marmurową obojętnością, ze wzrokiem osłupiałym, nie umiejącą odpowiedzieć ani słowa, nie okazującą oporu, ani radości — kobiece serce, serce matki otwarło się na chwilę. Wojewodzina ryknęła płaczem wielkim i rzuciła się ścisnąć dziecko, które miała utracić...

Trwało to jednak chwilę. Przypadły Terleckie z la-

rendogra, cały fraucymer z rozmaitymi środkami orzeźwiającymi — upamiętała się o zachowanie powagi wojewodzina, wybuch stłumiwszy w piersi, oddała Bogu na ofiarę boleść swoją.

Godzina ta ranna była umówiona; wszedł zaraz wojewoda, aby oświadczyć urzędownie córce wolę swoją, a razem okazać, jak dobroć rodzicielska świetny jej los zgotowała, jakim to było zaszczytem zostać hrabiną Brühlową, jakim szczęściem mieć takiego męża i jaką to wdzięczność do grobu dziecię zachować powinno było dla rodziców.

Matka dała znak Maryi, aby upadła do nóg ojcowskich... trzeba było podziękować, rozplakała się biedna.

Mamy-ż obrząd ten uroczysty i błogosławieństwo księdza Russyana opisywać, którego umyślnie na ten dzień z Podkamienia przywieziono? Przy biciu z dział odbyła się ceremonia, którą to odznaczyło, że wprzód list dziada, ojca wojewodziny, publicznie w kościele na głos czytano. Tandem szły powinszowania, uczta, toasty... i stara Terlecka wieczorem upomniwała się o jaki płateczek za nowenneczkę skuteczną, nie mówiąc o tem, co za pośrednictwem Mniszchowej dostała od Brühlów.

Wojewodzianka, która całą noc poprzedzającą przeplakała, cały ranek i dzień przemęczyć się musiała, nie okazując po sobie, co czuła... wyglądała jak cień błada. Uśmiechała się bez myśli, słuchała, nie wiedząc, co do niej mówią, oczy miała łez pełne, ale to się tłómaczyło przywiązaniem do rodzicielskiego domu. Brühl nie miał odwagi ani jej pocieszać, ani rozrywać żarcikami, na które zawsze się mógł zdobyć. Sam on doświadczał jakiegoś dziwnego ucisku na sercu, choć go udaną swą zwyczajną wesołością pokrywał.

Gdy ten dzień utrapiony dobiegł nareszcie do końca, a nazajutrz rano powozom kazano zachodzić przed ganek pałacowy, gdy się żegnać i po rękach całować zaczęto, a ścisnąć wzajem, wszyscy uczestnicy tego aktu, który duma, ambicja, rachuba polityczna dopełniła, uczuli, jakby z nich ciężkie spadło brzemię. W ganku pito jeszcze strzemienne; całowano się tem czulej, że nareszcie oswobodzić się miano. Moździerze na wiwat uderzyły... a w chwilę potem w krystynopolskim pałacu panował już tylko ruch wielki przyprowadzania do powszedniego porządku wszystkich gałęzi gospodarstwa.

Goście w miasteczku zdejmowali i pakowali po gospodach kontusze i pasy kosztowne, wkładając kitle podróżne, wojsko zrzucało paradne kolety, dworzanie zdejmowali bogate pasy, w kredensach liczono srebra, wojewodzina kazała sobie przynosić rejestra szafowanych jadeł i napojów, wojewoda słuchał raportu starosty Zawideckiego, a starszyzna naznaczała kary tym ichmościom, którzy czasu wielkiego zamieszania korzystali z niego, dla dopuszczenia się nadużyć.

Okazało się, że dwóch świszczypałków podkradło się do garderoby na zakazane konszachty z pannami, za co najsurowsza była kara na kobiercu. Bebuś się spil i Bebę pokrzywdził policzkiem, co miał odpokutować klęceniem i postem o chlebie i wodzie; dwóch hajduków pokrwawiło się, zwaśniwszy... Wszystko to natychmiast miało być jak najściślej zbadane i przykładnie ukarane.

Srebra odnoszono do skarbcu, pijanych sadzono na wytrzeźwienie się do karceresu na odwachu, gorączkowy jeszcze nieco ruch panował wszędzie, lecz coraz się uśmierzał. Panna Marya z głową opartą na kolanach madamy Dumont, z oczyma wypłakanemi, ale suchemi,

dumala nad swym losem. Młodsze siostry patrzyły na nią z tem zdumieniem i zazdrością, jaką tylko dziecienny wiek zrodzić może.

Szczególniej piękny pierścień zaręczynowy, dar wojewody dziadunia, budził ciekawość siostr młodszych, wojewodzianka nieustannie pokazywać im go musiała. Lecz z palca nie wolno go było zdejmować, bo przesąd jakiś przykuwał go na nim aż do ślubu.

Tymczasem powozy pana starosty, któremu towarzyszył Mniszech, po drodze mając przygotowane do przepręgu cugi, unosiły go nazad ku stolicy. Wkrótce marszałek, zbaczając do dóbr swoich, pożegnał szwagra, wyrażając mu zarazem radość z dokonanego aktu i uszczęśliwienie, że się straszliwa pańszczyzna skończyła.

Rozstali się, i starosta z dworem swym późno w noc do przygotowanego dobiegł noclegu, po takim znużeniu potrzebując nadewszystko spoczynku.

Lecz szlachta miejscowa, która wiedziała o przejeździe młodego Brühla, powitała go tu tłumnie, i nie zabrakło na klientach, petentach, na ukłonach i mówkach, którym uśmiechać się i dziękować za nie było potrzeba.

Zbywszy się tej napaści, już miał starosta, zrzucawszy suknie, co rychlej paść na łóżko, gdy kamerdyner posługujący mu oznajmił, że jakiś jeszcze nieznany jegomość, który nazwiska nie chciał objawić, ale starym i poufałym mienił się przyjacielem, dopraszał się gwałtownie posłuchania.

W pierwszej chwili Brühl ofuknął kamerdynera i chciał odprawić natręta, lecz ten powrócił z naleganiem, z prośbą, i drzwi wreszcie się otworzyły. Z głową oslonioną kapeluszem, który mu całą twarz okrywał, obwinięty płaszczem, ukazał się w progu mężczyzna

slusznego wzrostu. Brühl spoglądał dosyć zniecierpliwiony i wnijsciem i maskaradą, gdy nagle gość zrzucił kapelusz i z radosnym krzykiem rzucił mu się na szyję.

— Ha? prawda, niespodziankę-m ci sprawił, co się zowie? Musiałeś mnie przeklinać, że ci zmęczonemu wylegać się nie daję! Jak się masz! przebacz! Nie mogłem czekać do jutra...

— A, to ty! — krzyknął Brühl — strachu mi narobiłeś niemałego. Siadaj i bądź pozdrowiony!

Przybyły, jeden z dawniejszych przyjaciół młodego Brühla, rówieśnik jego, towarzysz zabaw dziecięcych na tarasie w Dreźnie, niegdyś dworzanin króla, był to pan generałowicz Sollohub. Z nim niegdyś pan Alojzy najlepiej swawolić lubił, gdy mu do tego przychodziła ochota — próbowali sił, zrzeczności, a potem i doweipu, rozprawiając o tych rzeczach, których wówczas weale nie rozumieli, a tem więcej byli ciekawi. Później pan Sollohub wrócił do Polski na to życie pańsko-szlacheckie, do którego był przeznaczony, a starosta warszawski wyrósł nagle prawie na dygnitarza. Dawna poufalskość przeżyła niegdyś bliższe stosunki, dziś rzadsze i mogące oziębnać, gdyby ich sympatye charakterów, szczerza przyjaźń i wspomnienie młodości nie wiązały.

Przed jednym Sollohubem zwierzał się pan Alojzy ze swych tęsknot, fantazyi, utrapień pokrytych świetnością położenia — jeden Sollohub mógł go zrozumieć, a nie mógł zdradzić. Byli z sobą jak bracia, a we własnych nawet Brühl nie miał nigdy tyle zaufania, ile w tym od dzieciństwa przybranym.

Nie były to jednak ani charaktery podobne, ani umysły jednej potęgi i polotu. Starosta warszawski należał do najbystrzejszych ludzi swego czasu; Sollohub miał polor i oglądę, ale zawile kwestye życia, filozofii,

serca, polityki — niewiele go obchodziły. Młodym był i przede wszystkim chciał użyć młodości i życia. Serce miał czułe do zbytku, głowę rozmarzoną. Brühl był sceptyk, chłodny, obojętny, łagodny, wdzięczny wszystkiemu, co go na chwilę rozerwać i odgrzać mogło. Sołłohub, mniej używszy, mniej się napatrzywszy, niewiele jeszcze potrzebował, aby być szczęśliwym. Starosta nudził się często, na co mu nawet ulubione lekarstwo nauki nie pomagało.

Sołłohub naukę szanował wielce, lecz ona mu była obojętna, zastosowania jej w życiu szlachcica polskiego pojąć nie umiał. Zdawało mu się, że oddawna posiadał już wszystko, co mu do jego zawodu mogło być potrzebne. Jeździł konno wyśmienicie, strzelał i pływał, jak Brühl, mówił niezłe kilku językami, muzykę lubił, choć jej nie praktykował, pił, gdy był zmuszony, dużo i ładnie, umiał się znaleźć równie dobrze wśród kontuszów i wśród fraków. Zdawało mu się, że nikt po nim nie miał prawa więcej wymagać.

— A no! Brühl — zawołał wesoło, padając na krzesło, Sołłohub — mam cię więc powitać kosmatą ręką... żenisz się... Wiwat!

— A ty? — spytał starosta.

— Ja, dotąd nie, ale za to szalenie się już kocham.

— Paradny jesteś! i myślisz, że prowadzony przez ślepego Amora wnijdziesz do świątyni Hymenu... Ale ty z tym bałamutem do drzwi nie trafisz!

Sołłohub się zarumienił i westchnął.

— Mówmy o tobie; cóż ty?

— Ale o mnie, mój drogi, niema co mówić — rzekł, śmiejąc się, Brühl — zdaleka patrząc się i przysłuchując, wiesz wszystko i powinieś się domyślić. Ty masz swobodę — ja się jej dawno wyrzekłem...

ze stoicyzmem i wesołą twarzą idę, gdzie mi każą... Pappa potrzebuje aliansu — pakuja mnie do karety, wiozą i dają w zastaw... Ani panna, ani ja nie nie wiedzieliśmy, gdy nas zapytywano...

Strzelono z moździerzy, wypito za zdrowie, posadzano nas przy stole... zamieniono pierścionki i — finita la commedia! Do was należy dać nam obojgu brawo!

Sołłohub posmutniał.

— Słuchaj — rzekł — tyś w istocie człowiek szczęśliwy, że możesz to brać tak wesoło... Finita la commedia! nieprawda: la commedia comincia... To dopiero początek.

— Chcesz, bym ci jej koniec powiedział? — odezwał się z udaną wesołością starosta. — Pani się boi mnie, ja jej... ślubujemy sobie przy ołtarzu i jedziemy do Młocin... Życie płynie tak gładko, jak zwykle po szlifowanych posadzkach. Kochać się niepodobieństwo, znoś się nauczymy powoli, znajdziemy modus vivendi. Pani wyszuka przyjaciela, ja znajdę przyjaciółkę... wzajem przebaczymy sobie winy, i ani lepiej, ani gorzej od drugich dobijemy się do końca...

Mamy w czystym zysku, że się żadne z nas nie zawiedzie, bo sobie nie czynimy złudzeń... Nie jest-że to położenie wyśmienite? Karty na stole, gra otwarta...

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się Brühl, spoglądając na zadumanego Sołłohuba.

— Cała sztuka — dodał — punkt widzenia; stro-na dobra, jak widzisz, zawsze się znajdzie nawet tam, gdzie jej niema...

— Ta twoja wesołość! — mruknął przyjaciel.

— Ale cóż pomoże, jeśli się truć będę i truć tragicznie? — spytał Brühl.

Sollohub milczał, lecz po chwili dodał:

— Uważaj, jak lepiej, ja tylko czuję, że mi cię okrutnie żal...

Starosta uderzył go ręką po kolanie.

— Dziękuję, ale widzisz, wychodzę z tej łaźni... zdrowszy i cały... Co ty chcesz od życia!! Każdy ma swe przeznaczenie, a ja nie skarzę się na moje...

Przyjaciel smutnie jakoś przypatrzał się nadrabianej wesołości starosty.

— Wiesz co? — rzekł — nigdy niczego nie zazdrościłem nikomu, ale tobie prawie zazdroścę humoru i rezygnacji... Jesteś dla mnie zagadką... Zdaje mi się, że albo fanfaronujesz, lub nie jesteś człowiekiem.

— No, nie wiem — odparł Brühl — może jestem lalką, ale to pewna, że mnie wiele rzeczy śmieszy, mało boli, a prawie nic nie porusza... Smutna to rzecz, czy wesola — ale tak jest, mój drogi!

— Fanfaron jesteś! — przerwał gość — chwalisz się. Jakto? tak młody, miałbyś już nawet nie módz się i nie chcieć zakochać?

— Nie wiem — mówił Brühl, potrząsając głową. — Śmieszna rzecz, powiem ci, zakochałem się raz pierwszy w życiu, mając lat dwanaście, w dziecku... od tej pory już nie mogę. Ta miłość dziecinna trwa dotąd! Jeszcze o niej marzę. Szalałem potem za Angielką, z czego tyle narobiono halasu, alem jej nie kochał... latałem za innymi tak samo... z ciekawości i temperamentu. Moja pierwsza miłość, która trwała minut pięć... snadź była ostatnią.

Chciał mówić więcej, lecz nagle jakby się namyślił — umilkł i, zmieniając ton, zwrócił się do Sollohuba:

— Mów bo mi o sobie. Ty, naturalnie, kochałeś

się nieskończoną liczbę razy; pamiętam, żeś począł od garderobianej mojej matki... A teraz... w kimże?

— Daj pokój żartom! po raz pierwszy i ostatni w życiu jestem na seryo rozmiłowany.

— A! wiwat! Cóż? przedmiot twych zapalów? — mówił Brühl ironicznie — „czy dzieli ogień twoje?“

— Proszę cię, nie żartuj! Przedmiot jest młodzieńczy i, o ile mi się zdaje, chybanigdy kochać nie potrafi.

— Dlatego, że nie kocha ciebie!! — Rozśmiał się starosta. — Czy nazwisko tajemnicą?

Sollohub się zawahał.

— Myśmy przecie przyjaciele, ja cię nie zdradzę! Miałaby być mężatką? — pytał Brühl.

— Co pleciesz! to prawie dziecko, to aniołek! — zawołał Sollohub.

— Wszystkie one są aniołami, gdy się w nich kocha. Ale któż, mówiąc po polsku, twojego anioła rodzi? Generalowicz pomyślał.

— Przyszedłem tu nie po to, abym przed tobą robił tajemnicę — dodał poważnie. — Kocham się w Maryi Potockiej, cześnikównie koronnej; sierotą jest biedna, odumarli ją rodzice. Opiekunowie! któż wie, możeby nie byli od tego, aby ją wydać za mnie...

Brühl, który ciągle z wyrazem ironii na twarzy słuchał przyjaciela, gdy wymówił nazwisko cześnikówny, drgnął i wstrząsł się cały... Sollohub siedział właśnie z oczyma spuszczoneymi i nie dostrzegł tego poruszenia, a gdy podniósł wzrok, Brühl już był panem siebie. Większy znawca ludzkich twarzy byłby może rozpoznał w nim jakby przejście jakiegoś prądu, który po sobie ślad zostawi. Sollohub nie badał tak pilnie tych, z którymi żył; brał ich prostodusznie takimi, jakimi mu się przedstawiali.

Nagle urwała się rozmowa, starosta jakby stracił ciekawość, siedział obojętny i zmieszany nieco.

— Wiesz — odezwał się potem, udając znowu rozweselonego — to szczególne przeznaczenie! Byliśmy i jesteśmy, spodziewam się, przyjaciółmi, w losach naszych wiele było wspólnego, i obu nam widać przeznaczone były Marye Potockie. — Sołłohub, który imienia wojewodzianki nie wiedział, wyraził całe swe podziwienie.

— A! bodajbyś był prorokiem! — zawołał — ale ty bierzesz już twoją Potocką, a ja nie wiem, czy kiedy do tego się szczęścia dobiję...

Wstał Brühl i, przechadzając się, coś nucić zaczął.

— Mówmy seryo — odezwał się głosem zmienionym — nie masz zaprawdę czego mi zazdrościć. Mówiłem ci, że nie ja się żenię, ale mnie żenią. Panna jest biedną, przelekką ofiarą, a ja sobie wydaję się katem. Niema na to rady! Muszę wesołego udawać, aby jej i sobie serca dodać. Serce, którem ci się chwaliłem, że mi stwardniało, jak nagniotek, boli czasem niewypowiedzianie, zupełnie jak nagniotek na slotę. Wszystko to smutne, śmieszne i głupie! Męczyć siebie i drugih, aby przez lat kilka mieć przyjemność patrzeć, jak ci się ludzie kłaniają nienawidząc! Pewien jestem, że mnóstwo ludzi mi zazdrości! Na oko może być szczęśliwsze położenie, niż moje? Ojciec niemal wszechwładnym panem w dwóch krajach, złota mogę mieć, ile zechcę, jestem młody, zdrow, jak koń, pochlebców rój mnie otacza, a — niema człowieka nieszczęśliwszego nade mnie.

— Brühl! co mówisz? — zawołał przestraszony niemal przyjaciel.

Uśmiechnął się na to starosta.

— Wiesz dlaczego? bo mi wszystko jest obojętne... bo mi się zachciewa biedy dla wyjścia z tego marazmu.

— Jesteś człowiek poprostu szczęściem popsuty — odezwał się Sołłohub — ale na to żadnej innej rady niema, tylko prawdziwa bieda, któraby o zmyślonej zapomnieć kazała... dajmy już temu pokój.

To mówiąc, przeszedł się po pokoju Sołłohub, jakby się do czegoś gotował, i zbliżył z wolna do Brühla, który krzesło pod sobą od niechcenia kawałkami wypróbował.

— Kochany starosto — odezwał się — mam do was prośbę. Byłeś mi dawniej przyjacielem...

— I jestem zawsze!

— Przykóż-że się do szczęścia mojego!

Złożył ręce jak do modlitwy.

— O co ci idzie? mów bez tych wstępów i przygotowania

— Kiedy twoje wesele?

Brühl aż się cofnął na to pytanie, którego się nie spodziewał.

— Nie przypominaj-że mi go... cóż tobie z tego przyjdzie?

— Ale przecież — kiedy?

— A no — około Nowego Roku, zdaje mi się.

— O! to kawał czasu jeszcze — westchnął Sołłohub. — Wiadomo już powszechnie, że zaślubiny twe odbyć się mają z nadzwyczajnym przepychem... a szczególnie przy ogromnym zjeździe z całej Polski. Wszystko, co tylko spokrewnione, skoligacone, sprzyjażnione z Potockimi, będzie w Krystynopolu... Liczą już gości na setnicy... kto wie, na tysiące!

— Chcesz, bym cię zaprosił? — przerwał Brühl — ale to samo z siebie idzie.

— A! wcale nie o to mi szło — zniecierpliwiony wtrącił Sołłohub. — Cześnikówna Potocka będzie nie-

zawodnie na weselu. Ty już należysz do rodziny — do domu, ojciec twój ma wpływ wielki, siostra twoja nie mniejszy... Alojzy! na przyjaźń twą zaklinam cię, pomóż mi do cześnikówny — ja kocham się w niej śmiertelnie — ja...

Nie dokonczywszy, porwał się za głowę.

— Szczęśliwy człowiek! — westchnął Alojzy.

Przyjaciół chwycił go za ręce. Brühl cofnął się zniecierpliwiony.

— Jeśli o tem chcesz mówić z moim ojcem, nastreczę ci sposobność. Niech on przemówi za tobą, ale ja! ja!... ja nie mogę...

— A to dlaczego? — porwał się niemal obrażony Solłohub.

— Dlatego, że choć mam zaledwie dwadzieścia jeden lat, dałem już sobie słowo, iż małżeństw nigdy kojarzyć nie będę.

— Ty? dałeś sobie słowo? — podchwycił Solłohub.

— Tak jest, dałem sobie słowo i dotrzymam go.

Gość wziął kapelusz z krzesła powoli; widać po nim było, iż, doznawszy zawodu, czuł się nim mocno dotknięty.

— A zatem — rzekł chłodno — nie pozostaje mi nic, tylko ci dać dobranoc.

Lecz Brühl obie ręce wyciągnął ku niemu.

— Mój drogi, mój przyjacielu — zaczął łagodnie, — nie gniewaj się, Bóg widzi, nie winienem, masz całe serce moje, ale w tej sprawie ci służyć nie mogę.

— A ja tylko w tej sprawie cię potrzebuję — przerwał Solłohub — o żadne starostwo ani proszę, ani prosić cię będę, o żadną łaskę, ani protekcję, w tem tylko jednym możesz mi być pomocny.

Brühl stał chłodny.

— Nie mogę — rzekł — nie mogę.

— Dla mnie jest w tem coś niepojętego — mruknął gość

— Myśl sobie, co chcesz — dodał starosta — ja małżeństw nie kojarzę... Ojcu cię polecę, ojciec więcej, niż ja, może... Do tej sprawy ci się nie zdam, bo w małżeństwa nie wierzę i mam moje pryncypia... Gdyby mi wolno było odstąpić ci moją własną narzeczoną — także Maryę i Potocką, uczyniłbym to chętnie... ale daj mi pokój ze swatami, jam do tego nie stworzony...

Generalowicz popatrzał nań, ścisnął zlekka jego rękę i wyszedł.

Brühl powiódł za nim oczyma i rzucił się znużony śmiertelnie na łóżko.

VIII.

Po Trzech Królach odbyć się miało w Krystynopolu wesele. Im państwo województwo kijowscy oszczędniejsi byli i skrzętniejsi w zwykłym życiu — tem na ten akt wspanialej wystąpić chcieli. Znano z opowiadań zbytki dworu saskiego, do których Brühl był przywykły, wiedzianno, jak on wykwintne wiódł życie; chciano naostatek po długiem milezeniu i oddaleniu od większego świata występem zaćmić ucztę najwspanialsze.

Wojewodzina byłaby może starała się pogodzić wspaniałość z oszczędnością, ale na tym punkcie sam pan Franciszek Salezy okazał się nieublaganym.

— O tem mi asińdzka ani mów — odezwał się — tu niema co skąpić, oczy całej Rzeczypospolitej zwrócone są na nas... trzeba wystąpić i wystąpimy — po

królewskui Dam, ile będzie potrzeba... choćby krocie miały pójść. Należy stanąć odrazu tak, jak nam przystało...

Gdy da Bóg wydawać drugą i trzecią, zrobi się inaczej, bodaj cicho i skromnie, ale pierwszą i jeszcze za Brühla dając...

Potrząsł ręką do góry pan wojewoda, a że wiele czasu do stycznia na tak wielkie przygotowania nie zostawało, natychmiast do narady wezwał księcia Czetwertyńskiego. Szło głównie o program wesela. Przy obrzędach weselnych ongi były zachowywane pewne tradycje narodowe, siła mów głosić musiano i słuchać, przy oddawaniu podarków, marcypanów przy stole, przy wprowadzaniu do sypialni, pokładzinach, przy wieniec, przy rozmaitych ceremoniach ślubu i wesela, aż do cukrowej wierzchy i wyjazdu z domu rodzicielskiego. Mówili od pana młodego, od rodziców, od rodziny jednej i drugiej, przyjaciele, dworzanie i t. p. Oprócz mów sam obrząd, wedle starych zwyczajów napół publiczny, uciążliwy był, a dla obcych dziwnie się mógł wydawać.

Wojewoda nie rad był odstąpić od tradycji a biedził się z tem, jak ją przelknąć Sasi.

Obyczaj europejski, już w kraju się zagęszczający, znosił te dawne obrzędy i nowe wprowadzał cudzoziemskie formy. Nie wiedziano zaprawdę, jak lepiej było: czy stać przy dawnem, czy zerwać z przeszłością. Dla obojga państwa było to markotno, a dla obcych znowu nie chciano się okazać śmiesznymi i zardzewiałymi. Dlatego w rzeczach tych biegłego zaproszono do rady księcia Czetwertyńskiego, który powoli wsunął się do kancelaryi, gdzie oboje państwo nań oczekiwali. Stary książę zubożały miał postawę wspaniałą, znać w nim było ową bujną krew dawnych wodzów, co nie łatwym do rządze-

nia tłumom w pochodach i zdobyczach wskazywali drogi. Służył on panu wojewodzie, ale swą mitrę nosił dlatego jak przystało, i choć się kłaniał, nie poniżał. I tym razem, głowy uchyliwszy, ręce zaraz za pas włożył, stając jak równy przed równym.

— Czem mogę służyć panu wojewodzie?

— Waszmość, mości książę, jesteś naszym przyjacielem, chcemy waszej rady, oto z powodu tego wesela — odezwał się pan Franciszek Salezy. — Już to nie ulega wątpliwości, iż wystąpimy tak, jak nas stało, niech kosztuje co chce... ale jest sęk... Maryanna idzie za cudzoziemca, choć to niby szlachcic polski, ale zarazem i grafiem niemiecki. Weseleby przystało sprawić po naszymu, po polsku... z drugiej strony... oni tego nie rozumieją i prześmiewać gotowi.

Książę, oczy mocno otworzywszy, stał długo milczący i słysząc tylko było poważne sapanie. Jak wszyscy niemal ludzie owego wieku, powolnie myślący, miał i on swe przysłowie, które w mowie pomagało do zasztutowania pauz, gdy się myśl opóźniała — a myśl chodziła leniwo.

— Furda, tego, panie wojewodo — rozpoczął mimowolnie, na początku zaraz umieściwszy przysłowie, książę Czetwertyński — furda tego, niema nad czem tak dalece myśleć. Trzeba, aby był i wilk syty i koza cała.

— Ale jak? — zapytała wojewodzina.

— Jak? — gładząc łysą głowę, rzekł książę — jak? Furda tego, polski ceremoniał się nieco obetnie, a nowomodnego przyrzuci...

— Cóż z mowami będzie? — wtrącił wojewoda.

— Oni ich i nie rozumieją — cicho szepnęła sama pani.

— Dlatego słuchać mogą, furda tego — rzekł książę.

zę, ruszając ramionami — bez mowy zupełnie obejść się nie może.

— Acindziej wiesz, mości książę, że za moich młodych czasów na porządnem weselu piętnaście do dwudziestu oracyi trzeba było wysłuchać — rzekł Potocki.

— Samem je prawil, jak nie mam wiedzieć? — odczywał się kniaź. — Na mojem własnem figla mi splatał, którego nigdy nie zapomnę, Pocij. Przypadło mu ode mnie za pannę dziękować w łóżnicy... umiał expedite, ale, nim do niej przyszło, umyślnie go spojono... Stanęliśmy słuchać, ochrzaknął, oczy mu słupem stanęły, rękę podniósł — czekamy — szczerwieniał, jak burak, krztusi się... ani słowa...

Ten i ów pod bok go szturcha... jeszcze się gorzej coraz poczał mieszać... i — drapnął, jak niepyszny. Musiałem sam ex promptu go zastąpić...

— Ja wiem, że m nieraz na weselach tylko szum słyszał — dodał Potocki — a pewnie nie więcej i drudzy. Bredzono śmiało...

— Mów jak najmniej będzie — zdecydowała pani — ale z innymi obrzędami?...

Książę się zamyślił.

— Pewnie, że stary obyczaj i publiczne odprowadzenie do sypialni nie ujdzie — rzekł po chwili — a marcypanów i świec pan młody nie przyśle... więc z francuska po polsku... takie moje zdanie, furda tego, panie wojewodo.

Utrzymała się opinia Czetwertyńskiego, i program powoli zaczął coraz wyraźniejsze przybierać rysy. Zawczasu tedy kancelarya wedle trzech aryng różnych poczęła pisać listy, do duchowieństwa, senatorów, dygnitarzy, rodziny i przedniejszej szlachty, z którą panowie Potoccy mieli stosunki. Zachodziła ta trudność, iż z wielu

osobami partyi przeciwnej były koligacye i pozornie dobra komitywa, nie wypadało więc i tych opuścić, a pokrzywdzić pominięciem, choć się napewno spodziewano, iż listownie się chorobą, żalobą lub innem jakim sianem wykrecą.

Książdz biskup łucki Wołłowicz osobno przez dworzanina zaproszony został, ażeby nowożeńcom błogosławił, boć mniej, niż biskup, ślubu dawać nie mógł. Listy szły na pocztę, przez kozaków dworzan, kresy i gubernatorów dóbr rozsyłano. Inne też przygotowania na ogromną skalę czyniono. Do Węgier umyślnie po wina, ze wszystkich dóbr zwierzyny kazano dostarczyć, z Gdańska przywieziono korzenne do kuchni przybory. Pieniądze szły okrutnie, a gdy pani Anna postękiwała na to, wojewoda usta zaciskał i powtarzał:

— Niech kosztuje, co chce, inaczej nie może być. Na tem się skończyło.

Osobne trzy izby zajmowali kuśnierze i krawcy, szyto suknie, a panna Marya, jak machina, do próbowania ich coraz powoływana być musiała.

Szła po sześć razy czasem na dzień błada, mięcząca, dawała się opinać, oglądać na wsze strony i obojętna powracała nazad do swego pokoju.

Naukom już dano za wygraną, nawet młodsze siostry niewiele ich pilnowały. Madame ciągle przygotowywała swą wychowanicę, tak skutecznie, iż coraz się stawała smutniejszą. Nie miała wcale daru przekonywania, a była w najwyższym stopniu niezręczną i wygadływała się z historyami, które do stanu małżeńskiego nie zachęcały. Większą część dnia spędzały w pokoju madamy. Wojewodzina, choć nadzwyczaj zajęta i mało w to wglądająca, w końcu jednak sama dopatrzyła tego, iż panna Marya zmizerniała, schudła... i coraz więcej kaszleć

zaczynała. Nawykła do posłuszeństwa, poleciła madamie, aby te jakieś kwasy i aprehenzye wybiła córce z głowy, kazała jej jeść i być wesołą. Tu wszystko musiało się spełniać, jak dysponowano. Jednakże, mimo całej usilności Dumont, panna Marya, zmuszająca się do uśmiechów, coraz chudła i czerniała. Wojewodzina zaczynała się gniewać. Nie wydała się z tem przed córką, bo madame nastraszyła ją, że surowość jeszcze ten stan pogorszyć może. Posłano Niemca doktora, aby o stanie zdrowia wojewodzianki się przekonał. Ten niewiele umiał, obawiał się coś stanowczego wyrzec; plątał się i wojewodzinę uspokoił tym ogólnikiem, że te panieńskie nerwy po ślubie przyjdą do normalnego stanu.

Wszyscy, nawet Bebuś, widzieli wyraźnie, iż panie Maryi obawa zamążpójścia — nowego życia prze-strach i niezdrowie sprawiała. Wojewoda nie wiedział i nie domyślał się nic.

W duszy dziewczęcia w istocie działo się coś dla niej samej niezbadanego. Zdało się jej, iż rozstanie z Krystynopolem życiem przypłaci, że z tęsknoty umrze, że gdzieindziej potrafi chyba płakać i konać... Godzinami stała w oknie, a gdy Godziemba się pokazał, ledwie spojrzawszy, uciekała.

Chłopak od zaręczyn chodził jak trup blady, roz-targniony i codziennie prawie musiał być strofowany za zapomnianie się jakieś, tem dziwniejsze, że dawniej do najzwawszych i najprzytomniejszych się liczył.

— Co ci jest, Godziemba? — wołał starosta Zawidecki — skaranie boże! — chory, czy zakochany... Albo idź się położyć, albo się do kaduka żeni, a tu nam więcej zawadzasz, niż pomagasz...

Szpiegowano młokosa, ale nikt nie nie wysledził.

Tymczasem madame Dumont, w sprawach serco-

wych doświadczona wielce, gdyż nim się wychowaniem zajmować zaczęła, wiele sama na sobie smutnych doznała kazusów, z różnych stron badając swą ukochaną, wpadła nareszcie na jakieś podejrzenie, że tu serce musiało wpływać na taką nieprzewycięzoną tęsknotę i apatyę... Lecz sama myśl, żeby wojewodzianka, otoczona tylko pośledniejszego gatunku osobami, mogła na kogoś rzucić oko, przerażała madame. Gdyby, uchowaj Boże, coś podobnego dosłedzono, na nią-by cała spadła wina! Strach ją ogarniał wielki. A nuż się wyda? a nuż coś jest? Nikomu wszakże do panien ani się zbliżać, ani mówić do nich nie było wolno. Cóż to być mogło.

Ciekawość, obawa, litość pobudzały madame do pilnego śledzenia najmniejszych ruchów panny Maryi. W czasie, gdy młodsze panienki z nią lekcye odbywały, Dumont chodziła po swoim pokoju. Uważała teraz, bardziej śledząc wojewodziankę, że zwykle stawiała w oknie, podparta na rękę i niekiedy godzinę się z miejsca nie poruszała. Wzbudziło to w niej podejrzenie. Z drugiego pokoju ostrożnie przez okno przypatrywała się, czy też kogo nie obaczy.

Zaraz pierwszego dnia, stojąc na czatach, spostrzegła Godziembę, który przesunął się w ulicę, znikł pomiędzy drzewami, ale zdawało się jej, że w nich ukryty stanął. Pilnowała go i przekonała się, iż w istocie pozostał naprzeciw okna panny Maryi, pierwszy raz zdawało się jej to tak nieprawdopodobnem i zuchwałem, że to wzięła za wypadek. Lecz... powtórzyło się nazajutrz i razy kilka Dumont więcej niż podejrzenie powzięła. Jakiś ruch chusteczką białą złapała... potem niby jakieś znaki, naostatek po tygodniu z rozpaczą nabyła przekonania, że choć w tem wszystkiem nie mogło być

nie posuniętego bardzo daleko, stosunki oczu i serc — niestety — istniały...

Nie wiedząc, co z tem począć, Dumont, przekonawszy się, najprzód się rozchorowała. O wyjawieniu tajemnicy wojewodzinie mowy nawet być nie mogło... tak straszliwe pociągnęłoby to za sobą skutki. Zmłczeć zupełnie — nie umiała, poradzić się nie było kogo... Madame stała już nieustannie na straży, jeszcze niedowierzając oczom, ale wreszcie wątpliwości dla niej nie było żadnej.

Odkryła przyczynę choroby, smutku, wstrętu wojewodzianki do tego małżeństwa. Walecząc z sobą długo, wahając się, Dumont postanowiła otwarcie z wychowanicą się rozmówić, boć tak samo, jak ona dosledziła tych konszachców tajemnych, mógł je podpatrzeć kto inny, choćby lotr Bebuś, który był najniebezpieczniejszym ze szpiegów.

Pewnego tedy wieczoru, gdy się panny pospały, Dumont wezwała do siebie wojewodziankę, opatrzyła drzwi, korytarze, zapobiegła, aby ich nikt nie podsłuchał i, ucałowawszy ją, prawie ze łzami poczęła rozmowę niedosłyszanyim szeptem:

— Panno Maryo, panno Maryo! ja teraz już wiem, dlaczego mizerniejsz i bledniejsz... Ja jestem waszą najwierniejszą przyjaciółką, i z trwogi już od kilku dni choruję...

Marya zbladła, spojrzała na nią, strwożona, nie śmiejąc ust otworzyć.

— Niema się co tać przede mną... ale to okropna rzecz! Gdyby się we dworze domyślono... Boże Wszechmocny!... stałoby się coś okropnego! wszyscy byśmy byli zgubieni...

Tak pośpiesznie mówiąc, płacząc się, nie wiedząc,

jak wyraźniej dać poznać wojewodziance odkrytą tajemnicę, szepnęła na ucho nazwisko Godziemby.

Usłyszawszy je, panna Marya chwyciła z całych sił za ręce i dlonią zasłoniła jej usta.

Zdradził ją ten przestrich, padła potem na krzesło, zakrywając sobie oczy. Dumont zlekła się, aby nie omdlała, i zaczęła ją ścisnąć, cieszyć, uspokajać.

— Na miłość bożą, niech się panna Marya nie trwoży, nikt na świecie o tem wiedzieć nie może i nie będzie... to zostanie między nami... Więc to prawda!...

I załamała ręce, a po chwili, nie doczekawszy się odpowiedzi, szepnęła:

— Gdyby się domyślano, gdyby tylko cień podejrzenia padł... a! panno Maryo — kazanoby go zabić!

Słaby krzyk wojewodzianki stłumiła Dumont, chustkę jej do ust przykładając. Można się było obawiać, aby zawsze niespokojna wojewodzina nie posłyszała go i nie przysła.

— Zaklinam cię... powiedz mi wszystko, wszystko, ja nie zdradzę... ja poradzę i pomogę...

Oprzytomniawszy nieco, panna Marya się podniosła, lzy jej z oczu płynęły, rzuciła się na szyję madamy.

— Moja Dumont, cóż ja ci mam powiedzieć? on patrzył na mnie, ja odpowiadałam wzrokiem, nigdy trzech słów nie mówiliśmy do siebie. Ja go kocham, i z tej miłości umrę powoli, on pewnie także... Zaniesiemy ją oboje do grobu.

Słyszac to, Francuzka rozplakała się.

— Jakto? jakto? nawet nie spotkaliście się, nie mówili, nigdy? pewnie!

— Na wszystko najświętsze przysięgam.

— Ale to osobliwsza miłość! — dodała madame.

— I nie dziw... Gdyby się dowiedziano, on-by ją życiem przyplacił. Jakże się mógł ośmielić na was podnieść oczy! Ależ to przecie sługa!...

— To wychowaniec naszego domu — przerwała panna Marya.

— To człowiek biedny, najniższej kondycyi... — I ruszyła ramionami.

Marya płakała i nie odpowiadała nic.

— Straszliwa tragedia — ciągnęła dalej poruszona Dumont — co tu z tem począć! To trzeba sobie wybić z głowy i z serca, to nie ma sensu... okropna... a wojewodzina...

Zakryła sobie oczy Francuzka.

— Na samą myśl truchleję — dodała.

— Widzicie — rzekła — ja... ja się domyślam, mogą się dorożumieć inni. Wojewodzianka mizerniejsz, kaszlesz, zamyślasz się, widocznie ślub ten w niej wstręt obudza. Uchowaj Boże, inni ludzie na tę myśl wpadną, zgubisz siebie i jego...

Surowość obojga rodziców była tak znana, iż w istocie Francuzka miała prawo się trwożyć.

Panna Marya stała już z oczyma suchemi, milcząca.

— Za cóżby mnie karać miano, albo jego? — odezwiała się wreszcie — oczyma tylko rozmawialiśmy z sobą i sercami... Trzeba będzie umrzeć z tęsknoty, gdy mnie stąd wywiozą, umrę, wy mnie nie wydacie; tajemnica pójdzie ze mną do grobu... A! wy nie powiecie nikomu!

Zalamane ręce madamy świadczyły, iż nigdyby tego dopuścić nie mogła.

Rozmowa przedłużyła się, tak urywana i mało zawierająca treści, jak jej początek. Płakały, ścisnęły się,

Dumont piła wodę, aby się otrzeźwić, litowała się, szukała jakiegoś ratunku, a znaleźć go było trudno.

Z tego, co mówiła Marya, łatwo wyrozumiała, iż czyste, niewinne, wychowane bogobojnie dziecko, nie zamarzyło nawet o czemś, co by z karbów obowiązku wyjść mogło... Wojewodzianka ograniczała się na tem, iż chciała umrzeć. Dumont szukała w głowie sposobów, aby żyć mogła.

— Idzie wam o to, abyście się na siebie patrzyli — odezwiała się — więcej wam nie potrzeba... Niech się Godziemba stara, aby go Brühl wziął do swojego dworu.

Marya zarumieniała się przełknięta, a madame mówiła do niej dalej:

— Może się to da zrobić, ale z ostrożnością wielką... Niema innego ratunku, ja z nim pomówić muszę, ja...

Wojewodzianka z kolei przeraziła się.

— Jak? o czem? z nim mówić! A! na Boga! zdradzić mnie!...

— Ale uspokójcież się, nikogo w świecie nie zdradzę, o niczem nie wiem i nie głupiam mu więcej nad to powiedzieć... co konieczne... Ależ ja nie pierwszy rok na świecie żyję, a wam umierać nie dam z takiej dziecinnej miłości... To chłopiec bałamut, ręczę, zuchwalec i niewart tak pięknego, jak wasze, serca...

Późno w noc skończyła się ta łzawa rozmowa, lecz wojewodzianka po niej uczuła się nieco spokojniejszą, a Dumont niemal do białego dnia biła się z myślami, jak ma do tego nieszczęsnego Godziemby przystąpić.

Wcale to nie było łatwo, gdyż we dworze wszelkie stosunki osób płci różnych, chociażby najniezależniejszych, nadzwyczaj ściśle były kontrolowane. Młodzież męska nie śmiała się otwarcie zbliżyć do fraucymeru, chyba w dni Zapustne pod okiem starszych, gdy tańce wypra-

wiano na sali. Dumont nieodstępnie była z pannami. Mieć więc sposobność mówienia z Godziemba — było prawie niepodobieństwem. Lecz jest-li niepodobieństwo dla podżylej, zręcznej kobieciny, gdy sobie czem głowę nabije?... Przez parę dni madame męczyła się napróżno... potem zaczęła się skarżyć na ból głowy. Rumianek był w takich razach uniwersalnem lekarstwem.

Nie pomógł jednak. Skutkiem narady z doktorem, pani Dumont nakazano przechadzkę. Wojewodzina na czas jej niebytności przy pannach posadziła ochmistrzą, gdyż panny miały swe godziny zajęć, których opuszczać nie mogły.

Dumont przez dwa dni chodziła do ogrodu napróżno, trzeciego czatowała i złapała Godziembę. Zobaczywszy ją, chciał zrazu uciec, lecz Francuzka zawołała nań prędko, że mu ma coś powiedzieć. Nie patrząc nawet na niego, rozglądawszy się tylko, aby jej nie podsluchano, szybko rzuciła mu te wyrazy:

— Waćpan powinienes wyjść ze służby pana wojewody... Ja mu dobrze życzę. Wam tu grozi niebezpieczeństwo... Nie mogę mówić jaśniej. Proś waćpan, aby go odprawiono... Znajdzie się później inne miejsce, odbierzesz waćpan wiadomość. Rozumiesz?

Godziemba wybaknął coś niejasnego, Dumont pierzchnęła co prędzej. Choroba jej i ból głowy tegoż dnia ustały.

Pan Tadeusz wprost z ogrodu pobiegł do oficyny, myśleć, co ma poczynać.

Nie czuł się zupełnie czystym na sumieniu, słowa więc guwernantki utkwiły w niem. Żał mu było dwór opuszczać, a do tego trudno nawet: wojewoda jako wychowawcem nim rozporządzał, sądził, że miał nad nim prawo życia i śmierci. Prosząc o uwolnienie, Godziemba

musiał się zrzec raz na zawsze protekcyi, pomocy, wszystkiego, co mu przyszłość mogło zapewniać. Krok ten pozbawiał go jedynego przytułku. Wprawdzie Francuzka obiecała jakieś inne miejsce, ale jakąż wagę mogły mieć jej wyrazy?

Chodził Godziemba po swej izdebce, włosy targając, gdy go do starosty powołano.

Ten miał na niego ciągle oko, widząc go roztargnionym i smutnym, a że sam był człowiek młody i wchodził we wszystkie młodości bóle i choroby, postanowił przez litość przy pierwszej sposobności gdzieś mu się dać po świecie przewietrzyć.

Miano ważne papiery wysłać do gubernatora w Humanu, wojewoda kazał sam, by je któryś z roztrośniejszych dworzan wręczył i odpowiedź dostawił. Starosta Zawidecki był pewien, że Godziembie tą podróżą łaskę wyświadczy.

— No, panie Tadeuszu — odezwał się — pakuj acindziej troki, czy tłómaczek: jedziesz z papierami do Humania.

Godziemba stał, wcale nie pokazując po sobie wesołości. Spadało to na niego zbyt nagle, nim się miał czas rozmyślić, co zrobić z radą madamy i z sobą. Rozpaczliwe usposobienie od czasu zaręczyn wojewodzianki pchało go do jakiegoś kroku szalonego. Czuł, że pozostać tu dłużej nie powinien. Nie wiedział jeszcze, co z sobą robi, ale mu na rękę było wyrwać się na swobodę. Dziecinna miłość nie miała celu i była szaleństwem, od niej samej uciekać należało.

Jeszcze myślał, w jaki sposób odpowie, gdy starosta Zawidecki zawołał zdumiony:

— A toż co jest? Słyszałeś waćpan? jedziesz do Humania.

— Jestem chory — rzekł Godziemba — pan starosta przebaczy.

— Właśnie widzę, że waćpan chory jesteś, i dlatego wysyłam go. Młodemu niema nic zdrowszego, jako dobrze się przetrząść i aurę odmienić.

Godziemba, zamiast podziękować, stanowczo odparł:

— Nie pojedę.

Marszałek osłupiał.

— Mości Godziemba — zawołał — u nas we dworze niema nie, póki kto jest na służbie pana wojewody, acan to wiesz. Gdybym jego odpowiedź odraportował, wiesz konsekwencye, jakieby za sobą pociągnęła?

— Jestem chory — mruknął Godziemba — i proszę o uwolnienie ze służby.

Usłyszawszy to, starosta uszom prawie nie chciał wierzyć.

— Co waćpanu jest? jaka chandra go napadła? — zawołał — mam nad nim litość, życzę się pomiarkować. Waćpan nic nie masz na świecie oprócz łaski pana wojewody, a jeśli ją stracisz...

— Pan Bóg nad sierotą — westchnął Godziemba.

Widząc ten upór, marszałek popatrzał i z życzliwością zbliżył się do niego.

— Ale powiedzże mi, co ci jest? to niezrozumiałe.

— Nic mi nie jest — począł Godziemba kwaśno — łaskę pana starosty umiem cenić, ale... ale ja postanowiłem iść w świat, tu się zestarzeję i z dworzanina nie wyjdę, a łaska pana wojewody...

Nie dokończył, starosta głową dziwnie trząśł.

— Jak sobie chcesz — odezwał się zimno — tylko ponieważ nawet wartogłowów gubić nie lubię, daję czas do namysłu do jutra... Do Humania pojedzie Dę-

bicki, waćpan się namyśl, a jeśli bunt chcesz podnieść, jakiego sobie piwa nawarzysz, takie pić będziesz...

Skłonił się Godziemba i wysunął się za drzwi.

— W tem coś jest — rzekł sam do siebie starosta Zawidecki. Przywołano natychmiast Dębickiego, który z radością pobiegł po konia i przyjął polecenie. Wieczorem starał się wybadać marszałek towarzyszków Godziemby, czy się z kim nie powaśnił, czy co nie znałował, lecz nikt o niczem nie wiedział.

Tymczasem Tadeusz, do swej izby na górę poszedłszy, z myślami się bił i sam do stanowczego kroku podbudzał. Wziąwszy na rozum, doszedł teraz, iż madame, która była przy wojewodziance, musiała nie darmo ostrzedz go o niebezpieczeństwie. Bebuś mógł dosledzić jego wycieczki w ogrodową ulicę i znaki dawane. Niebezpieczeństwo w takim razie mogło być w istocie groźne, gdyż wojewodę znano z tego, iż się miał za pana życia i śmierci swych podwładnych. Opowiadano po cichu rozmaite stare dzieje o znikłych dworzanach, o domierzonych karach, które się krwawo zakończyć miały... Godziemba więc postanowił, nie czekając odprawy, bodaj nocą wysunąć się do miasteczka, a stamtąd w świat ruszyć. Dokąd? sam dobrze nie wiedział. O czem? to także było pytanie. Zamknawszy się w izdebce, począł od inwentarza tego, co sobie wysłużył. Kasa zawierała kilkanaście złotych, garderoba była dosyć porządna. Konia, który mu służył, zabrać nie czuł się w prawie. Westchnął biedak, lecz postanowienia nie zmienił. Nie chciał uciekać jakby przewinił, nie pożegnawszy tego, który się uważał za opiekuna i dobroczyńcę. Siadł więc list pisać z pożegnaniem do pana wojewody. Za powód w nim stawiał, iż musiał prowadzić życie beczynne i że sobie, jak mówiono naówczas, szczęścia chciał na świe-

cie szukać. Dziękował za wszystkie łaski i prosił o przebaczenie za krok samowolny. List napisawszy, odczytawszy, przepisawszy, upakował małe zawiniątko, i już ciemnym wieczorem, właśnie, gdy na kolację do marszałkowskiego stołu dzwoniono, wysunął się do ogrodu niepostrzeżony.

Starosta Zawidecki, nie widząc go przy wieczerzy, nie dał znać po sobie nic, inni sądzą, że go gdzieś wysłano. Nazajutrz rano nie było go na mszy; nie doczekawszy się na śniadanie, pan starosta posłał po niego. Doniesiono mu, że izba była otwarta, klucz w zamku, a Godziemby ani śladu. Ten, który chodził, dodał po cichu, że na stoliku list jakiś leżał. Marszałek pobiegł sam. Obejrzawszy się, nie wątpił już, że Godziemba uszedł. Był to ważny wypadek... strasliwa niesubordynacja... bunt, samowola.

Wiedział, iż dla samego przykładu wojewoda płazem tego nie puści.

Skutki dla Godziemby, gdyby się go pochwycić udało, mogły być strasliwe: więzienie o chlebie i wodzie, któż wie? w pierwszym impecie może skazanie na karę cielesną. Żał mu się zrobiło młokosa, radby był zwłoc raport do wojewody, ale już w całym dworze wiadziano, domyślano się, szeptano, że Godziemba uszedł. Nie było więc sposobu, tylko list odnieść i o tem, co się stało, oznajmić.

Potocki rozdrażniony był właśnie i gniewny, tyśiącem różnych spraw go męczono. Gdy starosta wszedł, list schowawszy za suknię, chodził po kancelaryi, brodę ogoloną gładząc i trąc, co było najgorszym znakiem. Odwrócił się ku niemu: godzina była niezwykła.

— Co mi waćpan powiesz?

Starosta Zawidecki sam nie wiedział jak zagać.

— Stała się u nas rzecz... rzecz niezwykajna, ekstraordinaryjna — odezwał się po namyśle. — Dziś rano Godziemba na mszy i śniadaniu nie był, poszedłem zobaczyć, czy nie chory, nie znalazłem go i w mieszkaniu... tylko... list...

Wojewoda brwi coraz marszczył i rękę wyciągnął, milcząc. Potrzeba było pismo wręczyć. Rozerwał kopertę wojewoda i poszedł z pismem do okna; marszałek śledził fizyognomię, widział, jak zbladła, i ręce się zatrząsły. List rzucił o podłogę.

— Błazen! — zawołał. — Posłać kozaków za nim, nie musi być daleko! On mi tu będzie za służbę dziękował, on, którego wychowałem i co mi winien wszystko! Patrzcie go! jakie fafry! Niech mi za nim jadą i związanego dostawią. Pięćdziesiąt bizunów na kobiercu i na odwach, do ciemnego karceresu, na chleb i wodę, żeby miał czas przyjść do rozumu.

Za służbę mi będzie dziękował!

Oczy wojewody zrobiły się straszne; starosta słuchał, ale dreszcz po nim chodził.

— Za tem pójdzie, że mi tu dalej formale i hajducy za służbę podziękują! Trzeba dać naukę...

Wtem wojewodzina uchyliła drzwi.

— Słyszalas asinǳka! — zawołał, coraz bardziej się rozogniając Potocki. — Słyszalas, co się tu u nas nowego święci? Ten smarkacz, młokos, ten niezdara, któremu nie dał umrzeć z głodu... Godziemba, nie pokłoniwszy się, poszedł precz... ledwie raczywszy mi listem za chleb i sól podziękować.

Wojewodzina zalamala rękę.

— Ale możeż to być?

Spojrzał na starostę, który ruszył ramionami, nie mówiąc słowa.

— Słyszaleś asindziej rozkaz? to zgorszenie, to skandal. Proszę mi zaraz wysłać za nim, i com dysponował, żeby się co do joty spełniło.

Starosta głowę pochylił i wyszedł.

W istocie natychmiast wyprawiono pogoń, ale wysyłając ją, pocziwy marszałek, choć surowe wydawał rozkazy, umiał wejrzeniem i ruchami dać poznać kozakom, żeby się zbytecznie nie upędzali za zbiegiem. Wybrał wreszcie takich, których znał, że Boga w sercu mieli, i umyślnie się wygadał głośno, co schwytanego czekało.

Po całym dworze rozeszła się wieść dziwna, niezrozumiała o ucieczce, a razem o gniewie okrutnym pana wojewody. Była to gratka niepospolita dla złośliwego Bebusia, który ręce zacierał z radości, myśląc o kobiercu. Obiecywał sobie być świadkiem wykonania wyroku i latał, jak opętany, powtarzając, iż Godziembę czeka pięćdziesiąt...

Gdyby śmiał, byłby z tem wpadł i do panien, lecz tu mu wchodzić, inaczej niż posłanemu, nie było wolno.

Dumont pierwsza dowiedziała się z rana w korytarzu od starszej ochmistrzyni o ucieczce i ostrożnie o tem szepnęła pannie Maryi, dodając, iż się to stało z jej rady.

Miała więc czas wojewodzianka wypłakać się w kątku, czy obmyć i uspokoić się, nim wyszła na pokoje. Ochmistrzyni upewniła madame, a ta pannę, iż choć kazano ścigać Godziembę, starosta Zawidecki tak to urządził, aby go nie pochwycono.

Przez cały dzień wojewoda chodził zagniewany i łajał, kto mu się nawinał... uciekali wszyscy... Co go dzina posyłał się dowiadywać, czy nie ujęto Godziemby, lecz ani tego dnia, ani następnego, żadnego śladu na-

wet nie nadybano i trzeba się było z tą myślą pogodzić, że mu to ujdzie bezkarnie.

Było tradycją w takim razie, gdy ktoś zawinił srodze tak, iż go więcej znać ani o nim wiedzieć chciało, że pozostałości jego uroczyscie wywlekano na dziedziniec pałacowy i wobec całego dworu, do najdrobniejszego szczątku palono. Stało się tedy trzeciego dnia, że pan wojewoda rzeczy Godziemby nakazał wyrzucić i spalić. Cały dwór był przytomny dawno już niewidzianej egzekucyi. Grozą to przejęło wszystkich. Od tej chwili nazwiska winowajcy wspomnieć, mówić o nim było najsurowiej wzbronione.

Co się stało ze zbiegłym, nikt nie wiedział. W miasteczku badani Żydzi i mieszczanie poprzysięgali, że go nikt owej nocy nie widział, nie spotkał... ani z nim mówił. W okolicy nikogo podobnego na gościńcu też nie napytali kozacy... nawet posłuchu...

Wojewodzianka płakała... chodziła do okna, choć nikogo tam już jej oczy nie spotykały... a głupi Bebuś, który w upiory wierzył, zaklinał się, iż Godziemba musiał umrzeć, bo jego ducha raz wieczorem dostrzegł przesuwającego się około pałacu. Znano karła, że plótl zawsze nic do rzeczy, i nikt mu nie wierzył.

IX.

Już na dzień Nowego Roku 1760-go znaczna liczba gości, sproszonech na wesele córki pana wojewody, do Krystynopola zjeżdżać się zaczęła.

Dostojniejszych gości stawiono w pałacu, w przeznaczonych dla nich apartamentach; innym dworzanom i

służba ustąpić musieli z oficyn; wreszcie ostatek w miasteczku miał wyznaczone kwatery, bo wszystkie domy porządniejsze i część klasztoru księży Bernardynów wzięta była w rekwizycję.

Śmiało powiedzieć można, iż co było najprzedniejszego w obywatelstwie Rzeczypospolitej, stawilo się na to wesele, o którym zawczasu głoszone, iż za pamięci ludzkiej równego mu w Polsce nie było. Nietylko książę Czetwertyński, ale wice-marszałkujący starosta Zawidecki, i łowczy nadworny Sadowski, starosta ropeczycki, w pomoc wzięty, i przedniejsi z dworzan, Lipski, Jabłonowski, Dzbański, Polanowski, Świeżawski, Świejkowski, Kamenecki, Złotnicki zajmowali się ciągle przybywającymi gośćmi, których wszelkie potrzeby kosztem wojewody zaspokajano. Samie, karety, powozy, ładowne bryki ciągnęły ze wszech stron, co chwila oznajmowane. Ruch we dworze był ogromny, dzień i noc nieustający. Ściągnięto w pomoc służbę od gubernatorów dóbr, część nawet żołnierzy wojewodzińskich musiano w liberyę poprzybierać, aby wszystkiemu starczyć. W pałacu stoły nakryte cały dzień, przyjęcie ciągle, a w kuchni istne wrząco piekło.

Wojewodzina szła spać po północy, a przede dniem się zrywała, bo na nikogo się nie rada była spuścić. Wojewoda od brzasku już był ubrany i albo z oficjalistami odbywał konferencje, lub przybywających witał i odwiedzał.

W wigilię ślubu, gdy już się zjechały tłumy, gdy pałac się napelniał i same obrzędy już przygotowywać zaczęły, gdy najdosłojniejsi ze spodziewanych gości przybyli, Krystynopol przedstawiał niemal obraz stolicy czasu sejmu.

Ludzie, co po kilkadziesiąt lat nie spotykali się

z sobą, tu się witali, niespodzianie znajdując. Z całej Rusi klienci wojewody, wszystko, co mu winne było krescytwę, co żyło jego protekcją, zbiegło się dworować potentatowi, z najodleglejszych prowincji przyjaźni Potockim, spokrewnieni, cała partya dworska i Brühlowska przybyła uświetnić obchód uroczysty.

Było to jakby obliczenie sił i demonstracya przeciw Familii, szło więc wielce panu wojewodzie, aby jak najwięcej osób zgromadził około siebie i w całej ukazał się potędze. Miał prawo być dumnym, gdyż z najodleglejszych krańców przystawilo się co żyło, i nie brakło ani jednego z imion wielkich Rzeczypospolitej. Brühlowie, którzy już znaczną część zaproszonych, przybywszy, zastali, mogli też sobie winszować, iż taką siłę zapewnili do walki z nieprzyjaciółmi.

W oczach ich wprowadzie nieco dziwnie ten świat szlachecki¹ musiał się wydawać, którego znaczniejsza część przybywając z zapadłych kraju kątów przywoziła z sobą strój, fizyognomię, obyczaj przedwieczny. Z przepychem wielkim a staroświeckim występowali niemal wszyscy, bo co najwspanialszego dom miał, to starem i odziedziczonem było po przodkach... Wyszły więc na scenę kołpaki sobolowe, co Batorego może pamiętały, delie zygimuntowskie, i pasy prastare, i broń, i klejnoty jakby z muzeów zapożyczone. Niejeden pradziadowski wdział kontusz i żupan lamowy, którego właściciel oddawna rozsypał się w trumnie.

Tak samo powozy i rzędy na konie i barwa sług, staroświecką fozą ścigały oczy, ale tuż obok tego przedpotowego świata widniał już drugi, co się rozstał z tradycją i przeszłością, a wdział na się szaty europejskie, eudzoziemskie, tak samo jak językiem obcym się posługiwał. Nie sami Brühlowie występowali w perukach i

frakach, znaczna część młodzieży arystokratycznej miała na sobie ten mundur przyszłości, który dziwnie trochę wyglądał i w jednych urągowisko i niechęć, w drugich niemal wywoływał zgrozę. Samo wesele dwoisty miało charakter, gdyż było w istocie małżeństwem dwóch sfer społeczeństwa i przejednávaniem Rzeczypospolitej z obcymi żywioły. Ocierały się tu one o siebie wyższą jakąś siłą popchnięte i zmuszone, chociaż powiedzieć nie było można, czy przymierze interesów było zarazem związkiem serdecznym. Kwaśno jeszcze jakoś przypatrywali się jedni drugim, chociaż, nie okazując tego, co po myśli chodziło i w sercu się działo. Czasem można było dostrzedz uśmiech z pod wąsa i szyderstwo zmarszczek, które otaczała pięknie trefiona peruka. Przebaczano sobie nawzajem szpady i karabele w pochwach zardzewiałe...

Starosta warszawski i minister wystąpili także z przepychem, w którym smak i elegancja nadewszystko górę brały. Brühl wiódł z sobą przeszło sto koni, a dwór jego wytwornością mógł rywalizować z panami w tym samym stroju cisnącymi się na pokoje. Pomiedzy dworzaninem ministra, a przebraną po niemiecku arystokracją, nie było prawie różnicy...

Stary Brühl, który wdzięczną twarz do późnego wieku dochował, rozpromieniony kłaniał się, ścisnął, prawil grzeczności, które, będąc nałogiem, nie go już nie kosztowały. Ojciec i syn występowali we wstępach orderów, z gwiazdami u boku... jako wzory mody i smaku, którym nie sprostać nie mogło. Alojzy zmuszał się do weselości, chociaż na czole jego dostrzegłby może znający go lepiej świeżo zatarte fałdy, w których się smutek i znużenie chowało...

Niekiedy rzucał oczyma ku narzeczonej, do której zaledwie słów kilka mógł przemówić. Kobiety szeptały

pomiedzy sobą, że piękna wojewodzianka była uróżowana... Tak w istocie też było, gdyż na błądliwość przerażającą inaczej poradzić nie umiano.

Dwór jej składał się teraz z całego wieńca panien, pokrewnych domu, które za druchny służyły. Wśród tych młodych i wesołych po większej części twarzy, ofiara wyróżniała się przestraszonym obliczem i stale prawie spuszczonego oczyma.

W tem gronie piękności, choć nie w pierwszym rzędzie, wszystkich oczy zwracała jedna twarzyczka nie tyle blaskiem, ile wdziękiem. Było w niej coś mówiącego o duszy... coś rzewnego zarazem i spokojnego, smutnego i jasnego. Pociągała ku sobie urokiem świadczącym zawsze albo o sercu lub o geniuszu... o uczuciu lub rozumie... Każdemu się zdawało, że ją rozumiał i że ona go rozumieć musiała... Każdy niemal, spotkawszy jej wejrzenie, musiał zaciekawiony spytać: — kto to taki? Młodzi i starzy zaintrygowani byli tą śliczną twarzyczką, która, milcząc, mówiła tyle...

Piękniejsze pewno od niej otaczały ją dziewczęta, rozkwitłe, błyszczące barwą zdrowia, z płomienistymi oczyma, z rysami regularnymi, jak starożytne medale... ale żadna nie miała jej wdzięku. Miała ten wyraz, którego opisać niepodobna, to coś, co z niebios darem przychodzi, co dawniej czarodziejki swym wybranym przynosiły do kolebki.

Niewysłowny urok ją otaczał, jak aureola... Kryła się jakby zawstydzona, inne ją zazdrośnie zasłaniały sobą — przecież ją najwięcej widać było...

— Kto to taki? — szeptano w tłumie. I nie potrzeba było dopytywać, do której stosowało się pytanie; każdy zgadywał, że do tej z niebieskimi oczyma, ze złotym

ciężkim warkoczem młodziuchnej dziewczeczki, która zdawała się z innych jakichś światów gościem.

Pani wojewodzina możeby była wolala, ażeby ta kuzynka nie przyjechała w druchny na wesele, bo jej gasiła narzeczoną, i widziano ze zgrozą, jak młody Brühl, ledwie odstąpiwszy od swej przyszłej, gdy ujrzał w jej orszaku to zjawisko, stanął osłupiały i wlepił w nią oczy.

Po latach tylu — o cudo! poznał w niej odrazu tę dziewczeczkę, co mu się uśmiechała na warszawskim zamku, którą naówczas w rączkę był pocałował, której wspomnienie go nie opuszczało... tę, ku której tak tęsknił... Wiedział wprawdzie, że ją tu spotka, mówił sobie nawet, że wypieszczony w wyobraźni ów obraz jej, rzeczywistość zaćmi, że się rozczeruje... Niestety! — dziecko wyrosło na anioła... rzeczywistość przeszła marzenie... Cześnikówna Potocka gasiła, co ją otaczało...

Brühl zapomniiał o narzeczonej, o weselu, o oczach, które na niego były zwrócone, i byłby stał tak nieruchomy nie wiem jak długo, bo spotkał wejrzenie i półuśmiezek na jej ustach, gdyby pan generałowicz Solłohub nie ujął go w tej chwili pod rękę.

— Widzisz ją! — zawołał w uniesieniu, którego pohamować nie umiał. — Brühl! drogi przyjacielu, teraz zrozumiesz mnie może... i będziesz miał litość nade mną...

Alojzy ledwie słyszał, co mówiono do niego; myślał właśnie, jakby się mógł zbliżyć do niej. To go tak zajmowało, że się nie wahał użyć fortelu.

— Zaprezentuj-że mnie cześnikównie — rzekł — a raczej przypomnij, bo mi się zda, żeśmy podobno znajomi z sobą...

Solłohub, w przekonaniu, że narzeczony w wigilię ślubu wcale nie jest niebezpiecznym rywalem, rad z za-

dania, pochwycił go pod rękę i przecisnął się z nim do panny cześnikówny.

Zaledwie go przedstawiwszy, chciał mu dać zupełną swobodę i wysunął się. Cześnikówna piękne oczy zwróciła z dziecinną śmiałością na Brühla.

— Pani sobie zapewne nie możesz mnie przypomnieć — rzekł starosta, kłaniając się — a ja — nie jest to komplementem, ale największą prawdą — ja od pierwszego spotkania z nią do dnia dzisiejszego jej obraz miałem w pamięci i na pierwsze wejrzenie ją poznałem! Czy przypomnisz sobie pani tego chłopaka, co ją w dniu... wstąpienia na starostwo w śliczną rączkę pocałował?

Cześnikówna słuchała, wciąż się uśmiechając, zarumieniała się, pobladła, zmieszała trochę, odzyskała zaraz dziecięcą swobodę i spokój, i odpowiedziała głosem srebrzystym:

— Hrabia się pewnie mniej zmieniłeś ode mnie... ja także poznałam go... zaraz...

— Czyni mnie to bardzo szczęśliwym... — zawołał Brühl — nad wyraz szczęśliwym... Nie wiem, czy wrażenia tych lat tak są trwałe, czy jakiś dziwny urok rzuciłaś pani na mnie.

Śmiechem przerwała mu cześnikówna, i niewinnie, jak wówczas, kiedy miała główkę całą w pukle ustrojonej, popatrzała mu w oczy.

— Pan jesteś pochlebca — rzekła.

— Pozwolisz pani, ażebym ją kuzynką nazywał, od jutra będę miał do tego prawo — począł Brühl, nie zważając, że się nań zwracają oczy — i bądźmy dobrymi przyjaciółmi, proszę o to...

Mój przyjaciel Solłohub dał mi polecenia do pani, lecz spodziewam się innym razem się z nią wywiązać...

Usłyszawszy nazwisko generałowicza, panna cześnikówna, nie a nie nie zmieszana, rozśmiała się, spojrziała w tę stronę, gdzie stał, potem na chusteczkę, którą w rękę trzymała, spuściła oczy, podniosła je... i zdawała się mówić, że odgaduje polecenia, ale one ją niewiele obchodzą. Miała coś w sobie dziecięcego, naiwnego, śmiałego razem i skromnego.

— Generałowicz szczyści się jego przyjaźnią... — odezwała się po cichu.

— Wolnoż mi spytać, czy umiał sobie także życzliwość pięknej kuzynki pozyskać?

Cześnikówna niby się trochę namyślała, i cicho szepnęła:

— Pan hrabia wiesz, że nam bez pozwolenia starszych nie wolno życzliwością rozporządzać...

Trochę żartobliwości smutnej było w tych słowach, które o uczuciu nie świadczyły.

Starosta tak się zajął druchną, iż o narzeczonej zapomniał. Mniszech, którego minister wykomenderował, szepnął mu coś w tej chwili na ucho i, wzięwszy go pod rękę powoli, z zaczarowanego koła wyprowadził. Oczyma pożegnał Brühl piękną cześnikównę, zmuszony będąc odejść.

— Mój drogi — szepnął mu szwagier — wszyscy uważają, że jesteś do zbytku grzeczny w wigilię wesela dla pięknej kuzynki. Wojewodziny oczy zaczęły świecić złowrogo, musiałem cię odciągnąć. Na Boga... odłóż to na potem...

Zaledwie marszałek go porzucił, nadbiegł Solłohub.

— A co? — zapytał.

— Nie! zaledwie zaczął rozmowę, kazano mi iść precz... — odparł Brühl.

— Nie jest-że to bóstwo?! — krzyknął generałowicz.

Starosta nie umiał odpowiedzieć, czuł może aż nadto urok, co je otaczał.

Nikt nie uważał, że za odchodzącym Brühlem dwoje ślicznych oczu poszło, goniąc tęsknie, nie wstydząc się wcale tej pogoni... i nie czując, aby ona za złe mogła być wzięta.

Cześnikówna, która już od dni kilku bawiła w Krystynopolu i miała czas bliżej się zapoznać z wojewodzianką, zbliżyła się później ku niej. Piękna narzeczoną, jak nieprzytomną, stała wśród tego tłumu.

— Mówiłam tylko co z twoim przyszłym, kochana Maryo — odezwała się cześnikówna — wiesz... to bardzo miły człowiek... a myśmy z nim bardzo dawno, dawno znajomi...

I po cichu, żywo, śmiejąc się, poczęła opowiadać swoje spotkanie na warszawskim zamku. Pamiętała i o tem, bo jej to powtarzano, że naówczas ktoś sobie żart zrobił i swatał ją panu staroście, ale się do tego nie przyznała. Pomyślała tylko, iż dziwnie, dziwnie imię i nazwisko zgadł ten prorok szyderca... Wojewodzianka słuchała zimno, obojętnie, oczyma ośleplemi wodząc po sali...

Odstąpiły trochę na bok.

— Ty taka jesteś smutna i zmęczona — szczeniotało dziewczę. — Prawda! że ten ślub, to straszna zawsze rzecz... ale twój Brühl ma tak dobrą, łagodną, miłą twarz, że — jabym się go nie obawiała, i ty nie powinnaś!

Smutny uśmiezek przebiegł po ustach wojewodzianki, która sobie przypomniwała rozmowę u stołu.

— Nie dziw się mi — rzekła. — Dla ciebie to człowiek obcy, z którym zaledwie kilka słów przemówisz

w życiu, a dla mnie to pan i władca, którego mam być niewolnicą.

— Ale nigdy niewolnicą! — oburzyła się cześnikówna. — Co za myśl, moja droga! poddawać się nie trzeba, a potem... jeśli się kochać będziecie... czyż zacieży niewola?

Wojewodzianka obejrzała się, jakby lękając, aby ich nie podśluchano, gorzki uśmiech blade jej usta ściągnął.

— A jeśli się kochać nie potrafimy? — szepnęła.

— A! toby było bardzo smutno! — opierając główkę na ramieniu narzeczonej, odezwała się cześnikówna. — Jak ci się zdaje?

Popatrzały na siebie.

— Bóg jeden wie!

— A serce twoje?

Marya spuściła oczy.

Muzyka, która się w tej chwili odezwała na galerji, zwiastowała pochód do wieczerzy, pary już się wiązały. Brühl nadbiegł podać rękę narzeczonej. Cześnikówna ciekawie oczy w niego wlepiała, gdy jej towarzyszkę posłuszną i zrezygnowaną odprowadzał.

Jej, zamiast Sołłohuba, któremu kazano prowadzić jakąś kasztelanową, z powodu, iż ona, jak jego matka, z domu była Radziwiłłówną, dostał się mały kuzynek Potocki, i znikli w wirze idących do stołów.

Nie będziemy opisywali obrzędów ani dziewiczego wieczoru, ani nawet pańskiego wesela, które odpowiedziało zapowiedzianej wystawie i było — królewskie... Kawał drogi, którą szli państwo młodzi z orszakami do kościoła, kazał pan wojewoda wystać suknem ponsowem szeroko. Dzień był mroźny i słoneczny, wasy marzły szlachcie i dłonie do szabel przylegały, ale nikt dotkli-

wego nie czuł zimna, tak wszystkim w duszy ciepło było.

Brzmiała muzyka, śmigownice i moździerz zwiastowały światu *gaudium magnum*, rzucano ubóstwu srebrne pieniądze, winszowały gromady, niosły podarki kahalą, a wojewoda w poczuciu swej potęgi, marzył o daleko większej jeszcze, która dlań była dostępną...

Ktoby był zajrzał w duszę jego — znalazłby na dnie jej koronę, tak samo, jak w marzeniach rodziny stała ona za cel wszystkich zabiegów.

Z tryumfalnym marszem po błogosławieństwie JMci księdza Wołłowicza, któremu na pamiątkę ofiarowano krzyż kosztowny i pierścień — wrócili do pałacu, którego ganek, sień i przedpokoje, mimo zimy, zasłano kwiatami, aby młodemu małżeństwu drogę przyszłego życia ukwiecić.

Tłumy zaproszonych zapełniły sale i pokoje. Wielu z nich ledwie raz w życiu widziało gospodarstwo i wcale ich poznać nie mogli, witali na los szczęścia, szlachta schylała się do kolan pana wojewody i odchodziła uszczęśliwiona, gdy magnat rzucił dobre słowo.

Mówiono o księciu kanclerzu i bracie jego, że niemal całej Rzeczypospolitej familie i ich koligacye znali na pamięć, że pamiętali twarze tak, iż nigdy, mnogich panów braci przyjmując, nie wzięli Dowejki za Domejkę, a o jednym z nich, że, niby serdecznie przyciskając do piersi braci w *liberum veto*, psuł im nosy i policzki, umyślnie je trąc o ostre guziki fraka. Pan wojewoda wcale zwyczaju tego nie miał i popularności w ten sposób nie szukał. Dumniejszy daleko, skarbił sobie przyjaciół protekcją, ale ich trzymał w przyzwoitej odległości, i gdy mu się do kolan schylali, ledwie głową kiwnąć raczył.

Wśród tej cizby pan podkomorzy Laskowski znalazł się insperate ze skarbnikiem Zagłobą razem.

— Pan Jezus przy dziecięciu! — zawołał podkomorzy — a asindziej co tu robisz?

— Hm! — szepnął skarbnik — zaszczycono mnie inwitacją, trudno było odmówić? Odbyłem piękną podróż dobrą sanna, i ot mam przyjemność podkomorzego uścisnąć. To mi stanie za wiele.

Ręce sobie podali.

— Ja też — odezwał się Laskowski — zaproszony zostałem, a że z mojego powiatu nikt jechać nie mógł, jako podkomorzy przybyłem reprezentować go. Co asindziej na to mówisz?

— Co mam rzec? Wystąpił pan wojewoda, że go już nikt nie zakasuje, ale... (tu chrząknął i do ucha się pochylił Laskowskiemu) panna młoda jakby z krzyża zdjęta, a pan młody jakby nie do ołtarza na gody i do Sakramentu, ale w kręgle szedł grać... tak sobie lekko poczyną. Szkoda mi biednej wojewodzianki, którą nam ten Niemczyk konfiskuje. A no!!...

I usta sobie zatkał palcami.

— Mnie się widzi — dodał po chwili, że to nie wesele, ale obóz sposobiący się do wojny...

Laskowski się uśmiechnął.

— Żeby nie było co podobnego, jak pod Olkienikami — rzekł — w takim razie my, co tu marcypany pana młodego jeść będziemy, musimy stanąć po jego stronie! he?

— Jam stary — rzekł skarbnik — nie moja rzecz.

— Ja też — dorzucił Laskowski — ale młodzi będą mieli co robić...

Jednak — rozemiał się, obejrawszy — pamiętasz asindziej, gdyśmy razem stali czasu wjazdu na staro-

stwo? Dobry z waćpana prorok—swatałeś mu Maryę Potocką... przypominasz sobie, a los dopisał i dał mu... choć inną, ale tego samego imienia i nazwiska...

To mówiąc, wskazał skarbnikowi, gdzie między druchnami jaśniejąca pięknoscią dziewczą stała w bieli, w kwiatach i brylantach, śliczna cześnikówna.

— A oto ta... o której mowa!

Popatrzeni.

— Ponoby ją Brühl wołał od wojewodzianki — rzekł skarbnik — ale taby mu miliona nie wniosła.

— Mospanie — mrugając, rzekł Laskowski — jej oczy więcej niż dwa miliony warte!!

Rozmaite postrzeżenia czyniono tak dokoła, a wszyscy niemal z zajęciem spoglądali na bladą narzeczoną, która, mimo zabarwionego rumieńca z rozkazu matki, wyglądała smutnie.

Gniewało to panią wojewodzinę, lecz już nie czas było córkę strofować, gdy dom miała rodzicielski opuścić. Stary Brühl, dostrzegłszy w synowej tych oznak trwogi i cierpienia, poszedł sam zabawiać ją rozmową, lecz mimo całej swej zręczności i galanteryi, nie mógł na niej wymódlz nad kilka słów, w których niewiele było związku. Wojewodzina, postrzegłszy tę jego wyprawę i odgadłszy jej cel, czatowała nań w powrocie, aby wrażenie, jakiego mógł doznać, naprawić.

Stało się wedle jej woli, minister po krótkiej rozmowie cofnął się i znalazł na drodze wojewodzinę.

— Marynia niebardzo jest dziś zdrowa—szepnęła mu na ucho — trudno biednemu dziecku, co się nigdy w życiu od naszego boku nie oddalało, pogodzić się z myślą rozstania. Nieśmiała jest bardzo. Wszystko to, da Bóg, przejdzie...

— Ani wątpię — odparł Brühl, całując w rękę

panią wojewodzinę — będziemy się starali obaj z synem, aby kochanej synowej życie jak najprzyjemniuszem uczynić. Spodziewam się, że dwór, zabawy, świat...

— A! panie ministrze — rzekła pani Anna — najprzód do nich jeszcze musi nawyknąć, ale że do dobrego łatwo się przyzwyczaja... Marynia porzuci tę nieśmiałość dziecięcą... bo to jeszcze dziś dziecko...

— Mój syn — dodał minister — nie pochlebiając mu, ma charakter tak zgodny i miły, iż nie wątpię, że sobie wkrótce serce małżonki pozyskać potrafi.

— To już ma, już ma! — z przyciskiem odezwała się wojewodzina. — Marynia zna swe obowiązki, wychowana bogobojnie.

Rozmowę ktoś przerwał, i na tem się ona skończyła. Wojewodzianka do tego dnia przygotowana była, z myślą małżeństwa miała się czas oswoić, a bladłość i pomieszanie spowodowane były wypadkiem, którego nikt się nawet domyślać nie mógł.

Gdy pochód uroczysty z pałacu do kościoła się rozpoczął, że niezmierny tłum ludzi z kluczów sąsiednich i z dalszych dóbr Potockich, z Tartakowa, Wareża, Łaszczoza, Witkowa, zalegał dziedzińce i miasteczko — musiano, strzegąc nacisku ciekawych, wzdłuż suknem wysłanej drogi ustawić piechotę wojewodzińską, służbę, dworzan, a nawet i dwory niektórych panów przybyłych gromadnie na wesele. Murem więc ponad drogą stała ta straż, gdy państwo młodzi przy odgłosach marszu powoli postępowali do kościoła.

Na pół drogi od pałacu, wojewodzianka, idąc ze spuszczonemi oczyma, postrzegła u nóg jej padający bukiet róż białą wstążką związany, mimowolnie wejrzenie jej podniosło się... i ze łzami ujrzała tuż stojącego Godziembę w stroju paradnym, z głową gołą i czapką

w górę podniesioną. Błady był jak trup. Panna Marya zadrżała... drużki sądziły, że o sukno zawadziła stopą, podtrzymano ją i szli... dalej... Nikt nie dostrzegł zbiega, który się tak zuchwale, korzystając z zamieszania, zjawił w Krystynopolu, jakby urągając władzy pana wojewody. Dopiero, gdy po ślubie znowu wracali państwo młodzi, a starosta Zawidecki wśród nacisku przed niemi porządek robił, idąc, natrafił nagle na Godziembę. Nie miał czasu ani słowa rzec, ani coś przedsięwziąć — języka, jak mówią, w ustach zapomniał, zmieszał się. W głowie mu się pomieścić nie mogło zuchwalstwo człowieka, który śmiał prezentować się po takiej ucieczce... na dworze pana... Właściwie ciążył na nim dekret, skazujący go na kobierzec i więzienie! Obowiązkiem było starosty natychmiast go pochwyć i zamknąć.

Zadrzał na myśl, iż stojącego nade drogą mógł zobaczyć wojewoda, który w gniewie nagłym hamować się nie umiał, choćby nań tysiące oczu patrzyło. Pocciwy marszałek rad był szalonego młokosa ocalić — byłby utail, że go widział, ale tu, gdzie go znali wszyscy, poznali zaraz dawni towarzysze, i szmer się wszczął po przejściu orszaku między nimi.

Powtarzano imię Godziemby... szukano go oczyma, podawano sobie z ust do ust osobliwą nowinę.

— Głowa mu na karku świerzbi! — wołał Złotnicki — dosyć, aby kto słowo pisał wojewodzie, żadna moc go nie ocali... zgubiony człowiek.

— Szalona pałka! — mówił Dzbański, szukając oczyma naokół — niechby go kto pocciwy ostrzegł, aby uchronił póki cały, korzystając z tego, że tu dziś wszystko wre.

— Na miłość bożą, niech mu kto powie!

— Waryat! — mruzcili inni.

Właśnie w ganku między dworzanami i służbą była mowa o tem, gdy wolno od kościoła idący zjawił się Godziemba, jak gdyby był w domu i najbezpieczniejszy w świecie. Czapka na bakier, ręka za pasem, ubrany wytwornie... nie zdawał się ani wiedzieć o tem, że mu ziemia pod stopami gorzała. Starosta Zawidecki, który biegł właśnie rozdawać rozkazy artylerji, kiedy na jaki sygnał z moździerzy palić mają, oko w oko zetknął się z Godziembą i w pierwszym impecie rękę podniósł, jakby go za kołnierz chciał chwycić.

— Życie ci niemiłe! — krzyknął — co waćpan tu robisz?!

Godziemba cofnął się krok i rękę do szabli przyłożył.

— Co waćpanu, panie starosto? albow to ja poddany wojewody, co mu zbiegł z gruntu? Szlachcic jestem, nie przymierzając, jak i on, podziękowałem za służbę, wziąłem inną i z dworem moim tu przybyłem!

— Z jakim u licha dworem? Myślisz, że wojewoda ceremonie z waścią albo z jego protektorem czynić będzie? Co ci się śni!...

A cicho dodał, nagle:

— Zmykaj, człowiecze! mówię ci... zmykaj, pókiś cały...

Godziemba ramionami ruszył.

— Ani myślę — rzekł.

Wszyscy się skupili, okrążając go dokola.

— Z kimże u dyaska przybyłeś? — zapytał się starosta.

— Z panem starostą warszawskim, do którego dworu mam zaszczyt się liczyć.

— Licho cię tu przyniosło! — mruknął marszałek — wolałbyś był w Młocinach zostać. Widzieli cię wszy-

scy, jak nie zamelduję o was wojewodzie, na mnie potem gniew wyrze; pij-że sobie piwo, jakiegoś nagotował.

— A pewnie! pewnie! — odezwał się obojętnie Godziemba, obie ręce kładąc za pas.

I z najzimniejszą krwią został z innymi w ganku.

Ponieważ do wojewody dnia tego dostąpić nie było podobna, starosta Zawidecki też nie chciał śpieszyć z raportem, któryby gody pomieszał, nikt zaś Godziemby tknąć się nie ważył, śmiały chłopak pozostał swobodnym. Zdawało się wszakże, jakby biedy szukał i jej się napraszał. Z dworzany rozmawiając, z ganku wszedł do przestronnej ogrzanej sieni, w której się ciągle służba i panowie przewijali. Wojewoda niejedną raz wśród dnia, sam wydając rozkazy, musiał wychodzić.

Już czas obiadowy się zbliżał, gdy w chwili, kiedy go się najmniej spodziewano, wyszedł wojewoda, szukając Mniszcha, który był na chwilę z sali się wymknął, a tam go Brühl zapotrzebował. Przebiegając oczyma zgromadzonych, wojewoda zobaczył i poznał Godziembę. Zdało mu się zrazu, że się omylił, jakkolwiek czasu miał mało, szybko ku niemu przystąpił, a widząc, że go oczy nie zwiodły, zmarszczył brwi.

— Co ty tu robisz? — krzyknął gniewnie — ty łotrze niewdzięczny... ty!...

— Przybyłem z dworem pana starosty warszawskiego, do którego należę — odparł śmiało Godziemba. — Łotrem nie jestem... Nie uciekałem, ałem, za służbę podziękowawszy, odszedł. Szlachcic jestem, nie poddany.

Wojewodzie usta zadrżały, dziki uśmiech je ściągnął, oczy błysły, ręką miał dać znak jakiś, i wstrzymał się, popatrzał na Godziembę długo.

— Masz szczęście, trutniu, że dziś taki dzień. Precz mi z oczu, precz mi z oczu!

Dłoń wojewody drżała. Godziemba z wolna skłonił mu się i, wcale nie śpiesząc, odszedł ku drzwiom, a oczy Potockiego ściagały go do progu. Przez tę króciuchną chwilę wojewodzie w ustach i gardle zaschło... otarł czoło ręką — i pierwszego, jakiego spostrzegł, dworzanina wysłał po starostę Zawideckiego.

Historya rozgłosiła się zaraz i rozniosła od ust do ust, spodziewano się okropnej zemsty jakiejś, ale dzień upłynął, a Godziembie włos nie spadł z głowy.

Bebuś, który na tę uroczystość przepysznie został wystrojony i razem z Bebą na usługach wojewodziny był ciągle, korzystał z dawanych mu rozkazów, aby czynić wycieczki ku rozmaitym częściom pałacu, w zwyczajnych dniach mu niedostępnym. Parę razy wdarł się do panien do garderoby, pozwalając sobie żartów nieprzyzwoitych, kilkakroć zawitał do piwniczego i butelek, pełną kieszeń nalapał cukrów ze stołu, w ostatku na ganek się wyrwał i tu posłyszał, gdy o Godziembie sobie rozpowiadano. Schwytawszy tak doskonałą plotkę, powrócił z nią co najprędzej za krzesło wojewodziny, czatując na chwilę, gdy jej będzie mógł to podać do ucha. Dopatrzył wreszcie wolnego momentu i szepnął, że Godziemba był we dworze i postawił się ostro panu wojewodzie.

Wojewodzina była jeszcze surowszą od męża, z siebie więc sądząc, nie wątpiła, iż katastrofa nastąpi, której tego dnia rada była uniknąć. Gdy potem po raz pierwszy zbliżył się do niej mąż, odwiodła go na bok.

— Zjawił się, słyszę, Godziemba — szepnęła mu na ucho — czyście go już kazali zamknąć?

— Nie — odparł wojewoda — zmitygowałem się. Chwalił mi się, że do dworu Brühlów należy, to mi wszystko jedno. Dziś frej, nie przystoi mi tego dnia truć.

Jutro go wezmą i w kajdankach do Niemirowa zawiozą.

Wojewodzina nie odpowiedziała nic. Bebuś, który był za krzeselkiem ukryty, słyszał wszystko i uradował się niezmiernie.

W tej chwili kapela huknęła, i wojewoda pośpieszył, gdzie go obowiązki powoływały.

X.

Już było dobrze z północy, gdy państwa młodych, wedle obyczaju polskiego, uroczyste do ich apartamentów odprowadzono. Tu, w salce do niego przypierającej, Brühlowie przygotowali cukrowe gody dla łaskawych gości. Wojewoda występował po królewsku, minister też nie chciał się dać zaćmić, choć ta wieczerza nie dozwalała mu tak się okazać z bogactwem swem i przeplechem, jakby był życzył sobie.

Od kilku dni służba pana ministra miała salę pod swym kluczem, przybyłe wozy wyładowywano, a przystrojenie odbywało się tak tajemnie, iż najciekawszi, do których Bebuś się liczył, przez dziurki od klucza tylko dopatrzeć mogli, iż się tam pilnie krzątano. Słysząc było stukanie, stąpanie, brzęk. Wnoszono pudła, kufry i kosze, ale przed przyjęciem państwa młodych z miejscowych nie dopuszczono nikogo. Zbywano się natrętów bardzo grzecznie, ale bardzo stanowczo, składając się rozkazami jego ekscelencyi.

Gdy nareszcie na dany znak otwarły się drzwi salki, ujrzano coś jakby z tysiąca nocy wydarty obrazek. Całe ściany salki wybite były świeżych farb gobelinami, przed-

stawiającymi w wieńcach kwiatów girlandy aniołów i obrazy mitologiczne. Jedną ścianę całą zajmował kredens, od stropu do posadzki lśniący nagromadzonemi naczyniami złocistemi, półmiskami i misami ogromnemi jak tarcze, dzbanami, roztruchanami, beczkami. Konew złocista, w której butle stały, podparta na dwóch smokach, zdawała się z nimi razem na straży tego skarbcza ustawioną. Z obu jej stron dwa stoły, całe kute ze srebra, przedziwnej roboty kielichami różnych rozmiarów i barw zastawione były. Nie tyle tu kruszec oczy ścigał, co misterna robota, która daleko cenę jego przewyższała.

Całą posadzkę miękkimi wysłano dywanami. Po rogach w wielkich kandelabrach brązowych płonęły świece, piramidami piętrzące się do góry. Porcelanowy pajak nad stołem lśnił także i światłem jarzącem i kolorami świeżymi swych kwiatów. Z pośrodku ich wychylone amorki zdawały się róże i lilie ciskać na głowy gości.

Stół wielki, który się ciągnął przez całą salę, pięknoscą zastawy wszystkie te przewyższał cuda. Środkiem jego w wazonach olbrzymich, ustawiono żywe kwiaty, trudne do rozróżnienia od porcelanowych ich rywalów. Z obu ich stron na zwierciadłach rzędami nimfy i amory, pobrawszy się za ręce, przeglądaly z za kryształowych kielichów. Całe nakrycie stołu, talerzyki, noże, łyżki, widelce były złote.

Na misach, w koszach z porcelany i srebra stosy cukrów i owoców włoskich, smażonych i świeżych, nęciły oczy, a gdy ucichła kapela, która państwa młodych przeprowadzała, wśród chwilowego uciszenia, niewidzialna, jakby z niebios muzyka, cicha, łagodna, melodyjna, dała się słyszeć zdumionym gościom, którzy ani instrumentów, ani grających na nich, ani miejsca, skąd płynęły te dźwięki, odgadnąć nie umieli.

Czarodziejski ten chór stłumiony, niby daleki, oczarował gości. Zamilkli wszyscy, słuchając.

Hymn jakiś uroczysty brzmiał, jakby z za jedwabnych wychodząc opon, które ściany okrywały. Niekiedy cichnął, niby się oddalając i ginąc, to znowu zbliżał się, podnosił, wzmacniał, aż nareszcie... skonał w niedosłyszaniem westchnieniu...

Natenczas Brühlowie naprzód państwo województwo oboje, potem dostojniejszych gości do stołu zapraszać zaczęli. Kielichy już były nalane, pili więc, kto się tu potrafił docisnąć, bo ledwie cząstka gości mogła miejsce znaleźć, zdrowie młodych państwa. Tymczasem biskup Wołłowicz szedł poświęcić pokoje i łóża...

Szturm przypuszczono do stołów, w mgnieniu oka je opróżnił, i natychmiast napełniły się jakby czarodziejsko nowemi misami, nowymi cukry i słodyczami. Jedni wychodzili, wchodzili z kolei drudzy, tymczasem u drzwi klęcząc państwo młodzi powtórnie wzięli błogosławieństwo rodziców i drzwi się za nimi zamknęły.

Wojewodzianka, osłabła niemal ze znużenia, wprost poszła do klęcznika, który stał w jej pokoju. Na nim, przy starożytnym obrazie N. Panny Częstochowskiej, paliły się świece, leżała wspaniale oprawna księga. Padła przed nim na kolana, głowę złożyła na rękach złamanych i tak pozostała nieruchomą. Brühl cofnął się do drugiego pokoju i spokojnie usiadł na krześle. Zegar na kominie wskazywał pierwszą po północy godzinę. Zdała słyhać było niekiedy huczniejsze tony pałacowej kapeli i okrzyki szlachty, spełniające zdrowia wojewody i dygnitarzy.

Cisza tych kilku komnat, mrok, który w nich panował, odbijały smutno jakoś od wrzawy, która dochodziła zdaleka i miała w sobie coś dzikiego niemal.

Z krzesła, na którem usiadł Brühl, przez drzwi otwarte widać było tę kobietę w bieli, w wienku, z pochyloną głową, nieruchomą, jak marmurowy posąg na grobowcu. Pół godziny upłynęło w oczekiwaniu—wojewodzianka nie drgnęła nawet. Starosta wstał i przeszedł się po sypialni. Na twarzy jego malowało się najdobitniej — znudzenie... Ziewał niekiedy, zasłaniając się ręką, zdawał się czekać niecierpliwie, jak się skończy, i żadne inne uczucie nie rozplómiło mu twarzy.

Spojrzenie na zegar, którego skazówki zółwim krokiem zbliżały się ku drugiej godzinie, zdało go się nareszcie natchnąć jakimś postanowieniem i odwagą.

Zwolna przestąpił próg pokoju żony, zbliżył się do klęcznika i, popatrzawszy na nią chwilę, odezwał się głosem stłumionym:

— Proszę mi przebaczyć, że przerwę modlitwę...

Wojewodzianka zwolna podniosła twarz bladą, po której ciekły dwa łez strumienie... Brühl, który już chciał mówić, wstrzymał się. Litość odmalowała się na twarzy i zafrasowanie razem.

— Godzina bardzo spóźniona — rzekł — pani-by należało odpocząć, ja pójdę do mojego pokoju — wskazał na drzwi garderoby. — Mogłbym zadzwonić na służącą.

Widząc, że Marya drżała ciągle, dodał głosem pełnym łagodności:

— Niech się pani uspokoi, proszę mi wierzyć, nie jestem ani złym, ani grubiańskim, ani natrętnym... Pani jesteś zupełnie swobodną, a moje prawa ograniczają się do służenia jej i, jeśli podobna, osłodzenia losu, z którym, niestety! przejednać się potrzeba. Pani jesteś okrutnie zmęczona? Nieprawdaż? Potrzebujesz spoczynku?

Marya nie odpowiadała nic.

Brühl, widząc, że się chwiała, chwytając za klęcznik, podał jej rękę i podprowadził do krzesła, na które, jak złamana, upadła.

Jakiś czas patrzył na nią; westchnął.

— Chciałem pomówić, uspokoić, ale dziś nawet najłagodniejsze wyrazy byłyby barbarzyństwem. Zadzwonię na służącą i dam pani dobranoc...

To mówiąc, oczyma szukał dzwonka, którego nie było, poszedł do drzwi, przez które wyjrzał. Przedpokój był pusty. W drugim dopiero dwie garderobiane, wsparte na stole, szeptały z sobą. Dał im znak i sam zniknął. Przechodząc około żony, wziął ją za zwieszoną rękę, pocałował i szybko usunął się do swojego pokoju.

Tu także nie zastał nikogo.

W drugim spało dwóch lokajów. Popatrzał na nich, nie budząc, świece ustawił bezpiecznie i wrócił do gabinetu, w którym szeroka sofa za wygodne stała łóżce.

Przez dni kilka trwały uroczystości weselne, ale trzeciego już część gości rozjeżdżać się zaczęła. Państwo młodzi przysposabiali się do drogi. Z wielką pociechą wojewodziny, niepokój i trwoga młodej starościny, tak widoczne dni pierwszych, zwolna jakoś ustępowały. Nie była wesolą, ale zdawała się przytomniejszą — spokojną. Brühl pozostał jak był chłodnym, uprzejmym dla wszystkich, w potrzebie wesółym, ale, gdy konieczność ta ustąpiła — poważnym chętnie i nieco zamyślonym.

Trzeciego dnia, gdy już mniej nieco gości pozostało w Krystynopolu, a generałowicz Solłohub ciągle jeszcze dosiadywał, nie chcąc z oczu stracić ubóstwianej cześnikówny, napadł znowu przyjaciela Brühla, aby za nim przemawiał.

Starosta dosyć kwaśno przyjął zrazu żądanie.

— Mało znam cześnikównę — rzekł — moje słowo

wcale u niej ważyć nie będzie. Co ci w głowie? Uproś swoją krewną Radziwiłównę... koligatów... starszych zresztą i poważniejszych ode mnie, ja ci się na nie nie przydam.

— Przepraszam cię — przerwał Solłohub. — W tej chwili, kiedy ty jesteś cały swem szczęściem zajęty...

Tu Brühl nieznacznie ruszeniem ramion mu odpowiedział.

— Jabym cię nie nudził tem — ciągnął dalej generałowicz — ale mam powody, dla których to czynię. Wczoraj jakoś, korzystając z zamętu, udało mi się przysunąć do panny i zawiązać rozmowę. Chwaliłem się jej twoją przyjaźnią... mówiliśmy o tobie... powiedziała, że takiego, jak ty, przyjaciela zazdrości. Dziewczę takie szczere i naiwne, nie mogło ciebie się nachwalić. Masz u niej łaski...

— A daj-że mi pokój — przerwał niecierpliwie Brühl.

— Użyj ich na korzyść swoją!

I Solłohub począł go ścisnąć, a nareszcie, ująwszy pod rękę, zaprowadził do cześnikówny i przy niej go posadził. Dziewczę się zarumieniło z radości, nie kryjąc z nią, uśmiechnęło się wdzięcznie.

— Tego szczęścia się nie spodziewałam, ażeby pan starosta chciał się nudzić ze mną. Ale to poświęcenie dla przyjaciela...

Solłohub był odszedł. Brühl siedział jak na torturach. Przez te trzy dni patrząc na cześnikównę, rozkochał się w niej na zabój. Miłość owa dla ideału, która lat tyle rosła w duszy powoli, teraz, za zbliżeniem się do niego, rozplamienila się, paliła go, jak szata Nessusa. Obawiał się z nią zdradzić, a niewinne dziewczę, nie wiedząc o tem, czując tylko instynktowo w jego duszy ży-

czliwość i sympatyę, narzucało mu się wejrzeniami i całym wdziękiem, którego nie znało potęgi.

— Wie pani, że to rzeczywiście poświęcenie — rzekł Brühl, odważając się wreszcie spojrzeć jej w oczy i prędko odwracając wzrok — a! tak jest, to poświęcenie rzeczywiste przemawiać za kimś... tam, gdzie tylko za sobą mówić bierze pokusa.

Cześnikówna niby czy doprawdy nie zrozumiała, podniosła niebieskie źrenice i jak w tęczę spojrzała na niego.

— Pani mnie nawet zrozumieć nie możesz, pani nie znasz tego do siebie, iż jesteś niebezpieczną istotą... a Solłohub nieroztropny prawdziwie, że mnie na ogień tych ślicznych jej oczu naraża!

Rumieniec wystąpił na twarz panny cześnikówny.

— Że też panowie z tego wielkiego świata nie możecie się zbliżyć do nas, żebyście nam nie prawili tych komplementów! — Westchnęła. — Doprawdy, mnie się zdawało, że pan starosta musisz być szczerzym i prawdziwszym. O tych oczach i o ich potędze słyszę ciągle... to tak nudne!...

Uśmiechnął się Brühl.

— Daruj-że mi pani — rzekł — ale zaklinam się na wszystko, co mi najdroższe... mówiłem prawdę; czułem, co mówiłem! powiedziałem to mimowoli, choć mi nie wolno... i choć pani gniewać się możesz...

— Gniewać się? ale nie... tylko wołałabym mówić i słyszeć co innego. Słyszałam, że pan starosta tyle rzeczy umiesz... masz tyle dowcipu... a dla mnie przynosisz ten chleb powszedni, który dają ubogim...

Starosta, słysząc te słowa, zamyślił się smutnie.

— A! pani, gdybyś wiedziała, jak jesteś bogata — rzekł, jakby mimowolnie się unosząc. — Ale—milczę! Cóż mam mówić za Solłohubem?

— Mówmy o czem innem — spuściwszy oczy, odezwała się cześnikówna.

— Dałem mu słowo, że sprawę jego u pani będę popierał. Niestety! — rzekł Brühl z zapalem — nie potrafię dotrzymać obietnicy... Gdyby to nie było szaleństwem i zbrodnią, powiedziałbym pani: ani Sołłohuba, ani nikogo w świecie!! Popatrzawszy na panią dwa dni, człowiek staje się wściekle zazdrosnym.

Znowu cześnikówna zdawała się nie rozumieć, spuściła oczy, ale się nie pogniewała, a po chwili szepnęła:

— Po drugich dwóch dniach i zazdrość i pamięć... odchodzi!

— Omyliłem się — poprawił Brühl — ja lat dzie sięć nieustannie na nią patrzałem...

Oczy cześnikówny podniosły się.

— Tak jest, pani, od tej chwili jakieś pani podała mi rączkę do pocałowania na warszawskim zamku... miałem ją ciągle przed oczyma, aż do tych dni... Rosłaś pani w mych myślach... patrzałem, jakieś rozkwitała... Cóż dziwnego, że taka stara... — tu wyrazu zabrakło — że taki stary... — poprawił się, zmieszał — że jednym słowem, jestem zazdrosny...

Nastąpiło milczenie.

— Ale przyjaźń, panie starosto — odpowiedziała zwolna panna Potocka — wszak przyjaźń zazdrosną być ani powinna, ani może...

I oczyma zmierzyszy go, dziwnie potrząsała śliczną główką, a loczki, co ją otaczały, kołysały się na ramionach, i każdy z nich zdawał uczucia swej pani podzielać i wyrażać. Mówiły wszystkie Brühlowi: Czyż się to godzi być takim bałamutem?...

Widząc, że się na nich oczy zwracają, Brühl chciał już wstać.

— Muszę panią pożegnać — szepnął cicho — choć radbym, aby mnie do tego krzesła przykuto. Ja ludziom zazdroszczę, ale widzę, że oni mnie też strasznemi mierzą oczyma. Sołłohub zabija wejrzeniem.... Soltyk... zastrzeżeliby mnie, gdyby mógł i umiał... nie wiem, ilu posiekałoby mnie na kawałki... Odchodzę... ale — ponieważ dałem słowo przyjacielowi, wstawiam się za generałowiczem... bądź pani na niego łaskawą!

Brühl wstał z krzesła.

— Usiądź pan na chwilę — odezwała się cześnikówna. — Muszę się mu wypowiedzieć. Jestem sierotą... nie mam matki, coby mnie spytała, kogo ja chcę i kogo wybieram... Opiekunowie mną rozporządzają, jak zechcą. Dziś, jutro, nie wiem, powiedzą mi: — Oto twój przyszły! — Wybiorą mi jak najlepiej podług siebie... ale... będę przyjać musiała, co mi los narzuci... Cóż to pomoże Sołłohubowi, choćbym mu była życzliwą?...

Westchnęła cześnikówna.

— A serce pani? wolno spytać — rzekł Brühl zeicha — mówi ono za nim?

Potrząsała główką i mocno się zarumieniła.

— Ani za nim, ani przeciw niemu... Serce moje... ja nie wiem... nie pytałam go o to... milczy. — A gdy oczy podniosła, była w nich jakby łez zasłonka przejrzysta, w których się umyło spojrzenie. Podała rączkę starości... i umilkła. Alojzy odszedł trochę pijany, trochę zmieszany, tak, że gdy niecierpliwy Sołłohub przystąpił do niego badając, starosta nie mu na razie odpowiedzieć nie umiał.

— Mnie się zdaje — do ucha mu nareszcie wrzucił — że... ma dla ciebie szacunek! wiesz co to znaczy, ale więcej nie... Zdaje mi się też, iż serduszek jej nie wolne... kto tam zbada kobietę!

Rezolutnie bardzo generalowicz ręką rzucił.

— Wiesz co? — odezwał się — jam tak głupi, czy taki niepoczciwy przez to kochanie, że byle moją była... ja więcej nie chcę.

— A serce?

— Zdobędę... przekona się, pozna! zlituje! Powiesz, żem szalony, ale ja... ja bez niej żyć nie mogę...

Cóż było odpowiedzieć na to? Starosta z góry popatrzył na przyjaciela, uściśnął go i zniknął.

Gdy się to działo, a dwaj starzy towarzysze rozmawiali z sobą, oczy panny Maryi ciągle ku nim były zwrócone, jak gdyby odgadnąć chciała, o co pytał Solohub i co mu starosta odpowiadał. Czy odgadła... ze spokojnej jej twarzyczki wyczytać było niepodobna.

Po kilku dniach pobytu w Krystynopolu, wyjazd państwa młodych do Warszawy i Młocin, gdzie zamieszkać mieli, został na piętnasty stycznia oznaczony. Tymczasem przodem szły przeprzęgi, furgony, dwór, wyprawa pani i fraucymer, jaki jej matka przydawała. Dumont płakała ciągle, nie mogąc się oswoić z tą myślą, że najdroższą utraci. Zbliżyła je do siebie jeszcze więcej, niż dawniej, wspólna obu tajemnica... Wojewodzianka miała w niej pocieszycielkę i powiernicę. Ona jej wytłómaczyła zniknięcie Godziemby i ona nazajutrz po ślubie szepnęła, że zuchwały chłopiec znalazł się najdziwniejszym sposobem na dworze jej męża, nie uląkwszy się z nim przybyć do Krystynopola. Naówczas przyznała się dopiero Marya przed madamą, że ona go w dzień ślubu, idąc do kościoła, widziała. Trwoga była wielka obu, ażeby go nie pochwycono. Dumont nie śmiała się dowiadywać, ażeby nie zwracać uwagi, nie wytrzymała wreszcie i trzeciego dnia, spotkawszy w korytarzu starostę Zawideckiego, zaczęła go ostrożnie o Godziembę:

— Prawda to, że się w czasie wesela wrócił i śmiał stawić przed wojewodą?

Starosta, człek dobrego serca, ruszył tylko ramionami.

— Niestety! — rzekł — młodzieńcze zuchwalstwo nie zna granic.

— Cóż się z nim stało? — spytała Dumont.

Zmieszał się starosta widocznie.

— Prawdziwie nie wiem — szepnęła, oglądając się — a raczej, powiedzieć nie mogę...

Uklonił się i odszedł.

Odpowiedź starosty miała złe znaczenie, a choć tajemnica we dworze była ściśle zachowywana, najprzebieglejszy ze szpiegów, który wszędzie się wcisnąć i podsłuchać musiał, Bebuś, wiedział, że z rozkazu wojewody pochwycono Godziembę, i, jak powiedziano, wsadzono go tak, że więcej światła dziennego ujrzeć nie miał.

Dowiedziała się o tem madame, ale, nie chcąc przerażać Maryi, zmilczała o tem przed nią, zapewniając, że się mu ująć udało.

Państwo młodzi, po urcozystem pożegnaniu, przy którym popłakali się wszyscy, prócz ojca, bo ten łzy, choćby je miał na powiekach, ukrywał, aby się słabym nie okazać, wyruszyli z wielką kawalkatą i dworem do Młocin i Warszawy...

Pani starościna zbyt była rozżalona, opuszczając Krystynopol, siostry, brata, swoją jedyną przyjaciółkę Dumont — i całą przeszłość, której tu wspomnienia zostawały, aby boleć nad losem nieszczęśliwego Godziemby. Usłyszała tylko wypadkiem, że mąż jej dowiadywał się o dworzanina, którego polubił i który znikł mu w Krystynopolu. Nikt się nie zdawał domyslać, co się z nim stało; składano na jakąś plochość młodzieńczą, na

jakiś wybryk niesforny, na przypadek niedocieczony ujście nagle Godziemby, spodziewając się jego powrotu.

Tymczasem biedny chłopak, który nie przypuszczał, ażeby swobodnego szlachcica z orszaku własnego zięcia wojewoda mógł kazać chwytać, a po pierwszym widzeniu się ze starym miał się już za ubezpieczonego, padł ofiarą swej nieopatrzności. Wojewoda nawykły był do ślepego posłuszeństwa od wszystkich, miał jednak ludzi, na których więcej niż na innych rachował. W staroście Zawideckim zawsze się domyślał zbyt miękkiego serca, i do spraw, w których więcej hartu było potrzeba, posługiwał się innymi.

Podkoniuszy Wileczek, a zwłaszcza niejaki Zarębski szczególnie się w takich razach odznaczał. Znał go wojewoda z tego, że go nie nie kosztowało choćby zamordować człowieka, byle rozkaz dostał. Gdy szło o plagi, o burdy — o wymiar ostrej sprawiedliwości, Zarębskiego wołano.

Człeczek był niewielki, od konia miał nogi wykoszlawione, barczasty, szeroki, brzuchaty, opój sławny i koster... małowówny, ale do awantur śmiały mu się oczy. Temu wojewoda drugiego dnia przykazał, aby Godziembę wziął tak, aby hałasu z tego nie było. Zarębski, który go dobrze znał, wyszukał zaraz, nie spuścił z oka, zaprosił do siebie na warcaby, a zwabiwszy do izby, mając w pogotowiu dwóch drabów, związać kazał, zakneblować i zanieść do lochu pod wieżą na bramie... Godziemba się bronił mężnie, żołnierzy pozakrwawiał, sam dostał dwie rany, lecz w końcu go obalono i wzięto. Loch ten, do którego wrzucono go, służył tylko dla więźniów najciężej obwinionych. Był to karcer in fundo, bez okien, wilgotny, zamknięty na dwie kłódki żelazne. Chleb i wodę przez okienko stróż więźniowi podawał, które we

drzwiach na ten cel było zostawione. Można tam było zgnić zapomnianym, jeśli wojewoda nie spytał o więźnia.

Z izby, w której Zarębski pochwycił Godziembę, do lochu było przejście przez korytarz i podziemie, w których się tylko żołnierze kręcili. Tu, choćby kto spotkał prowadzonego, nie bardzo zwracał na to uwagę. Rzecz była w Krystynopolu nie nowa, a o tem, co się działo z rozkazu pana, mówić nie śmiano. Gdy miotającego się Godziembę niesły prawie na rękach wojewodzińskie ciury, żywej duszy nie było na drodze. Starosta Zawidecki dowiedział się o uwięzieniu, gdy było dokonane. Ratusz już nie widział żadnego.

Gdy ojca Godziemby zasiekano dla miłości pana wojewody, a dziecko przez litość do Krystynopola wzięto, nie miało ono nikogo na świecie, oprócz swej mamki, kobiety, o której wspomnieliśmy, a która, straciwszy własne dzieci, do swojego wychowanka na iętnie się po macierzyńsku przywiązała. Dla miłości jego przywlokła się Sawaniha do Krystynopola i w miasteczku poszła służyć, dlatego tylko, żeby, jak mówiła, dziecko swoje czasem oglądać. Kobieta już była niemłoda, lecz silnej budowy, do pracy nawykła, istna wiedźma ukraińska, gdy postarzała. Twarz miała wyschlą i spaloną, włosy siwiejące rozczochrane, wejrzenie dzikie, charakter nieumozony: lecz za dwie robiła, nie nużyła jej robota żadna, siłę miała ogromną, i nikt jej w służbie nie mógł nie zarzucić. Dobijano się o Sawanihę. Całą nagrodę w jej ciężkiem życiu stanowiło, że w niedzielę mogła pójść do swego paniecia i, stojąc przy drzwiach, lub siedząc na ławie, pomówić z nim, posłuchać go, czasem w głowę pocałować.

Gdy Godziemba pierwszy raz uchodził z Krystynopola, pamiętał o tem, aby Sawanisze się oznajmić, bo

wiedział, że ona w świat-by za nim ruszyła, albo z tęsknoty się zapłakała. Ona go na trakt wyprowadziła sama i pobłogosławiła. Wróciwszy z Brühlem, poszedł znowu do niej. Mamka była nierada zuchwalstwu, chciała mu nazad iść kazać, nie dał się Godziemba. Drugiego dnia, widząc, że mu się nie nie stało, i ona się uspokoiła. Gdy potem nagle nie stało go, stara nie miała pokoju. Przeczucie jakieś mówiło jej, że coś złego wydarzyć się musiało. Korzystając z mnóstwa ludzi, jacy się jeszcze po weselu około pałacu kręcili, Sawaniha wcisnęła się w dziedzińce, a że ją zdawna dobrze tu znała, nikogo nie zdziwiło, że się tu znalazła. Nieznacznie wypytywać zaczęła. Nikt jej nie nie umiał powiedzieć. Niespokojna zaczęła starostę, z którego oczu tylko wyczytać mogła, iż niedarmo się niepokoiła. Zarębskiego nie było co badać, ten nikomu nie odpowiadał nigdy, mruczał, kłął, bił i popijał. Siedząc i kręcąc się około odwachu, a mając oko baczne na wszystkich, Sawaniha napatrzała pokaleczonych żołnierzy... miała przeczucie jakieś, że od nich coś dowiedzieć się może. Jeden z dwóch ciurów, Semen Zawity, znajomy jej był, jako pochodzący z tej samej okolicy. Sawaniha, niby z politowania, obiecała mu ranę opatrzyć, dać ziele skuteczne i wygoić, poprowadziła do miasteczka. Tu, opatrując mu głowę, kazala wódki postawić i, pojąc powoli, dopytywała. Semen nie bardzo zrazu chciał usta otworzyć, wódka je dopiero rozwiązała. Sawaniha o mało nie padła, dowiedziawszy się, co spotkało Godziembę, ale stłumiła w sobie gniew i, ziele dawszy Zawitemu, dostawszy języka, gdzie umieszczono jej panicza, odprawiła do kordegardy.

Wypłakawszy się w kącie, nalamawszy ręk... myślała o ratunku. Do wojewody iść, paść mu do nóg, wypraszać, wiedziała, że się na nie przyda. Mogła tylko

zostać wychłostaną. Przekupić stróżów nie było sposobu. Sawaniha najprzód obliczyła co miała, powiązała węzłki swoje, uczyniła się chorą i za służbę podziękowała. Wkupiła się potem w komorne do Żydów i rozpoczęła jakby żebracze życie. Wychodziła codziennie z rana, wracała nocą, jadła kawałek chleba suchego z solą, popiła go wodą i na workach w kącie próbowała usnąć a spocząć.

Całą jej robotą było, włóczyć się około pałacowej bramy i odwachu... oglądać mury... lub w głębokim rowie pod mostem siedzieć ukrytej. Śniegi jeszcze leżały, ziemia była zamarznięta. Sawaniha w suchych krzakach i gałęziach nagromadzonych pod mostem miała przytułek. Tu jej nikt dojrzeć nie mógł. Oglądając bramę i rozpatrując się w wejściu do lochów, stara obrachowywała, że piwnica, w której jej drogie dziecko było zamknięte, musiała gdzieś ścianą głęboką przytykać do mostu. Nie zraziło jej to, że, jak jej opowiedziano, więzienie było pod ziemią. Z tej strony od parowu mur nie mógł już sięgać zbyt głęboko; rów zdawał się ułatwiać to, co Sawaniha zamyslała. Ze ślepą wiarą, że musi trafić tam, gdzie ją miłość jej prowadziła, zaczęła w krzakach pod mostem powoli wyrąbywać zmarzłą ziemię, szukając ściany. Ścianę chciała choćby paznociami wydrapać, i wylamać w niej otwór, i dziecko swe uwolnić!

Zamiar mógł się wydawać szalonym i był taki w istocie, ale miłość nie wątpi o niczem i daje siły, których pospolitemi nie można nazwać. Sawaniha od dzieciństwa nawykła do łamania się z losami i wszelkiego rodzaju zawałami w życiu. Wolę i cierpliwość miała niezłomną. Nie przyszło jej na myśl nawet, że omylić się może, że cała praca na nic się nie przyda, wierzyła w to, że Opatrzność, że Święci Pańscy, że Siły niebieskie jej pomogą. Na targu kupiła dwie tępice, zbite siekiery, któ-

re do rąbania ziemi i muru starczyły. Śnieg, na pozór będący przeszkodą, służył jej po odgarnieniu do przykrycia świeżej ziemi. Rachuba nie omyliła jej. Wprędce obnażyła ścianę. Mur był gruby, stary, zlany, jak jeden głaz. Zwolna poczęła go łupać. Szła praca opornie, ale otwór się powiększał. Szczęściem przed bramą było pusto, i stukania jej nikt słyszeć nie mógł. Od brzasku do późnej nocy Sawaniha biła mur cierpliwie.

Byłaby może i część nocy dla pośpiechu nie opuszczała swej jamy, ale cisza panująca około pałacu nie dozwalała kuć tak bezpiecznie ściany, jak we dnie. Niepostrzeżona, przesuwiała się o świcie, a nie wychodziła stąd, aż ściemniało. Z nadzwyczajną energią, zrazu niezręcznie, potem nabrawszy wprawy, stara, po odrobinie wygrzebując gruz, dobywała się do wnętrza. Przychodziło jej na myśl, że praca być może nadaremna, ale wnet wiara w Boga i jakieś jasnowiedzenie macierzyńskie odejmowało jej zwątpienie. Otwór sięgał coraz głębiej. Sawaniha wkładała weń głowę i, uderzając w ścianę, po rozgłosie starała się przekonać, czy gruby mur jeszcze dzielił ją od podziemia.

Pewnego wieczoru, gdy przyłożyła ucho do cegiel, usłyszała z wnętrza odpowiadające jej jakby lekkie pukanie. Uszczęśliwiona poczęła gwałtownie, oszalawszy niemal, rwać gruz i bić cegły... tego dnia jednak nie zrobić nie mogła. Noc nadchodziła, stara obwinęła się w płachty swoje, a że mróz był zelżał, nie odchodząc już do miasteczka, całą noc na próżnych spędziła posłuchach. Jak dzień — zaczęła pracować znowu i, choć zmęczona i głodna, rozgorączkowana łamała cegły do wieczoru. Jedną z nich wreszcie potoczyła się do wnętrza. Stara chwyciła sterczące dokoła gruzy i silnemi rękami wylamała otwór. Dysząc z niecierpliwości, głowę wsunęła do czar-

nej próżni, wołając swoje dziecko. Chwila milczenia dla niej wiek trwała, ale głos słaby dał się słyszeć z głębi. Fadiejek jej żył... dostała się do niego... była szczęśliwa.

Przebudzony ze snu, chory, półżywy, z nadzieją wyswobodzenia się Godziemba odzyskał siły. Noc sprzyjała ucieczce, bo nocą nikt do drzwi nie przychodził. Otwór w murze był wysoki i ciasny, dostać się do niego osłabionemu ciężko było, ale tam czekała go — swoboda...

Chwytając się chropawego muru, wdrapując i spadając, Godziemba w ostatku ręką mógł dosięgnąć otworu. Sawaniha chwyciła ją i niemal sama go wywlokła. W tej chwili podobna była do wilezycy, ratującej swe szczenię. Zapomniała, że je pokaleczyć może. Poraniony, odarty, skrwawiony Godziemba musiał, dobywszy się zewnątrz, położyć na ziemi, bo na nogach ustać nie mógł. Przytomna stara z obawy, aby światła w otworze zawczasie się nie dopatrzone, zatkała go chróstem, gałęzmi i śniegiem. Starczyło jej sił jeszcze potem, aby dziecko osłabłe wziąć na barki i wynieść je z parowu. Tu Godziemba, orzeźwiony nieco, mógł już stanąć o swej sile i z pomocą Sawanihy iść dalej. Iść trzeba było natychmiast, iść i ślady zacierać za sobą na śniegu i zgubić je na gościńcu, aby nie zdradziły, potem znanemi ścieżynami szukać schronienia w lasach i gdzieś w litościwej chacie.

Ucieczka z więzienia była jeszcze mniejszą rzeczą, niż uniknięcie pogoni. Nie wątpiła Sawaniha, że jeśli się nazajutrz rozgłosi ucieczka, na wszystkie trakty, po siołach polecą kozacy za zbiegiem. Mogło jednak przez dni nawet kilka pozostać tajemnicą, że więzień uszedł. Nikt posadzać go nie mógł o to, aby pomyślał o wydobyciu się z lochu. Stróż zwykle oknem we drzwiach spuszczał

chleb i dzbanek z wodą i, słowa nie mówiąc, odchodził. Ledwie raz w tydzień otwierano drzwi i dowiadywano się o więźnia.

Ciemna noc dosyć szczęśliwie posłużyła Godziembie, zawieja śnieżna obiecywała zatrzeć ślady. Sawaniha, złożywszy panicza pod ścianą szopy jakiejś, sama pobiegła po swe węzelki i odzież do karczmy. Godziemba tak był znużony, tak się czuł chorym, że, siedząc, usnął. Obudziła go powracająca i zmusiła do dalszego pochodu nocnego.

Nazajutrz, ani dwóch dni następnych w Krystynopolu nikt nie pomyślał nawet o Godziembie. Zarębski dawno w duchu sobie powiedział, że — zczecznać tam musi marnie. (Tak się wyrażał). Trzeciego dnia stróż, który nie słyszał głosu i nie otrzymywał odpowiedzi, przyszedł oświadczyć, mrucząc, że więzień albo chory, albo zmarł, bo się go dowołać nie można. W kilku tedy ze światłem zeszli do lochu.

Latwo sobie wystawić osłupienie ich, gdy więzienie pustem zastali. Chciano zrazu stróża obwinić, nie pojmując, co się stało, gdy ktoś w górze wskazał zatłoczony otwór. Przestрах się stał ogromny, musiano wojewodzie raportować, obawiał się każdy, Zarębski zaklął się, że nie pójdzie.

— W złości wojewoda w mordę mi gotów dać — rzekł ponuro — a ja, jak Boga kocham, oddam i jutro będę wisiał. Nie chcę...

Spadło to na starostę Zawideckiego, któremu łatwiej było zwiastować złą nowinę, bo on za nią nie odpowiadał, ale Zarębski.

Nazajutrz rano, gdy przyszło do raportu stawać, wprzódzy zbywszy inne sprawy powszednie, starosta oznaj-

mił, że ma coś złego do powiedzenia, ale to, co się stało, nie było jego winą.

— Zarębski z rozkazu Jaśnie Wielmożnego pana wsadził Godziembę in fundo.

— Cóż? zdechl? — spytał wojewoda.

— Lepiejby zrobił, gdyby to uczynił — rzekł śmiało starosta.

— A cóż się z nim stało?

— Uciekł.

Potocki zbladł, ale zdawał się nie wierzyć uszom.

— Ex fundo? uciekł? Któż mu otworzył?

— W ścianie dziura wybita...

Długo wojewoda nie odpowiadał ani słowa, patrzył, usta zagryzł, myślał, oczy całe zdawały się chwilami w białka obracać, cera żółkła. Wszeczmogący pan... nie mógł pojąć zuchwalstwa, z jakim mu się ofiara wymknęła. Nie szło mu o Godziembę, ale o to, że powaga jego naruszona została.

— Kto winien? kto... pomógł? — spytał cicho.

Starosta nie na to odpowiedzieć nie umiał.

Nakazano jak najsurowsze dochodzenie, ale zarazem wojewoda zabronił mówić o wypadku i pragnął, aby go nie rozgłaszano. Zarębski tegoż dnia dostał abszyt i odprawę, czem się niekoniecznie zmartwił, bo mu wszakże dano jakąś konsolację. Stróża odesłano na wieś, loch in fundo kazano zamknąć i zarzucić.

O ściganiu jakos mowy nie było nawet, gdyż zdawało się niepodobieństwem na ślad trafić, a może też sam wojewoda pragnął dalszej zemsty uniknąć, któraby zbyt wielki rozgłos miała. Wojewodzina gwałtowniej to uczuła od męża, i mściłaby się srożej pewnie, lecz po naradzie wspólnej postanowiono pokryć to milczeniem. Bebus, który pode drzwiami, wedle obyczaju, słuchał, prze-

ląkł się straszliwie, gdy się dowiedział o tem, co się stało. Gęba mu tak świerzbiała, iż tegoż dnia, oprócz Beby, w garderobie wypowiedział się z tajemnicy przed jedną panną i pobiegł do Dumont z tą nowiną. Uradowała się niezmiernie Francuzka, dowiedziawszy się o szczęśliwej ucieczce Godziemby i postarała o to, aby uboczną drogą donieść pani starościnie. List poszedł nie zwykłemi kresami — bo, oddawszy go wojewodzinie, Dumont była pewna, że wprzód będzie rozpieczętowany i czytany, zwłaszcza, że był do hr. Brühlowej — ale przez poczciwego księdza, który podobne korespondencje zwykle madame ułatwiał.

O Sawinisze mało kto w miasteczku wiedział, zniknięcie jej przeszło prawie niepostrzeżenie. Spodziewano się kilka dni powrotu, potem w powszechne weszło przekonanie, iż ją gdzieś wilcy, stadami właśnie się włóczący — bo to było około Gromnicznej — zjeść musieli. Myśl ta się tak dobrze przyjęła, iż opowiadano potem wypadek ze szczegółami, jak gdyby ktoś był jego świadkiem. Często nie inaczej tworzą się ludowe podania.

KONIEC TOMU I-GO.

BIBLIOTEKA
PARAFIA PW. NSJ
RADOM-GLINICE

88

02277
02277

Paprocki
Paprocki

Panienka z Okienkami
Daniel Ruck

2

